ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 3/534 1992

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

T. CHRZANOWSKI: **PROGNOSTYK**

K. WOLICKI: **ROZMOWA Z EWĄ ŁĘTOWSKĄ**

A. POSPIESZALSKI: **CHRYSTIANIZACJA EUROPY**

A. STACH: **„MARLBORO, MARKI UND MAFIOSI"**

SPIS RZECZY

Tadeusz Chrzanowski:	*Prognostyk*	3
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	15
Sławomir Mrożek:	*Pod mostem*	28
	WYWIADY „KULTURY"	
Krzysztof Wolicki:	*Rozmowa z rzecznikiem praw obywatelskich, prof. Ewą Łętowską*	29
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Jerzy Boniecki:	*Niesamowity rok 1991*	42
M. Długopolski, prof. Z. Nagórski:	*USA a Polska*	50
Janusz Mondry:	*Nowy system monetarny z perspektywy Tokio*	52
Małgorzata Dziewięcka:	*Otwarcie Ambasady R.P. w Pretorii*	56
Józef Garliński:	*List z Londynu (24)*	58
Leszek Szaruga:	*Sympozjum o Juliuszu Mieroszewskim*	63
	KRAJ	
Smecz:	*Z ukosa*	64
Robert Kaczmarek:	*Bałtyckie Forum Ekologiczne*	74
	SPRAWY I TROSKI	
—	*„Idealny inwestor"*	79
—	*Dziwaczna sytuacja*	83
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Antoni Pospieszalski:	*Chrystianizacja Europy*	84
D.M.:	*Nota watykańska*	92
	SĄSIEDZI	
Andrzej Stach:	*„Marlboro, marki und mafiosi"*	93
Berlińczyk:	*Nowe Niemcy*	102
Bohdan Osadczuk:	*Trudna budowa państwa ukraińskiego.*	105
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	108
Józef Darski:	*Kronika litewska, białoruska i ukraińska*	113
	KRONIKA KULTURALNA	
Zbigniew Florczak:	*W oprawie nieokreślonej całości*	119
Marek Adamiec:	*Cywilizacja postkomunizmu*	134
Wojciech Sikora:	*Sprawozdanie Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej za lata 1990–1991*	141
Janina Januszewska-Skreiberg:	*Norweskie polonica*	142
	CI, CO ODESZLI	
Maria Danilewicz Zielińska:	*Pół wieku w Portugalii (wspomnienia o mężu, śp. Adamie Kazimierzu Zielińskim)*	145
	KSIĄŻKI	
Leszek Szaruga:	*Po łebkach*	151
—	*W obronie czci Józefa Mackiewicza*	153
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	154

Ciąg dalszy na str. 176

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1992

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Jerzy Adamczyk, Lidingo (Szwecja) Krs 125,00	F.	110,00
Prof. Bronisław Baczko, Genewa — zamiast kwiatów na trumnę Ignacego Walda	F.	300,00
Prof. Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, po raz 22-gi dol. 1.000,00	F.	5.400,00
Tomira W. Buxell, Wellesley, MA (USA), po raz 17-ty — dol. 180,00	F.	972,00
Dla uczczenia pamięci M.A. Witolda Tyrmana bezimiennie z Izraela — dol. 50,00	F.	222,50
Norbert Gawroński, Amsterdam	F.	300,00
Stefan J. Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA), po raz 14-ty — dol. 36,00	F.	194,00
Zbigniew Gross, Granges lès Valence (Francja)	F.	170,00
Jacek Hejnar, St. Hubert, PQ (Kanada), po raz 5-ty	F.	100,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 32-gi — dol. 32,00	F.	157,00
Dr Stanisław Judek, Ottawa, ON (Kanada), po raz 16-ty — dol. can. 100,00	F.	445,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 16-ty	F.	208,15
Alfred Kolator, Londyn, po raz 12-ty — £ stg. 70,00	F.	700,00
Halina Kościuch, Sterling Hts, MI (USA) — dla uczczenia pamięci Męża Mieczysława i Syna Henryka, po raz 15-ty — dol. 25,00	F.	135,00
A. Kowarska, Milford (N. Zelandia), po raz 9-ty — dol. aus. 12,00	F.	47,00
F.E. Lassak, Monachium	F.	200,00
Elżbieta Lempp, Darmstadt (Niemcy) — zamiast kwiatów na grób Stefanii Babuli — DM 100,00	F.	330,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 13-ty	F.	500,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja), po raz 4-ty	F.	100,00
Józef Masiewicz, Toronto, ON (Kanada), po raz 13-ty — dol. can. 78,00	F.	340,00
Renata i Witold Mikułowscy, Wyspy Komorskie — zamiast kwiatów na grób Jerzego i Anny Langrodów	F.	275,00
Pamięci Elizy i Grażyny Hajman, zmarłych 14 grudnia 1991 r. w Borlänge (Szwecja) — zamiast kwiatów na Ich grób — Drukierowie (Kopenhaga) — Kr. d. 200,00	F.	174,00
Robert Quas de Penno, Hockessin, DE (USA), po raz 11-ty — zamiast kwiatów na grób przyjaciela Jerzego Broniewskiego, zmarłego w Warszawie w listopadzie 1991 r. —dol. 25,00	F.	135,00
Jan Radomyski, Londyn — £ st. 20,00	F.	200,00
Bolesław Rebzda, Buenos Aires — dla uczczenia pamięci moich Rodziców — Marii i Kazimierza Rebzdów — dol. 118,00	F.	640,00
Stefan Henryk Rosé, Paryż, po raz 13-ty	F.	1.000,00
Jadwiga Rossa, Paryż	F.	520,00

dalszy ciąg WPŁAT na str. 175

Prognostyk

Kiedy dobiegło schyłku pierwsze tysiąclecie naszej ery, zapanowały nad dźwigającą się z ciemnych wieków populacją Europy nastroje hiliastyczne. Spodziewano się końca świata, lęk przed Sądem Ostatecznym ogarnął miasta i wsie: zaroiło się od pątników i biczowników, od rozpustników i grabieżców; jedni uciekali od skupisk ludzkich, pragnąc sam na sam spotkać się z największą eschatologią, inni w zapamiętaniu i ciżbie starali się maksymalnie skorzystać z dostępnych im jeszcze doczesnych radości. Koniec świata nie nastąpił, ale psychiczna spuścizna po owej hiliastycznej erupcji trwać miała czas dłuższy: wybuch trwa krótko — następstwa czasem wiekami.

Czy u schyłku drugiego tysiąclecia ponowi się ten atak grozy, nadziei i rozpasania? Należy wątpić: świat się coraz bardziej laicyzuje i coraz bardziej skupia na sprawie posiadania. A kiedy się posiada wiele, to lepiej nie myśleć o sprawach ostatecznych. Ponadto ludzkość na tyle zmądrzała, by zatracić wiarę w sens liczb: i tych wybranych i tych okrągłych. Ludzie zawsze chcieli znać swą przyszłość — kruche podstawy przewidywań budowali na ptasich wnętrznościach, fusach z kawy i obrotach ciał niebieskich. W każdym przypadku były to tylko spekulacje, o ile jednak astrologicznie miały jakąś podstawę, bo starały się podporządkować harmonii świata, który — jak powszechnie wiadomo — cały czas się kręci i jak pozytywka wydziela tony muzyki sfer, o tyle spekulacja z cyframi to spekulacja dla spekulacji. Zapomina się bowiem o tym prościuteńkim fakcie, że liczby nie posiadają autonomicznych bytów, że są naszym wytworem pojęciowym oraz, że system dziesiętny przyjął się (a i tak nie wszędzie), jako najsprawniejszy w użyciu, co wcale nie oznacza że jest systemem jedynym (patrz muzyka od czterolinii po dodekafonię).

A więc nie liczę na rok 2000, że stanie się rokiem końca

świata i sądzę, że opinię moją podziela większość ludzkości, bo ani cyfra 2 — która ma niesłychanie doniosłe konotacje symboliczne — ani nawet dodane do niej trzy zera nie świadczą o niczym, jak tylko o tym, że umiemy rachować. W roku 2000 wszystko może się zdarzyć: może się skończyć wojna między Serbią i Chorwacją, a może także wybuchnąć wojna między wschodnimi i zachodnimi Niemcami. Wałęsa może być nadal prezydentem, ale może go na owym stolcu zastąpić Moczulski, albo nawet sam Król — zięć poprzedniego — i doczekalibyśmy wymarzonej przez wielu (w tym i przeze mnie) monarchii.

Nie sądzę też, by należało już teraz podsumowywać stulecie: w ogóle wszelkie podsumowania są tym lepsze im z odleglejszej robione perspektywy. Może zresztą do tego czasu wynaleziony zostanie jakiś mega-komputer, który upora się z gąszczem faktów, przy którym pradawne litewskie mateczniki to nieledwie łyse krzaczki. Chciałbym jednak, bez próby osądu, zabawić się w obserwatora, który wyzierając z lufcika przy starej krakowskiej ulicy, widzi to i owo i ma wrażenie, że to i owo wystarczy dla sklecenia przewidywań dotyczących tego, ku czemu zdążamy. Ale podkreślam: anim ja prorok, ani wieszcz, ani nawet Wernyhora, będzie i tak dokładnie jak to zapisano tam w górze w bardzo grubej Xiędze i moje gdybanie to jeszcze jeden przykład ludzkiej niedyskrecji: takiego podglądania przez lufcik porządku (czy raczej nieporządku) świata.

Zacznijmy od spojrzenia na to, co stało się przyczyną największych katastrof tego naszego nie najbardziej udanego stulecia. Wydaje mi się, że u podłoża obu wojen światowych i wielu innych, bardziej partykularnych konfliktów, leżały rozhajcowane nacjonalizmy przystrajające się w zbroje i koturny doktryn. Były to przepychanki nacji i walka o lepsze, wyższe miejsce, o możliwość eksploatowania jednych przez drugie. Tyle tylko, że jedne ugrupowania jawnie się do tego przyznawały, inne zaś doraźność celów ukrywały pod wzniosłymi sloganami. Ta swoista metoda „upustu krwi" praktykowana przez rozmaite nacjonalizmy funkcjonuje aż do dzisiaj, tyle że znalazła się w strefie niedorozwinięcia ekonomicznego i mentalnego. Na przykład nie pamiętam już zupełnie, czy konflikt iracko-irański trwał pięć, sześć, siedem czy jeszcze więcej lat, bo już po roku przestał kogokolwiek interesować, a zakończył się polityczną nijakością, bo nie wyłonił zwycięzcy. Oto przykład głębokiego zacofania całych populacji: skoro w tym samym mniej więcej czasie dochodziło do bezkrwawego przeobrażenia się nacjonalistycznych dyktatur, jak Hiszpania i Portugalia, w demokracje, a później miał się jeszcze rozpaść Związek Sowiecki, zaś w Afryce Południowej rozpoczęto proces obalania *apartheid*'u.

Nacjonalizm i ideologizm (a doświadczenie uczy, że często

chodzą one w parze) nie wygasły; wręcz przeciwnie: powstają coraz to nowe ogniska zapalne. Tyle że uległy peryferyzacji, stały się czymś w rodzaju polityczno-militarnych residuów, czego przykładem jest dziś ślimaczenie się wojny serbsko-chorwackiej. Więc jakby wreszcie, po tak okropnych doświadczeniach, ludzkość zdaje się powoli z doświadczeń tych wyciągać wnioski.

I tu upatrywałbym może największych zdobyczy naszego wieku: wypracowania, niedoskonałych to prawda, ale doskonalących się, form współpracy międzynarodowej. Cokolwiek powiedzielibyśmy na temat tego brzemiennego (oby nie urojoną ciążą) cielska jakim jest ONZ, to jednak jest to krok milowy od czasów operetkowej Ligi Narodów. Podobnie pozytywnie należy przyjąć pewne porozumienia na mniejszą skalę, ale najzupełniej międzynarodowe: jak Rada Europy, jak EWG, a także pakt Północno-Atlantycki, który z obronnego coraz bardziej przeobraża się w ochronny, skoro — co zakrawa na zupełny paradoks — w chwili obecnej rozważa sposób przyjścia z pomocą temu, co było do wczoraj Związkiem Sowieckim, a więc wrogiem nr I, „imperium zła". Starożytni wymyślili dewizę: *si vis pacem para bellum*, ale dopiero to nasze stulecie sprawiło, że zostało ono zrealizowane. Podstawową siłą militarną stał się pomiędzy Wschodem i Zachodem nierównomierny rozwój ekonomiczny: doktryna skutecznie zdławiła ów rozwój po jednej stronie. System obronny, pakt militarny musi obecnie pilnie baczyć, by to, co zostało z rozpadu nie przeobraziło się w wulkan, by nie nastąpiło polityczne i właśnie militarne rozszczepienie atomu.

W naszym też stuleciu rozwinięte państwa — choć nie wszystkie i nie w dostatecznej mierze — zrozumiały, że wyzysk jest bronią obosieczną, że często warto zainwestować w głodomora, by zyskać w nim partnera. Gdy dziś przyglądamy się zmaganiom USA i Japonii o wyrównanie wzajemnych budżetów importowo-eksportowych, o zrównoważenie konkurencji, pocieszamy się, że to co byłoby przedtem podstawą do kolejnej wojny na Pacyfiku, w tej chwili zbrojnymi następstwami jeszcze nie zagraża, ale równocześnie przygnębiający jest fakt, że stara mentalność nastawiona wyłącznie na zysk i akumulację przeważa nad zdrowym rozsądkiem.

Zaprzestanie eksploatacji sprzęgnięte ze zbiegiem sytuacji politycznych sprawiło, że system kolonialny zawalił się zarówno po stronie kapitalistycznej, jak też „socjalistycznej". Wraz z nim erozji podlega archaiczna doktryna o potędze budowanej na rozległości granic państwowych, uzasadnianych potrzebą dotarcia do źródeł bogactw naturalnych. I w Zatoce Perskiej trzeba było aż zbrojnej interwencji, by w międzynarodowym porozumieniu przeciwstawić się agresywnej i zaborczej polityce, polityce dodajmy całkowicie kacykowskiej, choć bazującej na nacjonalizmie i ideologizmie.

Inna rzecz, jakie się w związku z tym malowniczym incydentem (bo jednak incydentem) nasuwają refleksje: dlaczego interweniowano właśnie tam, a nikt nie podejmuje interwencji w innych rozdzieranych konfliktami obszarach? Czyżby nie poszanowanie prawa lecz sprawa dostępu do ropnych kurków decydowała w pierwszym rzędzie? Dlaczego ocalono zbrodniarza i ludobójcę Saddama Husejna, a nawet pozwolono mu krwawo rozprawić się z Kurdami i szyitami? Ale to już inna i, rzec można, detaliczna sprawa.

Bardzo wiele nieszczęść naszego wieku wywodzi się z działalności spekulantów intelektualno-politycznych. W naszym stuleciu wzrosło niepomiernie znaczenie języka, rola mowy perswazyjnej, co wiąże się z zasięgiem, gęstością i doskonałością techniczną form przekazu społecznego. Mussolini, Stalin i inni ideolodzy swojskiego chowu, na Kadafim i Husejnie kończąc, posługują się językiem grubiańskim i prymitywnym, który jednak trafia do mas nieokrzesanych, a czasem porywa nawet subtelnych intelektualistów. Ja Marksowi i Engelsowi nie odmawiałbym dobrej woli. Filozofowie byli z nich nietędzy, ale potrafili posługiwać się językiem o głęboko perswazyjnych walorach, zaś dla ulżenia doli mas uciemiężonych zbudowali fikcyjną zasadę historii uregulowanej i to też było chwytliwe. Mieli wszelako dobrą wolę, którą dopiero następcy, z Leninem i Stalinem na czele, potrafili sprawnie wykorzystać dla własnych władczych i ludobójczych celów. I to jest właśnie groźba ideologizacji, a rozpad Związku Sowieckiego jest wprawdzie wielkim triumfem zdrowego rozsądku zbiorowego, nie oznacza jednak wcale końca ideologizmu. I chodzi tu nie tylko o komunistyczne residua, w rodzaju groteskowych już tylko Kub i Wietnamów Północnych lub monstrualnych jak ogrom nacjonalistycznie rozpalonych Chin, ale o to, że potencjalnych filozofów dziejów mamy, być może, właśnie wśród nas i podziwiamy ich za — jak to ujął Miłosz — „szlachetność, niestety".

Oczywiście istnieją zawsze dwie strony medalu: straszak czerwonej rewolucji, presja sloganizacji i nowe formy nacisku społecznego (strajki, manifestacje, bierny opór) sprawiły, że w kręgu świata, który z pewną dozą nadmiernie dobrej woli nazywamy demokratycznym, zaczęły się zdecydowanie polepszać stosunki gospodarcze, zanikła skandaliczna niegdyś nędza robotników, pojawiła się nieco sprawiedliwsza repartycja zysków, a w skali międzynarodowej uzgadnianie i modelowanie trendów, moderowanie nadmiernych ekspansji gospodarczych na rzecz bardziej wyrównanego wykorzystywania „wartości dodanej".

I do pozytywów zaliczyć przyjdzie nasilenie tendencji do wcielania w życie etyki społecznej. Poszanowanie prawa jako

takiego przeobraziło się w tworzenie praw zgodnych z pewnymi ogólnie przyjętymi zasadami. I nie chodzi bynajmniej o słodkie inkantacje zawodowych polityków, ale o rzeczywistość owego przymuszenia do realizacji pięknych haseł.

To co z koncepcji socjalizmu — przy całej utopijności ogólnej koncepcji — pozostało w świadomości i w praktyce politycznej i co zaliczyć można do jego osiągnięć, należy nie tylko pielęgnować, ale i poszerzać. My wciąż widzimy krótkowzrocznie, z perspektywy naszego pokiereszowanego ale nieustannie odradzającego się kontynenciku, a przecież otaczają nas ogromne obszary zacofania i gospodarczego i mentalnego, a gdzie tylko się ruszyć, to socjalizmem szermują rozmaite kacyki, tak jak szermował nim niegdyś pewien Feldfebel spod Linzu.

Niestety mieliśmy przez chwilę pas i złoty róg, ale tylko przez chwilę. Koncepcja „Solidarności" jako etyki politycznej wielkiego ruchu społecznego, przekreślającego utopię marksistowską, była drzewem pełnym owoców nadziei. Niestety nie wyszła, choć mogła, poza opłotki myślenia partyjnego, klasowego i związkowego. Klęska „Solidarności" jako zalążka czegoś całkiem nowego, polegała z jednej strony na niemożności wyzwolenia się z myślenia zaprzeszłego (sakralizacja związku zawodowego) oraz na ambicjach czy zwykłych apetytach politycznych jej liderów. Za dużo po okrągłym stole ujawniło się zawodowych zbawiaczy, naprawiaczy i przyśpieszaczy, zabrakło naprawdę światłych i dalekosiężnych umysłów. Historia się ponoć nie powtarza, ale powtarzają się sytuacje: sarmacka Rzeczpospolita startowała z doskonałych podstaw koncepcji federacyjno-demokratycznej, ale sama się zakorkowała sloganizacją życia politycznego i postępującą pauperyzacją intelektualną. Wystarczyło w III Rzplitej ogłosić „wojnę na górze" i puścić NSZZ „S" na wolne wody, by stało się to, co stać w takiej sytuacji musiało: zbawiacze ruszyli w bój dzierżąc w swych rękach bardzo krzepko... sznur.

„Wojna na górze" była jedną z najgorszych klęsk, którą zgotowano rodzącej się III Rzplitej. Jej następstwa, zapisane w wynikach ostatnich wyborów, stwierdzają niezbicie, że była klęską i na dole i na górze. Kiedyś formułowałem na tych łamach coś co nazwałem PON, czyli Program Oświecenia Narodowego. Napisał wówczas pewien warszawski mędrek, że nie wiem jaki jest polski lud, jakie są masy pracujące, jak się one wszystkie już oświeciły. On to widział oczywiście ze swego stołecznego oberluftu, ja zobaczyłem co innego i wcale mi nie do śmiechu, że miałem wówczas rację. Program PON jest nadal i gorąco aktualny. Ale dość o polskich partykularyzmach.

Skoro jednak jesteśmy przy sprawach idei, światopoglądów, a przede wszystkim etyki, należy się zastanowić nad rolą jaką

poszczególnie i zbiorowo odgrywają w dzisiejszym świecie religie i wyznania. W całości mijające stulecie można by określić jako okres pewnego renesansu myśli religijnej: kościół katolicki zdobył się na przewietrzenie swej XIX-wiecznej archaiczności i wraz z bullą „Rerum novarum" wkroczył w sferę teraźniejszości, a myśl tę rozwijali i teologowie i ostatni trzej papieże. Obserwować można też pewne rozbudzenie myśli teologicznej w kościołach reformowanych i prawosławiu, a z całą pewnością ożywienie zapanowało w świecie Islamu, choć to ostatnie budzi — jak dotąd — raczej gorzkie refleksje.

Ale na początku pewne stwierdzenie istotne dla dalszego wywodu: wcale nie jestem zwolennikiem pełnej izolacji religii od polityki. Po pierwsze, ponieważ religia każda — w gorszym lub lepszym sposobie — głosi pewną etykę, a polityka bez takich podstaw jest tylko i wyłącznie sankcjonowanym rabunkiem lub w gorszych przypadkach — rozbojem. Po drugie — ponieważ każda religia w swym najgłębszym sensie związana jest z życiem społecznym poprzez życie jednostek. A życie społeczne jest esencją polityki, którą wielu niesłusznie uważa za domenę działań dyplomatycznych czy administracyjnych. *Ergo* religia poprzez swe organizmy, więc w kręgu chrześcijańskim — kościoły, musi pozostawać w ścisłym związku z życiem społecznym. Tylko że domena działania kościołów jest inna niż domena działania polityków i biurokracji administracyjnej i jest bardzo niedobrze, kiedy jakikolwiek kościół próbuje się wintegrować w państwo, bo to właśnie nie jego domena. Ciekawe, że Kościół Katolicki tylekroć się na takiej ingerencji sparzył (*exemplum* klasyczne: józefinizm), a prawosławie poniosło w związku z tym niepomierne wprost straty duchowe, a jednak jakby się nie uczono z doświadczeń.

Jeżeli więc w głoszeniu nauk przekracza się granicę między osobą a zbiorowiskiem, czyli społeczeństwem lub narodem, trzeba mieć wyostrzoną świadomość, gdzie przebiega ta druga ważna granica: pomiędzy etyką a praktyką polityczną. W naszym apostolskim i katolickim kościele często się ostatnimi czasy przeciwstawia „być" i „mieć". No właśnie, ale my chcemy przykładu z góry: czy sam Kościół chce dziś bardziej „być" czy „mieć"? *No comments.*

Kościoły różnych wyznań poniosły w naszym stuleciu straszliwe ciosy ze strony wszystkich niemal dyktatur. „Zasłużyli się" tu szczególnie Hitler i Stalin, programowo ateistyczni. Ale łaskawość Franco dla Kościoła w Hiszpanii niosła wraz ze sobą więcej dla tego ostatniego klęsk niż zysków. Dyktatura to jedynowładztwo, a żadne jedynowładztwo nie życzy sobie konkurencji, chociażby w sferze duchowej. Z kolei Kościoły zaczęły się w tymże stuleciu coraz silniej utożsamiać z narodami. Z opresji

Kościoły — a zwłaszcza Katolicki — wyszły obronną ręką, z nowymi doświadczeniami i nowym kapitałem zaufania: to właśnie określiłbym mianem renesansu. Z kolei utożsamienie z danym narodem w dobie odradzania małych i wielkich ojczyzn przyniosło efekty niezwykle cenne, ale... No właśnie: okazało się, że nadmierne podgrzewanie uczuć patriotycznych, a więc przechodzenie od patriotyzmu do nacjonalizmu przyniosło jak dotąd tysiące ofiar i niezliczoną daninę cierpień. W Irlandii już drugie dziesięciolecie trwa nieomal wojna pod banderami katolicyzmu i anglikanizmu, w rozpadającej się Jugosławii katolicyzmu i prawosławia, w Libanie zażegnana jest na popiołach i zgliszczach wojna chrześcijańsko-muzułmańska.

W naszym stuleciu pojawił się przerażający problem nacjonalizmu wyznaniowego i jeszcze straszniejszy: fundamentalizmu religijnego. Jeżeli Pan Bóg zarządzi w roku 2000 rzeczywiście koniec świata i sąd ostateczny, którego ja sobie inaczej wyobrazić nie potrafię, jak tylko poprzez wizję Memlinga ze słynnego ołtarza w Gdańsku, to wówczas do ognistej paszczy Lewiatana powpadają wcale licznie przedstawiciele wszelakiego duchowieństwa, choć przecież oni mieli nas strzec przed tą „lewą stroną".

Przestrzegając przed zbyt łatwym przekraczaniem rozmaitych granic chciałbym obecnie sam jedną z nich przekroczyć: tę która dzieli jednostkę od społeczności czy innej zbiorowości. Upaństwowienie jednostki dokonało się za naszych czasów w sposób tak daleko idący, że starodawna podległość człowieka zwierzchności (od feudalnej poczynając) to małe piwo. Masowe groby stulecia ukazują ostateczny efekt tego zjawiska, a bunt ogromnych społeczności, które potrafiły rozwalić nienaruszalną zdawałoby się potęgę bloku komunistycznego — nienawiść jaką wzbudziła utopia aplikowana do życia jednostki, czy uszczęśliwianie jej wbrew jej potrzebom i aspiracjom.

Niewątpliwie w ciągu wieku XX zrobiono wiele dla rehabilitacji jednostki, dla zagwarantowania jej podstawowych praw i była to prosta reakcja na okropieństwa wszelkiego rodzaju terrorów, zwłaszcza że takowe nie znikły, by przypomnieć tylko masakrę na placu Tien-An-Men i rozmaite latynoskie guerille. Faktem jest, że im jednostka bardziej oświecona (odrzućmy zbrzydzone nowomowne określenie: uświadomiona), tym bardziej będzie tych praw pożądać, domagać się, a nawet walczyć o nie.

Z owym poszanowaniem praw jednostki wiąże się wiele innych zjawisk. Wprawdzie dotychczasowe ruchy pacyfistyczne, a w znacznej mierze także ekologiczne, były grubo szyte czerwoną nicią, ale wypromowały jednak pewne koncepcje samozachowawcze, których ludzkość była dotychczas niezupełnie świadoma. „Zieloni" oczyszczający się powoli ze zgryźliwego zestawiania

barw i równie powoli wyzwalający z dziecinad manifestacyjnych, stali się poważnym elementem walki właśnie o przetrwanie jednostki, zagrożonej przez anonimowe poniekąd działanie państw i struktur gospodarczych, które dla doraźnych zysków gotowe są obrabować i wyjałowić naszą przecież nie nieograniczoną planetę. Reasumując: najbardziej w ciągu mijającego stulecia degradowana jednostka zaczęła się pod koniec tegoż dopracowywać praw i ochrony o wymiarze nawet międzynarodowym (by przypomnieć choćby organizację „Amnesty International" czy „Lekarze świata", czy nawet „Peace Corps").

Osiągnięcia techniki w naszym stuleciu zaiste mogą wprowadzić w stan oszołomienia, gdyby nie to, że istota ludzka, tak ubogacona przez Opatrzność pamięcią, ma ją zarazem niezwykle krótką w odniesieniu do własnego doświadczenia: nie tylko że zapomina o tym, jak było „za komuny", ale także o tym, jak ubogą wyobraźnię miał pan Jules Verne. Korzystając z wszelakich (choć nie w takim zakresie jak mój współcześnik z Francji czy USA) udoskonaleń technicznych odczuwam dumę, że mój gatunek potrafił to wszystko wymyślić i zrealizować. A jednocześnie gdzieś tam w głębi szarzyzny komórek rozlega się sygnał alarmowy.

Czytelnik przypuszcza, że będę go zaraz straszył zagrożeniem nuklearnym i to nie tylko w wojennym wymiarze (*vide* Czarnobyl), ale przyjmuję, że o możliwości ludzkiej samozagłady napisano także hałdy papieru i nakręcono tyle kilometrów (lub mil) taśmy filmowej, iż zbyteczne tu cokolwiek dodawać. Jest jednak jeszcze pewien aspekt owych zagrożeń przynoszonych przez eksplozję współczesnej techniki. Ona ludzi przytłacza, a wyręczając zarazem wyjaławia psychicznie. Alienacja wchodzących w życie pokoleń nie została wynaleziona w XX wieku, choć sam termin właśnie wówczas wynaleziono, by określić może szczególny wymiar zjawiska; ja wiem swoje: za mojej młodości nikt nie słyszał o alienacji, o frustracji, o niedostosowaniu... No, ale ja miałem młodość szczególną: przypadły na nią najciemniejsze lata historii tegoż stulecia. Jak pisał Broniewski: „Nie głaskało mnie życie po głowie...", raczej łomotało, „...no i dobrze, no i na zdrowie..." — moje pokolenie nie miało czasu na wgłębianie się w swe przepastne interiory, „tak wyrasta się na człowieka!".

Alienacja wchodzących w życie pokoleń nie jest więc niczym szczególnym. Otaczający nas świat wcale nie musi się wszystkim przybywającym nań tak bardzo podobać. I nawet trudno się dziwić. Romantyczne Werthery miały jednak stokroć mniejszą skalę recepcji: współcześni alienaci wchodząc w otaczający świat — a to znaczy w społeczeństwa syte i obficie zaaprowizowane we wszelkie gadżety — mają wyższą barierę adaptacji, niż miały ją którekolwiek poprzednie. Niemniej ja się na

ucieczki współczesnych frustratów i alienatów patrzę bez chrześcijańskiej — trzeba to wyznać — wyrozumiałości. Może właśnie dlatego, że miałem zapaskudzoną młodość, ale że dzięki temu zapaskudzeniu smak życia poznałem szybko i skutecznie. Więc jeśli oni — frustraci i alienaci — chcą, no to proszę bardzo. Pokolenia zawsze muszą się wyzbywać pewnej części genetycznego balastu. Że jest on dziś szczególnie wysoki? No to co: wprowadzać przymus dostosowania? Prowadzić z góry skazaną na zagładę politykę prohibicyjną? Kandydat na człowieka jeśli chce „ćpać", to i tak zawsze znajdzie sposób, najwyżej się silniej dotruje.

Jan Paweł II nieustannie powtarza swe przestrogi o nadmiernym zmaterializowaniu i zhedonizowaniu współczesnego świata zachodniego. I niewątpliwie tu jawi się paląca potrzeba poszerzania pastoralnej roli Kościoła: nie prohibicją, ale perswazją można tu wiele naprawić. I to jest właśnie to „być", o czym była już powyżej mowa. Ale Kościół ma w tym zakresie także swoje „przegięcia": do czego doprowadzi to nieustanne zachęcanie do mnożenia się, skoro już dziś całe ogromne obszary planety głodują? Że jest dysproporcja między obszarami sytymi, a nawet nadsytymi, a głodującymi? No ale najpierw trzeba właśnie to uporządkować, a dopiero później wzywać do „twórczości radosnej". Zwłaszcza gdy urzędnicy Pana Boga są na tym łez padole dość skutecznie chronieni przed ową twórczością... celibatem!

I wreszcie kultura. Kultura bowiem, jak każdy widzi, niczym łysą szkapę, zawsze spychana jest na koniec, choć to właśnie dzięki niej jesteśmy ciut, ciut lepsi. Kulturę rozumiem szeroko, przejawia się we wszystkich zakresach ludzkiej egzystencji, które wyrastają ponad czysto biologiczne przejawy utrzymywania gatunku. A więc widzę w tym worku wszystko co wiąże się z życiem i świadomością człowieka, od udoskonalonego materialnego kształtowania naszego bytowania aż po najwyższe regiony myśli i twórczości. Tak obserwując kulturę, można by sformułować opinię, że w ciągu naszego stulecia była wyjątkowo bogata i wszechstronna, że dała ludzkości istną lawinę zjawisk ważnych i nowatorskich, że otwarła horyzonty poprzednio ledwie uświadamiane, ale...

Mnie się zdaje, że zwłaszcza w owych wysokich regionach, krzywa rozwojowa nagle i dość gwałtownie się zagięła. Nie umiem określić dokładnej daty początku opadania, ale czy to tak ważne? I tak opadanie to dzieje się jakby w dwu poziomach: zarówno w strefie kultury wysokiej, elitarnej kultury geniuszy, jak też w sferze kultury upowszechnionej. Zwłaszcza w tym drugim zakresie występuje już od dawna zjawisko, że czym szersza adaptacja, tym również szersza prymitywizacja. I

tu powracamy do sprawy postępu technicznego: kultura została nadmiernie stechnicyzowana, udoskonalona w procesie promocji i emisji, a jednocześnie beznadziejnie wyjałowiona z elementu prawdziwie twórczego.

Przejawem najlepiej dostrzegalnym jest masowo-traumatyczny odbiór muzyki, która w okropnym współczesnym dykcjonarzu uzyskała nazwę „młodzieżowej". Wprawdzie powie ktoś, że na recitale Pavarottiego też przychodzą tłumy, ale te tłumy jednak słuchają, a nie tylko współwyją. Ta muzyka typu rock, hard metal i inne odmiany, jest muzyką coraz gorszą, coraz silniej podpierającą swą nijakość efektami wizualnymi równie mizernej jakości, jak strojami, światłami, dymami *et caetera*. Ryk zbiorowego transu jest świadectwem odindywidualizowanej percepcji, która niewiele różni się od ryku tłumów na meczu piłki nożnej lub *baseball'u*.

W dużej odległości od owej kultury upowszechnianej ciurka wątlutka kultura elit, która ni tym elitom, ni komukolwiek innemu nie ma zaiste wiele do oferowania. Zasępiona nad problemem, co tu jeszcze nowego wymyślić, czego dotychczas nie było, a było wszystko, wszystko i jeszcze trochę więcej. Pisałem o tym w nr 12/91 *Kultury* i nie chcę się powtarzać.

Z jednej strony poszerza się więc odbiór kultury i to teoretycznie jest zjawiskiem znakomitym, ale następstwa owego poszerzania są raczej opłakane, bowiem coraz mniej w tym wszystkim kultury, coraz więcej jej imitacji. Z drugiej strony zwęża się odbiór „kultury wysokiej". Jest czymś oczywistym, że presji komercjalizacji i konkurencji ulegają instytucje dla funkcjonowania kultury niezbędne: producenci, wydawnictwa, środki masowego przekazu, a w ostateczności także dyrektorzy teatrów, galerii i tym podobnych. Tak więc „kultura wysoka" broni się jeszcze „z wież Alpuhary", ale obrona słabnie, bo i ona, ta właśnie kultura elit, nie za wiele ma do zaoferowania. W wielkim zamieszaniu naszego małego światka wysychają źródła i dlatego trzeba coraz częściej sięgać po odsoloną wodę morską.

Obawiam się więc, że obok nacjonalizmów i ideologizmów, obok zatraty kierunku, celu i miary, jednym z głównych nieszczęść ostatniej prostej naszego stulecia jest swoisty uwiąd kultury, rozpłaszczanej przez potężny walec przyśpieszenia. Gdy się lubi zaglądać w zakamarki dziejów, to człowiek staje wobec analogii, które zdają się potwierdzać Spenglerowski katastrofizm, choć katastrofa następuje w nieco inny sposób niż to określił niemiecki filozof.

I zaczyna się — przyznajmy: całkiem niedemokratycznie — wzdychanie do minionych epok elit (już widzę oczyma duszy grymas dyzgustu na obliczu Gustawa!). Jeżeli jest coś do uratowania, to nastąpić musi wielki zryw dokształcania mas, które przestały być marksistowskimi masami klasowymi, bo wessały w swą masowość wszystko: od robola po milionera. A gdzie leży błąd? W którym miejscu zboczyliśmy z pozornie wyraźnej drogi ku „świetlanej przyszłości"? Jak już napisałem : nie znam daty. Miejsca też.

A co z tego wszystkiego wynika dla wizji roku 2000? Czytelnik który dotąd dotrwał przy tej nudnawej lekturze będzie zawiedziony: wedle mnie nic nie wynika. Jak zwykle w obrotach dziejów dokonują się w obrębie ludzkości jakieś manichejskie zmagania między światłem i mrokiem, ale żadna strona nigdy nie bierze zdecydowanej przewagi, jest zawsze efemeryczna. I tak będzie nadal, bo gdyby Pan Bóg chciał stworzyć świat idealny, złożony z samych cnotliwców, to by go stworzył, ale chciał stworzyć laboratorium dusz i stworzył.

Na dobrą sprawę to, co z pewnością przyniósł ludzkości przemijający wiek, to likwidacja dotychczasowych oddaleń. Wszystko znalazło się w zasięgu jeśli nie ręki, to przynajmniej telewizora. Znaleźliśmy się „w kupie", ale to bynajmniej nie wpłynęło na przechylenie szali na rzecz światła lub mroku. I mógłbym opisać jeszcze kilka dalszych przykładów korzyści i strat, jakie w tym niedoskonałym wieku stały się udziałem ludzkości, jednakże z tego w dalszym ciągu nic by nie wynikło.

Obawiam się, że w roku 2000 żadnego końca świata nie będzie, a obawiam się dlatego, że to oznacza tylko wydłużenie procesu. Ten bowiem na skutek narastającego ścisku na tym globie nie przedstawia się różowo. Po prostu: ów ścisk jest apokalipsogenny. I czy się katastrofa dokona przez rozpętanie wojen nuklearnych czy też przez ludzką samozagładę ekopsychiczną, to w gruncie rzeczy nie ma znaczenia dla ofiar. Niezależnie bowiem od strony jasnej i od strony ciemnej ofiary po prostu cierpią. Za co?

W roku 2000 żaden miłoszowski stary ogrodnik, który „przewiązując pomidory" nie będzie się — jako prorok — niczemu dziwił, niczego też nie dostrzeże. I jedynie w wymiarach spłaszczonej kultury mas można sobie wyobrazić archaniołów dmących w trąby: jeden będzie w mundurze, drugi będzie osłaniał twarz chustą schizofrenicznego geniuszu, a trzeci będzie lśniącym metalem i tworzywami sztucznymi robotem.

Tymczasem gdzieś tam, w dziwacznym mieście — ni to żywym, ni to martwym — położonym nad małym słonym morzem nad deltą dawnej świetności, turyści będą się nadal gromadzić przed ołtarzem niderlandzkiego mistrza, który — zrabowany przez szypra z napadniętego statku — dostał się tu jako nabożny dar. I będą patrzeć na stronę prawą, gdzie tłum udu-

chowionych golasów wchodzi w bramy Jeruzalem niebiańskiej, i będą jeszcze intensywniej patrzeć na stronę lewą, gdzie paskudne diabły rzucają w żar piekielny zdesperowanych grzeszników. Ale mało kto patrzy w sam środek tryptyku. A nawet jeśli patrzy, to nie widzi, że pancerz archanioła Michała jest tak wyglansowany, że się w nim odbija nasze zmartwychwstanie, tyle że w odwróconym porządku. Bo pośrodku jest lustro. Czyli nic.

Tadeusz CHRZANOWSKI

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ
GALERIE LAMBERT
Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Dziennik pisany nocą

Neapol, Boże Narodzenie 1991

Dzieje Srebrnej Szkatułki, w pierwszą rocznicę jej śmierci.

Jim Vodnick był moim przyjacielem od września 1945, roku oswobodzenia Rzymu. Piło się wtedy w Rzymie na umór, Amerykanie z radości, Polacy na ogół ze smutku i poczucia zawodu. Jak więc do tego doszło, że co jakiś czas popijałem z Jimem, porucznikiem amerykańskich wojsk pancernych, mimo że do butelki ciągnęło nas z odmiennych całkowicie powodów? Jak mogłem wytrzymać jego hałaśliwą często wesołość w małej tawernie, uczęszczanej przeważnie przez wojskowych amerykańskich, w okolicach Placu Hiszpańskiego? Miałem po prostu słabość do tego młodziutkiego chłopca, zdumiewająco na swój wiek oczytanego, wrażliwego, dowcipnego, tryskającego energią, niekiedy jednak wpadającego nie wiadomo dlaczego w depresję tak głęboką, że ja, właśnie ja, musiałem go wyciągać z owych zapaści, na szczęście dość rzadkich. Poznałem go w *foyer* dla pracowników polskich i francuskich pism wojskowych. Zjawił się tam któregoś dnia rano, poszukując „z ciekawości" jakiegoś kontaktu z Polakami. Wiedział, ale tylko wiedział, o swoim dalekim pochodzeniu polskim, nie umiał ani słowa po polsku, nie miał o Polsce prawie żadnego pojęcia, rodzice wychowali go w celowym oderwaniu od wszelkich zainteresowań krajem urodzenia dziadków. Swoją karierę wojenną zaczął w stopniu podporucznika w Normandii, w oddziałach inwazyjnych; na front włoski przeniesono jego pułk u progu 1945 roku.

Po wyjeździe do Anglii w roku 1947 straciłem go z oczu. Bez odpowiedzi pozostał mój list, wysłany na jego adres rzymski (miał nad Tybrem, w pobliżu mostu Milvio, ładne mieszkanie; przydzielono mu je, gdy z linii został odkomenderowany do

wojskowego zarządu Wiecznego Miasta). Mogło to świadczyć albo że wrócił do swojego macierzystego pułku w północnych Włoszech, albo że objęła go częściowa demobilizacja i dostał się wreszcie na jakiś uniwersytet w Stanach, albo po prostu że postawił krzyżyk na naszej wojennej przyjaźni. To ostatnie wydawało mi się najbardziej prawdopodobne, ja sam — gdyby nie Srebrna Szkatułka — zapomniałbym szybko o rzymskich libacjach z Jimem.

Srebrną Szkatułkę widziałem wtedy tylko raz, podczas jedynej wizyty w mieszkaniu Jima nad Tybrem. Była bardzo piękna i bardzo stara. Niewątpliwie w przeszłości czyszczono ją regularnie, ale mimo to w srebrze wiły się cienkie, czarnawo-matowe, pasemka — dowód wieku. Około półmetrowej chyba wysokości (nie na tyle jednak wysoka, by nazwać ją szkatułą), cztery ścianki miała pokryte niezbyt wypukłymi płaskorzeźbami, cudownej snycerskiej roboty: Droga na Golgotę, Ukrzyżowanie, Złożenie do Grobu, Zmartwychwstanie. W łukowatym wieku wyryta była twarz Chrystusa, podobna trochę do wspaniałego, dramatycznego oblicza ze *Zmartwychwstania* Piero della Francesca. Dno pieczętował w gładkim srebrze herb pierwotnych pewnie posiadaczy: kołczan ze strzałami i proporzec z literą D. Wieko przymocowane było w dwóch rogach posrebrzanymi, albo także srebrnymi obrączkami. Masywna, na oko bardzo ciężka, Szkatułka zdumiewała względną lekkością: bez nadmiernego wysiłku można ją było, oczywiście pustą, podnieść w dwóch rękach do góry. Co w niej przechowywano, do czego służyła? Nie mogła być skarbczykiem, skoro prócz klamry brakowało jej solidnego zamknięcia. Zanadto była drogocenna, by składano w niej błahostki domowe; za wąska wydawała się na księgi podręczne. Więc? Jedyne co przychodziło mi do głowy, też ze znakiem zapytania, to ważne dokumenty rodzinne.

Byłem nią więcej niż zachwycony, po prostu urzeczony. Nie mogłem, podczas tej jedynej wizyty w mieszkaniu Jima, oderwać od niej oczu, to przyglądałem jej się z bliska, to podchodziłem, żeby dotykiem dłoni wyrazić moją admirację. Prócz pięknej roboty, tkwiło w niej coś osobliwego, jakby była odpryskiem nieznanej historii. Jim patrzył na mnie z uśmiechem, zdawał się teraz dopiero, dzięki mnie, odkrywać co posiada.

Nie musiałem go nawet prosić, żeby wyjaśnił w jaki sposób wszedł w posiadanie Srebrnej Szkatułki. Opowiadał swobodnie, ze smakiem, z zadowoleniem, nawet z pewnym odcieniem dumy, chociaż chodziło przecież, no nie o kradzież może, powiedzmy o „łup wojenny". W Normandii jego pułk pancerny wypierał Niemców w powolnym odwrocie i trafił na silny opór w klasztorze, położonym pięć kilometrów za jakimś miasteczkiem.

Klasztor powitał kolumnę amerykańską ostrym ogniem. Walka trwała całe popołudnie, o zmierzchu czołgi amerykańskie szykowały się do ostatecznego natarcia, gdy nastąpił wybuch: Niemcy zaminowali przed cofnięciem się część budynku od strony drogi. Ocalało skrzydło klasztoru, pustego, bo — jak się potem okazało — zakonników benedyktyńskich wypędzono z niego wcześniej. Postanowiono tu zatrzymać pochód na całą noc. Jim obchodził nocą śpiących żołnierzy, omiatał latarką pogruchotane ściany długiego korytarza, kopnięciem otwierał kolejne cele, aż w ostatniej, blisko okna wiszącego na resztkach gruzu nad krużgankiem klasztornym, zauważył coś połyskującego w świetle latarki i wystającego z kopca odłamków w rogu. Była to Srebrna Szkatułka. Odgrzebał ją delikatnie i bez chwili wahania uznał za swoją „zdobycz". Owinięta plandeką i obwiązana sznurkami, stanowiła odtąd część jego wojennego bagażu.

Czy był nią, jak ja, zachwycony od pierwszego wejrzenia? Nie, właściwie nie, chciał mieć „pamiątkę", nie przyszło mu w ogóle do głowy, że zakonnicy wrócą przecież w końcu do klasztoru, że będą zbierać ocalałe resztki swej własności. Wrażliwy, inteligentny Jim zaraził się szybko „prawami wojennymi".

Wykreśliłem zatem Jima z pamięci, jak zresztą wielu innych towarzyszy broni, z którymi znajomość lub przyjaźń nie dotrwała do czasów powojennych. Nie próbowałem się nawet dowiedzieć o jego dalsze losy. Ale, szczerze mówiąc, nie wykreśliłem z pamięci jego „wojennego łupu". Srebrna Szkatułka odżywała wciąż w moich myślach, niekiedy pojawiała się przelotnie w moich snach. I w miarę upływu czasu nabierała pełnej autonomii, aby w końcu oderwać się całkowicie od swego szczęśliwego posiadacza. Zaistniała sama, jak gdyby była przedmiotem żywym, nasyconym swoją nieznaną przeszłością, zamkniętym w sobie i zazdrośnie strzegącym swej tajemnicy, przedmiotem którego nie dotykały nigdy ręce ludzkie z wyjątkiem rąk twórców. Łatwo zauważyć, że po jednym z nią zetknięciu w Rzymie Srebrna Szkatułka stała się dla mnie obsesją, jaką bywa czasem zobaczona raz w tłumie kobieta, lub złowiony z okna pociągu krajobraz.

W listopadzie 1955 roku osiedliłem się w Neapolu. Kilka miesięcy później, wiosną następnego roku, wybrałem się którejś niedzieli nad Zatokę Amalfitańską. Ciągnęło mnie Ravello, które widziałem bardzo krótko tuż po wojnie. Wjechałem na górę, zaparkowałem samochód na placu katedralnym i poszedłem do cudownej *Villa Ruffolo*, o której ówcześni przewodnicy jednym tchem mówili, że gościła Wagnera i Wiktora Emanuela III w okresie procesu abdykacyjnego. Ravello uchodziło zawsze za miejscowość ulubioną przez bogatych Anglików i Amerykanów,

nie dziwiła więc mowa angielska rozlegająca się nieustannie w barach, restauracjach i na spacerach. Wtem usłyszałem za plecami znajomy głos, przerywany charakterystycznymi wybuchami śmiechu. Tak, to był Jim Vodnick. Odwróciłem się i poznałem go z trudem: utył, należałoby powiedzieć: spęczniał, postarzał się bardzo (w trzydziestym drugim roku życia!), miał czerwoną, nalaną twarz pijaka. Padliśmy sobie w objęcia, oczy zaszły mi łzawą mgiełką, podejrzewam że bardziej z racji Srebrnej Szkatułki, niż z okazji spotkania przyjaciela czasu wojny. Jim był o dwunastej w południe mocno wstawiony, zdołał mi jednak dość bełkotliwie opowiedzieć, że po moim wyjeździe ożenił się w Rzymie z Włoszką, zarobił dużo pieniędzy („mniejsza o to jak") i przeniósł się z żoną do Ravello, do kupionej „za pół darmo" willi blisko Cimbrone, ze wspaniałym widokiem na Zatokę Amalfitańską. Myślałem tylko o jednym: zaprosi do siebie czy nie, uda mi się zobaczyć Srebrną Szkatułkę? (Nie wątpiłem, że była wciąż w jego rękach). Zaprosił na obiad, bardzo wystawny i obficie zakrapiany, poznałem jego żonę Clementinę, ładniutką i głupiutką, powspominaliśmy trochę powojenny Rzym, czekałem w ciągłym napięciu, czy zobaczę... Po obiedzie przeszliśmy do sąsiedniego pokoju na kawę i koniak, tam w kącie obok okna wychodzącego na Zatokę stała na okrągłym stoliku Srebrna Szkatułka. Jim zapomniał widocznie o mojej fascynacji jego „wojennną zdobyczą", bo siedząc do niej plecami w głębokim fotelu kontynuował swój pijacki bełkocik, nie zwracając uwagi na moje ukradkowe spojrzenia w stronę kąta pokoju. Biedny Jim! W ciągu tych dziesięciu lat „robienia pieniędzy" i całej reszty, łącznie z przenosinami do Ravello, zgrubiał nie tylko fizycznie. Przepadła gdzieś cała jego subtelność i inteligencja, nie obchodziły go już książki, bywał chwilami wulgarny, choć bystre oko nie mogło nie dojrzeć jakiejś desperacji pod tym pokostem schamienia. Używam z żalem tego słowa, ale było niestety ścisłe. Przy czym odnosiło się wrażenie, że w jakiś sposób, prowokacyjnie, chełpi się swoim schamieniem, popisuje się nim na pokaz.

Odtąd, przez wiele lat, widywaliśmy się dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. I zawsze w Ravello, gdzie byłem zapraszany na „lukullusową ucztę" (jak lubił ją określać Jim). Z jakichś nieznanych mi przyczyn, związanych może z jego „interesami" („dość brudnymi", dorzucał ze śmiechem), nie przyjeżdżał nigdy do Neapolu, nawet liczne rozjazdy lotnicze zaczynał i kończył w Rzymie. Nie odżyła już nasza wojenna przyjaźń, z pewnym naciąganiem można było nazwać nasze stosunki „zażyłością", ale rzeczy ułożyły się przyjemnie na płaszczyźnie wzajemnej sympatii. Z trudem trawiłem jego wiecznie rozpaplaną i rozmizdrzoną żonę, co raczej niż sprawić mu przykrość, wprawiało go w dobry humor. Ile to wszystko trwało lat? Policzmy. Od wiosny 1956 do późnej jesieni 1990 roku. Nie muszę chyba dodawać, że każda moja wizyta w *Villa Clementina* była przede wszystkim wizytą u Srebrnej Szkatułki. Raz, w drugi dzień Wielkiejnocy 1975 roku, *Pasquetta* tak mnie alkoholicznie nastroiła, że wieczorem nie było mowy o powrocie samochodem do Neapolu. Spałem na rozłożonym fotelu w pokoju Srebrnej Szkatułki. Długo, długo wspominałem tę noc. Obudziłem się o świcie z rozbolałą głową. W oknie bardzo czerwone, krwiste słońce wykluwało się z morza na linii horyzontu. Nieruchomość Zatoki, szaro-ołowiana czy matowo-srebrna o świcie, bez drgnienia fal, kazała myśleć o dywanie rozwiniętym dla Szkatułki w kącie pokoju obok wyjścia na taras. Pchnąłem oddrzwia i wyszedłem ze Srebrną Szkatułką w ramionach. Poczułem dreszcz, jakbym w objęciach trzymał i do piersi przyciskał żywą istotę. Zdecydowanie byłem na dobrej drodze do poplątania zmysłów. Potem postawiłem Szkatułkę na jej zwykłym miejscu i nie spałem już do rana, patrząc jak wschodzące słońce pieści ją złotawymi błyskami. Czy to możliwe żebym przeczuwał wtedy, że Srebrna Szkatułka *jest*, na swój sposób, żywą istotą?

W listopadzie 1990 umarł na atak apopleksji Jim, o czym zawiadomiła mnie listownie Clementina. List zawierał również wiadomość, że w testamencie zapisał wszystko żonie, z wyjątkiem Srebrnej Szkatułki, która (jego słowa) „powinna należeć do mojego, zakochanego w niej od pierwszego spojrzenia, przyjaciela". Dobry, zacny Jim! Dawna subtelność przebiła jednak jego zgrubiałą skórę.

Przyjechałem do Ravello następnego dnia rano. Wypiłem z Clementiną kawę, musiałem wysłuchać jej długiego opowiadania o ostatnich chwilach męża („*poveretto*, śmierć miał lekką"), cały czas siedząc jak na rozżarzonych węglach, wtórując mimo to grzecznie rozgdakanej wdowie, a nawet — co wymagało nielada wysiłku — wpinając w kwiecisty bukiet jej wspominków drobne listki moich. W końcu, Najwyższemu niech będą dzięki, jechałem ze Srebrną Szkatułką, na siedzeniu obok mnie w tekturowym pudle, najpiękniejszą chyba na świecie drogą nad Zatoką Amalfitańską, w kierunku na Sorrento do domu. Jaki byłem szczęśliwy!

Wkrótce po powrocie z Ravello do domu, w okresie Bożego Narodzenia, gdy zaczynałem już z satysfakcją przywykać do Srebrnej Szkatułki ustawionej na specjalnym postumencie drewnianym we wnęce mojego pokoju, gdy dzień witałem i do snu szykowałem się gładząc czule jej ścianki i wieko, zauważyłem ze ściśnięciem serca, że czernieje; i to czernieje nieodwołal-

nie, jak podejrzewałem, skoro wąskie czarniawo-matowe pasemka stawały się z każdym dniem szersze. Od momentu wejścia w posiadanie Szkatułki często, co kilka dni, czyściłem ją płynem używanym do czyszczenia srebra. I oto przestał działać. Dlaczego?

Znajomi polecili mi konserwatora muzealnego z działu sreber dawnego Pałacu Królewskiego, człowieka o wielkiej wiedzy, znajomości przedmiotu i o równie wielkim uroku osobistym. Zarekomendowany gorąco, uprosiłem go by przyszedł do nas na kawę w drugi dzień Świąt. Obejrzał dokładnie Srebrną Szkatułkę, uznał ją za dzieło „prawdziwego artysty" z XVI stulecia, nagłe czernienie przypisał nie — jak się spodziewałem — stałej wilgoci w Neapolu (nie ma jej w takim natężeniu w Ravello), lecz „naturalnemu procesowi starzenia się". Jego zdaniem, srebrne przedmioty posiadają „granicę wieku". Jak ludzie. Nadchodzi wiek, kiedy nic nie jest w stanie powstrzymać żółknięcia cery, plam na skórze i rozmnażania się zmarszczek. Podobnie jest ze srebrem. Im dłużej, dzięki pielęgnacji, srebro broni się przed czernieniem, tym gwałtowniejszy i szybszy jest potem proces dekadencji, swoistej zgrzybiałości metalu. „A ta Szkatułka, przyznaję że wyjątkowo piękna, liczy sobie na oko pięć stuleci. Dziwi mnie jej niezbyt duży ciężar. Prawdopodobnie ścianki w środku są puste, płytki z płaskorzeźbami wsuwano, zachowując trochę przestrzeni między nimi i ściankami wewnętrznymi. Można to sprawdzić, choć gołe oko nie chwyta żadnych śladów montażu. Wyborny artysta i wytrawny majster".

Tegoż dnia wieczorem z najwyższą uwagą, posługując się szkłem powiększającym, zbadałem ścianki oraz górne i dolne krawędzie Szkatułki. Bez żadnych rezultatów. Majster był tak wytrawny, że rozbroił nawet dobrze uzbrojone oko. Nazajutrz rano, przy świetle ostrzejszym od światła lampy, ponowiłem poszukiwania. Mnie samego zadziwił upór, podszyty pewnością, absolutną pewnością wewnętrznego jasnowidzenia, w tych poszukiwaniach, po których — nie wiadomo dlaczego, chyba wiedziony przeczuciem — obiecywałem sobie odkryć coś więcej, niż sekret budowy Szkatułki. Wreszcie wczesnym popołudniem, wciąż jeszcze przy mocnym świetle słonecznym, spostrzegłem pod obrączkami przytrzymującymi wieko dwie cienkie kreski, które robiły takie wrażenie, jak gdyby ktoś przylepił do krawędzi ucięty włosek. Nacisnąłem jedną ostrzem małego nożyka. Kreska rozszerzyła się, naciskając z większą siłą, pchnąłem listewkę wtopioną w krawędź Szkatułki, zupełnie niewidoczną. Dokładnie to samo z przeciwległą krawędzią. Miał rację mój konserwator muzealny: pod listewkami, między dwiema wewnętrznymi ściankami i płytkami z płaskorzeźbami, była pusta przestrzeń. Wypełniona czymś, co wyglądało na papier. A były

to arkusiki delikatnego pergaminu jednakowego formatu, dobrze niby na pierwszy rzut oka zachowane, ale w zetknięciu z powietrzem trudne zapewne w palcach do utrzymania bez groźby rozpadu. Udało mi się wyciągnąć je szczypcami z obu ścianek i ułożyć na stole. W sumie dwadzieścia cztery arkusiki zapisane po obu stronach dość drobnym pismem, po włosku i w niektórych miejscach po łacinie. Zadrżałem na widok pierwszych i ostatnich słów. „Ja, Cesare baron Demagno..." i podpis „Abas Petrus"; pod nim zaś data 1560.

Dla badaczy szesnastowiecznych kronik historia rodu Demagno należy do najbardziej ciekawych i najbardziej intrygujących. Można bez przesady powiedzieć, że tyle jest jej wersji ilu autorów. Wspólny jednak wszystkim wersjom motyw, ograniczony do nagich faktów (jeżeli fakty bywają kiedykolwiek nagie), brzmi tak.

Baron Federico Demagno, właściciel dwóch zamków w Apulii, jednego między miejscowościami Altamura i Gravina, drugiego między miejscowościami Mottola i Palagiano, blisko Taranto, opowiedziawszy się po stronie Francuzów przeciw Hiszpanom, musiał w roku 1528 uciec z Królestwa Neapolu do Francji. Na letnim zamku Panicale (tym drugim) została z rozkazu barona Federico część rodziny ze służbą: dwudziestopięcioletnia córka Teresa i o trzy lata od niej starszy syn Cesare, który zarządzał włościami w pobliżu zamku. Zamek starszy, dziedziczne feudum rodu nad rzeką Gravina, zostawił baron Federico pieczy żony Cateriny i dwóch synów Moro i Lorenzo. Nazywał się Turrita. W jego właściwie murach toczyło się większą część roku życie rodu Demagno, na zamku Panicale spędzano zazwyczaj trzy miesiące letnie. Ucieczka barona Federico zdarzyła się w trakcie przeprowadzki, na początku czerwca, postanowiono więc w obawie przed hiszpańskimi represjami podzielić rodzinę na dwa człony czuwające w obu zamkach.

Teresa Demagno była poetką, marzyła o wydobyciu się z nudy i izolacji domowego uwięzienia, w wierszach szukała zapomnienia i pociechy. Poetą był również Don Miguel Molinos, hiszpański kapitan z twierdzy w Taranto, właściciel (przez włoską żonę) majątku Pastorizia, w połowie drogi z Panicale do Taranto. Preceptor na zamku Panicale jeździł co tydzień, w niedzielę, do Pastorizii, gdzie uczył kapitana Molinos włoskiego na piśmie. Don Miguel, który nigdy w życiu nie widział Teresy posłał jej przez preceptora swoje hiszpańskie wiersze, otrzymując w zamian włoskie wiersze Teresy. Był to niewinny związek dwojga poetów, który mógł się zamienić w głębsze uczucie, gdyby wymknął się spod czujnego oka włoskiej żony Hiszpana. Natomiast nie wiedział o nim Cesare, brat Teresy, gwałtownik

gotów zawsze do zwady. Którejś niedzieli o zmierzchu zauważył z okna zamku preceptora wręczającego Teresie papierowy rulon. Zbiegł szybko na dziedziniec zamkowy. Nie pomogły tłumaczenia, błagania, zaklęcia. Zasztyletował natychmiast preceptora. W poniedziałek o świcie znaleziono w łóżku Teresę martwą, ze śladami uduszenia. Cesare znikł. Niebawem okazało się, że popędził na koniu do Pastorizii i zastrzelił tam z ukrycia kapitana Molinos. Potrójny mord zmusił go do ucieczki z Królestwa Neapolu. Wymknął się pościgowi, udało mu się zbiec do Francji. Tam, według wszystkich istniejących kronik, wstąpił („skruszony i Boga proszący o przebaczenie") do zakonu benedyktynów. Posyłano go z klasztoru do klasztoru, by „zatrzeć ślady jego ziemskiej wędrówki". Żadna z kronik nie podaje nazwy ostatniego klasztoru u kresu jego zakonnej peregrynacji. Wiadomo tylko, z niezbyt pewnych świadectw, że „Bogu oddany ciałem i duszą, z Bożej łaski serce mając odmienione nieustannymi modlitwami", został w tym klasztorze opatem i „zasnął w Panu przeżywszy siedemdziesiąt osiem lat". Nieliczni w zakonie znali jego prawdziwe nazwisko. Umarł jako Opat Piotr. Z rodu Demagno przeżył go jedynie o siedem lat młodszy brat Moro.

Kiedy przed wielu laty, ulegając mojej słabości do starych kronik, natrafiłem na kilka wersji tej szesnastowiecznej *storia di passione*, obiecałem sobie zwiedzić miejsca, w których się rozegrała (kronikarze używali słowa *passione* w sensie „namiętności rodowej"). Traf chciał, że właśnie w tym czasie zaproponowano mi wygłoszenie odczytu w Bari. Zaproszenie do Bari zamieniło się w małą podróż apulijską.

Pojechałem z Bari najpierw do Altamury, a stamtąd drogą wzdłuż rzeki (czy rzeczki Graviny) na zamek Turrita. Był opuszczony, niezamieszkały nawet w dolnych komnatach (co na południu Włoch przytrafia się dość rzadko; na ogół bezdomni z ludu żywią się nędznymi resztkami pańskiej świetności), skruszały i rozsypały się do połowy cztery wieżyczki, ocalały jedynie ruiny murów. Wewnątrz, gdzie można było dostrzec fragmenty ścian najniższego piętra, rozkrzewiła się dzika roślinność, wybujała i zachłanna. Nie śmiałem wejść na schody prowadzące wyżej, były zarośnięte, a trawa między kamieniami wskazywała, że są rozchwiane. W październikowy, chmurny dzień szare i ciężkie niebo było jakby odbiciem ruin. Turrita, położona w pustym polu, odpychała i wywoływała lekki dreszcz lęku. Szybko ruszyłem dalej, drogą z napisem Mottola-Palagiano.

Zupełnie inny był zamek Panicale, choć też zbudowano go na odludziu. Znacznie lepiej zachowany, nienaruszony w ładnej, okrągłej konstrukcji z jedną wieżyczką i tarasem na dachu, z rzędem zamurowanych do połowy okien dookoła całej rotundy,

w swojej masywności podobny do twierdzy warownej, mógł nasuwać pytanie dlaczego nikt nie pomyślał o jego odrestaurowaniu, dla celów mieszkalnych lub zabytkowych. Czyżby obawiano się cieni tego, co tu zaszło w XVI stuleciu? Z zajazdu i dziedzińca roztaczał się widok na dolinę, która skręcała za wysuniętym do przodu cyplem wzgórza i rozpływała się w ciemnej ścianie lasu. Za tym lasem, prawdopodobnie, zaczynał się już zjazd w stronę morza, do Taranto.

Odwróciwszy się, zauważyłem smużkę dymu w dużym wklęśnięciu muru obok bramy, które służyło pewnie niegdyś do zostawiania koni przed wejściem na dziedziniec zamku. Przy małym ognisku siedział stary żebrak i grzał ręce i wodę w kociołku. Szedł z Taranto. Poprzedniej nocy spał w stodole Pastorizii, za pozwoleniem właściciela majątku. Majątek, jak mi wyjaśnił, leżał między załomem doliny i lasem. Nie widać było stąd jego zabudowań.

Wyobrażałem sobie tę scenę: wysokiego Cesare, który rozwija rulon papieru, po czym krzyczy, krzyczy, jednym pchnięciem zwala na ziemię nieszczęsnego preceptora, wbija mu sztylet w samo serce; drobną Teresę, skurczoną w załomie muru, zasłaniającą dłońmi oczy. Na górnej kondygnacji zamku wszedłem na korytarz i stanąłem przy oknie; kiedyś było oknem komnaty, świadczyła o tym półokrągła nieforemność muru. Może stało się to właśnie tutaj? Co się stało? Oparłem się o chropowatą ścianę i przymknąłem oczy. Jak w halucynacji słyszałem szepty, słowa bez cienia gniewu czy nienawiści, po czym kobiecy jęk-charkot. Naraz wszystko ucichło, otworzyłem oczy, zamek pogrążony był w martwocie, z dołu dochodziły ledwie dosłyszalne odgłosy żebraczej pieśni, przerywanej ni to kaszlem, ni starczym rzężeniem.

Byłem, jak widać, dobrze przygotowany do lektury rękopisu znalezionego w Srebrnej Szkatułce. Z jednej z kronik wiedziałem nawet więcej: że, mianowicie, Srebrna Szkatułka była umiłowanym przedmiotem Teresy Demagno, która uczyniła z niej swoją sekretną skrytkę; jej powierzała Teresa własne wiersze i potem także wiersze Don Miguela. Cesare Demagno, uciekając z zamku Panicale po dwóch zabójstwach i pędząc do Pastorizii dla dokonania trzeciego, nie był w swoim ataku szału na tyle opętany, by zapomnieć o porwaniu na pamiątkę fragmentu bodaj swej zamykającej się na zawsze przeszłości włoskiej. Porwał Srebrną Szkatułkę.

Co, na miłość Boską, co mnie skłoniło do zaniechania lektury rękopisu Opata Piotra tego dnia wieczorem, jaki zły duch podszepnął mi odłożenie jej do następnego dnia rano? Obawiałem się, że ostre światło lampy elektrycznej uszkodzi delikatne, prze-

szło cztery wieki liczące, arkusiki pergaminu? Byłem zbyt podniecony moim odkryciem, wolałem (pamiętając o moich dolegliwościach sercowych) ochłonąć nieco w ciągu nocy? Bóg jeden wie, jeśli akurat czytał w moich myślach i uczuciach. Dość (pisząc o tym po roku, czuję jak odżywa stary ból), dość, że nakryłem rozłożony na stole rękopis jedwabną chustą, a gdy uniosłem ją w poświąteczny ranek... Jakim piórem opisać to co zobaczyłem? Podczas nocy, na skutek długiego działania powietrza, rękopis dosłownie rozłożył się na drobne płatki, jakby ktoś systematycznie — arkusik po arkusiku — podarł go na strzępy. Siedziałem przy stole rażony gromem. Odruch wściekłości na samego siebie pchał mnie już prawie do wyrzucenia tych mizernych, pokruszonych, niekiedy obróconych w proch, resztek drogocennego rękopisu do kosza na śmieci. Na szczęście, po kilku chwilach wewnętrznej rozterki, wziął górę głos rozwagi. Uzbrojony w miniaturowe szczypce, postanowiłem ocalić — a raczej spróbować ocalić — drobne przynajmniej odpryski potłuczonej, dziennym światłem roztrzaskanej opowieści starego opata, która w ciemnym, hermetycznie zamkniętym schowku Srebrnej Szkatułki zdołała przetrwać tak ogromny szmat czasu, by rozsypać się w topornych rękach swego późnego i przypadkowego odkrywcy.

U dołu pierwszej stronicy zachował się skrawek z dość długim, choć uciętym, zdaniem: „T. była nie tylko moją siostrą, ja byłem nie tylko jej bratem, byliśmy...". Można je było uznać za uratowany cudem klucz do całej opowieści opata. I za wyznanie rewelacyjne, przekreślające tendencję wszystkich kronik epoki, niezależnie od różnych, zawartych w nich wersji przebiegu wypadków. We wszystkich bowiem trzy zbrodnie młodego barona Demagno służyły za przykład tak wysokiego (niektórzy późniejsi komentatorzy kronik dodawali: zaślepionego, namiętnego, obłąkanego, chorobliwego) poczucia honoru rodowego w owych czasach, że bez żadnych dowodów, na podstawie niewinnej wymiany listów, nie drgnęła ręka brata karzącego „splamienie imienia" siostry (ukaranej również śmiercią). Sami kronikarze, pilnując w zasadzie rzeczowości swych kronik, nie zawsze potrafili między wierszami zapanować nad oznakami wzburzenia.

Drugiego podobnego zdania (równie długiego) nie znalazłem już w proszku na moim stole. Co najwyżej tu i ówdzie dwa-trzy słowa, które pozwalały się czegoś domyślać, które pobudzały wyobraźnię, stanowiły urwane przęsła zniszczonych mostów nad otchłanią milczenia. Cały dzień spędziłem nad resztkami opowieści opata. W moich usiłowaniach było coś z rozwiązywania łamigłówki. Wytworzyłem sobie w końcu pewien obraz, pełen luk i pytajników, który tutaj pobieżnie przedstawię, prosząc jednak historyków epoki o pamiętanie, że trudno w nim

(również mnie samemu) odróżnić przekaz i rekonstrukcję strzępów dokumentu od imaginacji odkrywcy, który starał się coś z niego wydobyć przed ostateczną dezintegracją.

Teresa i Cesare Demagno stali się kochankami na zamku Panicale, kiedy nakaz ojca odłączył ich od reszty rodziny. Ale grzeszna miłość zakwitła wcześniej, na zamku Turrita, ukrywana naturalnie przed otoczeniem (częste łączenie słów *Turrita* i *segreto*, oraz *Panicale* i *passione*). Teresa musiała niebawem oprzytomnieć, bo naraz powtarzają się w dość bliskim sąsiedztwie słowa *distacco, dolore, furore*. W następnej partii słów ocalałych pojawiają się najczęściej *sospetto* i *sangue*. W tym okresie prawdopodobnie zaczęła się, niezauważona dostatecznie wyraźnie przez Cesare, wymiana wierszy między Teresą i hiszpańskim kapitanem, za pośrednictwem preceptora jeżdżącego regularnie co tydzień do Pastorizii. Ostatnie słowa opowieści opata (przed podpisem) są wstrząsającym świadectwem szaleństwa nieuleczalnego, lub diabelskiego opętania. Cesare Demagno pisał je — pamiętajmy o tym — jako sześćdziesięcioletni opat klasztoru benedyktynów, w przeszło trzydzieści lat po uduszeniu siostry. Napisał je po łacinie: *Teresa tota mea.*

Legendą okazała się „skrucha grzesznika", apulijskiego barona-mordercy w benedyktyńskim habicie. Wśród ocalałych w rękopisie słów nie znalazłem ani jednego słowa czy półsłowa chrześcijańskiego pokutnika. To kronikarze uznali za wskazane, a może i budujące, zamykać swoje kroniki wizerunkiem opata „oddanego Bogu ciałem i duszą, o sercu odmienionym nieustannymi modlitwami". Gotów jestem uwierzyć że udawał skruchę, że leżał krzyżem u stóp ołtarza, że modlił się godzinami (inaczej przecież nie zdobyłby zaufania zakonnych superiorów), ale czy prawdziwy pokutnik zakończyłby swoją opowieść tym strasznym *Teresa tota mea*, podkreśleniem po tylu latach swoich „wyłącznych praw" do uduszonej siostry? Czy nie prosiłby Boga o przebaczenie, zamiast ręce zhańbione zbrodnią wyciągać do nieszczęsnego cienia Teresy, jakby nawet on był jego wyłączną własnością? Nie drgnęło jego twarde serce do chwili ostatniego tchnienia. Żył jeszcze osiemnaście lat, gdyby doznał był błogosławieństwa żalu i czystej miłości braterskiej, wystarczyło spalić zapis ukryty w Srebrnej Szkatułce.

Po co, dla kogo zostawił ten zapis? Z całego rodu Demagno przeżył jedynie bezdzietny Moro; zmarł siedem lat po śmierci Cesare. Starszy brat Lorenzo zginął w pojedynku wkrótce po ucieczce Cesare do Francji. W Paryżu zakończył życie baron Federico, w rok potem podążyła za nim żona na zamku Turrita. A zatem? Istnieje tylko jedna możliwość. Opat klasztoru benedyktynów chciał zadrwić z aureoli prawie świętości nad głową „skruszonego grzesznika". Liczył, że dotrze do kogoś

jego opowieść, pogrobowy odcisk zbrodni i niewygasłej, grzesznej miłości; oraz pogrobowy wybuch satanicznego śmiechu w surowej celi klasztornej.

Zgarnąłem ze stołu garstkę pergaminowych okruchów i wsypałem ją do Srebrnej Szkatułki. Była teraz urną z prochami.

31 grudnia

W Boże Narodzenie minęła pierwsza rocznica śmierci Srebrnej Szkatułki. W ostatni dzień roku wyprawiłem jej pogrzeb. Skoro obchodziłem w dzienniku rocznicę śmierci, nie wolno mi na tych samych kartach zapomnieć o obchodzie rocznicy pogrzebu.

W dzienniku... Dziwne może się wydawać, że dzieje Srebrnej Szkatułki, temat na pozór nowelistyczny, postanowiłem wcisnąć między sprawy jakże odmienne, przenieść w wymiar rzeczywistości właściwy, w takiej czy innej postaci, dla każdego dziennika, który jest przecież bądź powinien być z natury swojej przeciwieństwem zmyślenia. Ale po pierwsze, czy ktoś zechce w to uwierzyć czy nie, historia Srebrnej Szkatułki nie jest zmyślona. Po drugie zaś, od bardzo dawna występuję przy byle sposobności przeciw antynomii dziwność-naturalność (prawdopodobieństwo). Kto uważnie śledzi rzeczywistość, kto ćwiczy się w dostrzeganiu pozornej „dziwności" wielu jej objawów, ten wie jak dajemy się ograniczać i pętać w spojrzeniu na „naturalne lub prawdopodobne" zdarzenia, szukając w nich wyłącznie tego, co przemawia do naszego poczucia realistycznej trzeźwości. Nie ma podziału na rzeczy „dziwne" i „naturalne". Jest — jeżeli się tego koniecznie chce — podział na rzeczy „niezwykłe" i „zwykłe", „trudno uchwytne" i „pospolite". Nie świadczy o tym „naturalność" opowiadań (rzekomych fantazji) E.A. Poe? Nie skłania do refleksji fakt, że Dostojewski zaczytywał się w „dziwnych" opowiadaniach E.T.A. Hoffmanna?

Zamieniłem tedy Srebrną Szkatułkę w urnę z prochami opowieści opata. I zabrałem się do pisania krótkiego sprawozdania po włosku, które miałoby w ułomny choćby sposób odnotować moje odkrycie w neapolitańskim przeglądzie historycznym. Spodziewałem się, że redaktor kwartalnika, historyk XVI stulecia na południu Włoch, komentator jednej z kronik potrójnego mordu w rodzie apulijskich karmazynów, z wdzięcznością i radością wydrukuje mój tekst.

Nazajutrz rano zdrętwiałem wprost na widok Srebrnej Szkatułki we wnęce mojego pokoju, nie wierzyłem własnym oczom, nagły przypływ lęku kazał mi cofnąć się w stronę drzwi, jakbym bezwiednie szukał wyjścia. Że Srebrna Szkatułka skazana

jest z upływem czasu na oblekanie się matowo-czarniawą powłoką, wiedziałem od konserwatora muzealnego. Ale była *całkowicie* czarna, i to czarnością przerażającą, niespotykaną w naturze, o intensywności złowrogiej (tylko tym słowem potrafię oddać moje wrażenie). Opanowałem lęk i zbliżyłem się do wnęki, nie dotykając jednak Szkatułki. Płaskorzeźba Ukrzyżowania na ściance zwróconej ku mnie spłaszczyła się i stała czymś w rodzaju bezkształtnej krosty. Przemogłem się i obróciłem Szkatułkę na postumencie. Wszystkie cztery ścianki tknięte były takim samym trądem. Każda ścianka zdawała się podobna do ludzkiej twarzy, każda twarz miała inny wyraz, jeśli wyrazem można nazwać niemożliwy do opisania upiorny grymas. Oblicze Chrystusa zdobiące wieko zatarło się zupełnie. Podniosłem Szkatułkę z drewnianego postumentu: nienaruszone, nieskazitelnie srebrne było dno z herbem rodu Demagno.

Dwudziestego ósmego grudnia powziąłem decyzję, nie zważając na nagłe pogorszenie w moim lichym wciąż stanie zdrowia. Wymagało jednak paru dni przygotowanie tego, co zamierzyłem. Zaprzyjaźniony szofer, który znał dobrze upatrzone przeze mnie miejsce, był wolny dopiero w sylwestrowy wieczór o dziewiątej, z zastrzeżeniem że kurs nie potrwa dłużej niż godzinę, bo o dziesiątej już ulice miasta, w rosnącym paroksyzmie noworocznym, pokryte są ostrymi odłamkami żelaza i szkła, a czasem też niewybuchłymi racami. Kurs nie przekroczył godziny. Pojechaliśmy nad nadmorskie urwisko niedaleko za miastem, niemal prostopadłe, w zeszłym stuleciu i jeszcze na początku obecnego wybierane często przez samobójców. Przytrzymywałem Srebrną niegdyś a dziś czarną Szkatułkę, owiniętą w płótno, ciężką naraz jak nigdy przedtem. Kiedyś, owej nocy w Ravello, przyciskałem ją do piersi jak żywą, ukochaną istotę; teraz martwą oparłem na kolanach, odpychając ją instynktownie od siebie.

Ciemno było w tym omijanym przez ludzi zakątku, na skraj urwiska szedłem pod górę błotnistą ścieżką. W dole szumiało głębokie morze i uderzało miarowo, gwałtownie o skały. Szum morza zagłuszył upadek Szkatułki; nic nie widząc, usłyszałem tylko szybkie i ciche klaśnięcie.

Wyjechaliśmy z ciemności na oświetloną uliczkę, potem na szeroką promenadę wiodącą zakosami do śródmieścia. Czerwone niebo osnute już było siecią fajerwerków, w powietrzu wzmagał się łomot i trzask petard. Pozostały dwie godziny do północy i Nowego 1992 Roku. W jakiej świetlistej, kolorowej i hucznej oprawie odbył się pogrzeb cymelium z bogatych ponoć zbiorów rodu Demagno!

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pod mostem

Siedzieliśmy pod mostem i nie było co jeść. Dawno minęła pora kolacji. W ciemności bulgotała rzeka, ciągnęły od niej zimne opary i zgasła gwiazda pięcioramienna na wieży kremlowskiej, a zwyczajnych gwiazd, tych co na niebie, też ani śladu.

— Eh, żeby tak kawałek kiełbasy... — rozmarzył się Grisza.

— I jeszcze czego... Podziękuj Bogu, że most mamy nad głową.

— Boga nie ma.

— A kiełbasa jest?

Wtem kiełbasa zstąpiła z nieba i zatrzymała się tuż przed naszymi twarzami.

— Zdaje się, że jest jedno i drugie — powiedział Grisza.

I kłapnął paszczęką żeby ugryźć, lecz kiełbasa wzniosła się jakieś trzy wierszki i znowu się zatrzymała.

— Hej, wy tam! — rozległ się głos z mostu — Wy za Demokracją Socjalistyczną czy za Socjalizmem Demokratycznym?

— Co mu odpowiemy? — zapytał Grisza szeptem.

— Ty mu powiedz, że jesteśmy za Demokracją Socjalistyczną, a ja mu powiem, że za Socjalizmem Demokratycznym. W ten sposób zabezpieczymy się na obie strony i spuści kiełbasę.

Tak i zrobiliśmy. Lecz zaledwie echo naszych przekonań odbiło się o kamienne brzegi rzeki Moskwy, gdy kiełbasa wniebowstąpiła. Znaczy się zniknęła na dobre. Zaś na moście rozległy się czyjeś oddalające się kroki.

— To wszystko przez ciebie, durniu — powiedział Grisza. — Czemuś kazał krzyczeć takie rozmaite rzeczy jednocześnie.

— To nie ja winien tylko pluralizm polityczny. A ty byś co chciał, „Za Rodinu, za Stalina" może?

— Kto wie, może by i lepiej było...

Głodni ułożyliśmy się do snu. A swoją drogą ciekawe skąd Pan Bóg wziął taki dobry sznurek. I długi i nie urwał się... U nas takiego nie znajdziesz.

Może mu z Ameryki przysłali?

Sławomir MROŻEK

Wywiady „Kultury"

Rozmowa z rzecznikiem praw obywatelskich prof. Ewą Łętowską

— *Pani rzecznik...*

— Jeżeli panu nie przeszkadza, wolałabym...

— *Rozumiem, Pani profesor...*

— Bo wie pan, za tym tkwi pewna ideologia. Rzecznik to jest stanowisko, a ja jestem ja, na to sobie zapracowałam.

— *Dobrze; zatem pani profesor Ewo Łętowska, dlaczego pani odchodzi?*

— Motywy są dwojakie, subiektywne i obiektywne. Te pierwsze są całkiem proste. Po czterech latach jestem nieprawdopodobnie zmęczona. Nie lubię robić z siebie pracusia, ale ja naprawdę w swoim życiu się tak nie napracowałam. Bo trzeba było robić wszystko od początku. A przy tym niby wszyscy byli za, ale jednocześnie wszyscy byli przeciw. Nie o to przecież chodziło, żeby mnie pokochali, ale żeby zrozumieli, żeby się ich udało przekonać do pewnej wizji tej roboty, tego urzędu. To było piekielnie trudne, bo zmieniali się partnerzy — czy przeciwnicy, jak pan woli, bo to również bywało — a ja znowuż też nie mam skóry hipopotama. Krótko mówiąc, mam dość... Rzecz się zresztą działa w Polsce, a w Polsce trzeba, przynajmniej na początku, więcej wysiłku, przy wszystkim trzeba „uczyć dobrej roboty". No więc się zużyłam. To jeszcze nie wszystko. I na-

wet nie najważniejsze. Najgorsze, że u nas się nie wierzy ludziom, kiedy powiadają, coś powinno być zrobione i zrobione w taki właśnie sposób. Nie wierzy się, że oni tak uważają, że o to im chodzi, ale się węszy, co się za tym kryje: może jakiś koniunkturalizm polityczny, a może chętka na jakieś lukry dla siebie itd.

Jeśli więc odchodzę teraz, to nic w tym nienormalnego: przecież wracam do siebie, na swoje miejsce. Tyle o mnie. Ale jeszcze coś. W tej chwili w Polsce nastąpiła swoista zapaść, widoczna w moich statystykach. W roku 1990 miałam zakończonych spraw indywidualnych, tzn. pojedynczych, ok. 3.900, a w 1991 tylko trochę ponad 1.900. Nie dlatego, że biuro rzecznika mniej pracuje, ale dlatego, że każda taka sprawa trwa dłużej, i trudniej ją zakończyć. Przyczyny są najrozmaitsze, ludzie nowi dopiero się uczą, ludzie starzy się boją. Nadto: bieda, powszechna bieda, a przecież docieranie też kosztuje, więc coraz trudniej o zadowalające rozstrzygnięcia. I tak dalej. Potrzebne jest więc temu biuru rzecznika jakieś nowe, mocne pchnięcie. Sądzę, że jeśli przyjdzie ktoś nowy...

— Bliższy aktualnemu układowi u władzy?

— W żadnym razie, wcale nie to chciałam powiedzieć. Miałam rzeczywiście na myśli normalne zmęczenie materiału, zrutynizowanie, i to, że ja jestem już zbyt zmęczona, żeby sama sobie podnieść poprzeczkę...

— Czy Panią proszono o pozostanie na następną kadencję?

— Owszem, ze strony środowiska prawniczego, również dziennikarzy, były takie sugestie.

— Ale ze strony władzy? Rozumiem, nie ze strony rządu, bo rządy się zmieniły, ale, powiedzmy, ze strony pana prezydenta?

— Nigdy w ogóle nie miałam okazji rozmawiać z panem prezydentem.

— A ze strony sejmu, parlamentarzystów? Dla przykładu: profesor Geremek rozmawiał z Panią o ponownym kandydowaniu?

— On nie miał oficjalnego tytułu. Ale wyrażał mi zawsze życzliwość i sympatię... No, już widzę, do czego pan zmierza...

— Cóż, parę razy Pani „podpadła" i wie Pani doskonale za co, więc proszę się nie dziwić...

— A czyż ja się dziwię? Niedawno *ombudsman* z Hagi przysłał mi historię swojej rzeczniczki z Rotterdamu, też miała podobne, *mutatis mutandis*, kłopoty ze swoją radą miejską. Napisałam sobie na marginesie: *memento mori*... I to chcę mocno podkreślić: wcale nie jestem rozgoryczona, przeciwnie, mam prawo dać na wielką mszę, kiedy się to już skończy, pod warunkiem, żeby jej nie odprawiał biskup Orszulik, bo wtedy byłaby chyba nieważna jako podzięka za dobre gwiazdy. Szkoda może tylko, że zakończenie kadencji tak zbiegło się w czasie z wyborami i zmianą rządu: nikt z polityków nie miał naprawdę głowy i dość spokoju do poważnego namysłu nad wnioskami z tych czterech lat rzecznikowania. Natomiast w środowiskach opiniotwórczych, tych poważnych, które szanuję, spotkałam się rzeczywiście ze zrozumieniem i poparciem.

— Istotnie, wizerunek publiczny ma Pani znakomity, we wszystkich sondażach, i gdyby była Pani politykiem a nie samotnym szeryfem na prerii, mogłaby mieć Pani pełną satysfakcję. Zostawia Pani to gospodarstwo...

— Mam nadzieję, że pójdzie w dobre ręce, bo jak dotąd jest tylko jeden kandydat...

— Mianowicie?

— Profesor Tadeusz Zieliński z Uniwersyteu Jagiellońskiego.

— Wysunięty, o ile się nie mylę, przez Unię Demokratyczną?

— Tak, ale to jest przede wszystkim prawnik. Prawnik-prawnik, a nie prawnik-polityk.

— Tak więc sformułowała Pani pierwszy zasadniczy wniosek ze swego rzecznikowania: że trzeba być prawnikiem-prawnikiem?

— Ależ oczywiście. Ja to zresztą wielokrotnie podkreślałam. Prawnik-prawnik umie odróżnić prawny aspekt sprawy od politycznego, natomiast prawnik-polityk też niby rozumie rozróżnienie, ale zaraz pyta: „komu to służy", „na czyj młyn woda"...

Rzecznik ma strzec praw. Uważam więc, że powinien być prawnikiem-prawnikiem. Ja wiem, jakie to trudne u nas, gdzie ludzie przywykli, że nawet skup butelek jest sprawą polityczną.

— Cóż jednak Pani pocznie z bezspornym faktem, iż rzecznik praw obywatelskich jest stanowiskiem politycznym?

— Proszę pana, jest taki stary dowcip radia Erywań o Czajkowskim. Czy to prawda, że Czajkowski był homoseksualistą? Tak, ale nie za to go cenimy...

— Przed chwilą zauważyła Pani że ludzie przywykli widzieć polityczność nawet w skupie butelek. W domyśle jest, że nauczyli się tego w poprzednim ustroju...

— O nie, już w XIX wieku...

— Ale szczególnie w ostatnim półwieczu. Tylko, że po okresie euforii, który pokrywa się mniej więcej z pierwszym okresem rządów ekipy Mazowieckiego — państwo prawa, państwo praworządne, prawo, prawo, prawo — nastąpiło wahnięcie, no bo życie jest ciężkie i wahadło przechodzi na prawą stronę, żeby użyć tradycyjnych terminów, i po prawej stronie jak w lustrze powtarzają się obyczaje z lewej strony. Co w tej sytuacji powinien robić rzecznik praw obywatelskich?

— Dokładnie to samo: starać się oddziaływać fragmentami, niejako skokami, z wyspy na wyspę, na te ośrodki w państwie, od których zależy produkcja i stosowanie prawa. Dam przykład: stosunki z Sądem Najwyższym i Trybunałem Konstytucyjnym są teraz *mi-figue mi-raisin*, z najrozmaitszych powodów; bywa nawet zniecierpliwienie w rodzaju „czego się ta baba znowu mądrzy". Nie szkodzi. *Saepe cadendo*... Nawet jak mi odrzucają jakiś wniosek o rewizję — zawsze coś zostaje. Dla tego człowieka, którego to bezpośrednio dotyczy, pociecha, oczywiście, żadna, ale tak się właśnie przygotowuje grunt prawny do zmiany.

Często spotykałam się, teraz już, szczęśliwie, rzadziej, z taką postawą: rzecznik znów posłał coś do Trybunału, wygra czy przegra? Przecież nie o to chodzi przede wszystkim, chodzi o postawienie pytania.

— Jeszcze ciągle nie tracę nadziei, że uda mi się odciągnąć

Panią trochę od prawa ku polityce, choć Pani jest rzeczywiście obsesjonatką prawa... No więc właśnie, jak to się dzieje, że ktoś z taką obsesją zostaje rzecznikiem praw obywatelskich?

— Cóż, może to pana zainteresuje, przysięgam, że mówię prawdę... W momencie powołania na rzecznika[1] nie było mnie w kraju, byłam akurat w RFN na stypendium. Najpóźniej do 5 grudnia 1987 stanowisko trzeba było obsadzić. I oto siedziało sobie trzech panów: profesor Łopatka z PZPR, skądinąd dyrektor mojego instytutu, profesor Gulczyński z PRON i mój mąż, Janusz, z instytutu nauk prawniczych. Gulczyński żalił się nieustannie, że PRON musi wysunąć jakąś kandydaturę na rzecznika... Mój mąż, trochę przez przekorę, powiedział: a może by wam się Ewa nadała? I w istocie przez taki przypadek zostałam rzecznikiem.

— Zaraz, zaraz, ale po niespełna dwóch latach zmienia się władza i wtedy można zrobić różne rzeczy, czy ja wiem, zmienić ustawę, skrócić kadencję, jednym słowem wywalić rzecznika.

— Wie pan, różnie bywało, zdarzały się chwile całkiem nieprzyjemne... Nigdy mi nie zależało na tym, żeby postawić na swoim. Ale na jakimś forum publicznym, na którym mogłam przedstawiać moje racje — owszem, zależało mi bardzo. I to mi się udawało. Ja mam mentalność żabki, co to wpada do garnka, ale nie przestaje przebierać łapkami...

— ... i z mleka robi się masło, żabka wychodzi. Pięknie, ale warunek, żeby jednak w garnku było mleko, a nie woda...

— A to już trzeba mieć trochę szczęścia... Ale te trudne momenty... Najpierw 1988, stosunek do opozycji. Sądzę, że się zachowałam uczciwie. Powiedział o mnie kiedyś Aleksander Małachowski, sprawiając mi tym ogromną przyjemność: ostrożna ale zawsze prawdomówna. Potrafiłabym wtedy, oczywiście, napisać do Trybunału wniosek w sprawie pluralizmu związkowego, chociaż, żeby to w ówczesnych warunkach prawnych nie była tylko brawura polityczna, ale miało sens prawny, o, to trzeba by się sporo namęczyć[2]. Ale sama bym do tego boju nie poszła, nie

1. Tzn. 1. XII. 1987.

2. W sprawozdaniu RPO za 1. I-30. XI. 1988 czytamy: „RPO odstąpił od kierowania wniosku do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie pluralizmu związkowego. RPO uznał (RPO/2554/88/I) iż art. 60 ust. 3 ustawy o związkach zawodowych przewidujący dopuszczalność działania w jednym

chciałabym zmarnować instytucji. To nie znaczy, że nie szukałam dojść, że nie wąchałam w tej sprawie... A jak jechaliśmy pierwszy raz do więzień: ileż było strachu czy nas w ogóle dopuszczą, no bo jeśli nie, to co miałam robić, tłuc w bramę i wołać, że jestem rzecznik...? Trzeba byłoby tak zrobić, żeby się nie ośmielili... Sądzę więc, że zachowałam się przyzwoicie, chociaż nie zawsze media o tym wiedziały i nie zawsze mogły wiedzieć. W lipcu 1989 — wtedy Geremek był przewodniczącym OKP — wprosiłam się na posiedzenie Klubu, żeby przedstawić sprawy i odpowiedzieć na zarzuty. Bo wiedziałam, że niejeden się wtedy szykował, żeby „wywalić babę". No i jakoś sobie dałam radę...

— A jak Pani sądzi, czy było to związane z mentalnością, jaką wtedy okazywała większość OKP, a która dziś już nie jest w modzie, w każdym razie nie cechuje większości?

— Nie potrafię powiedzieć, nie znałam wtedy OKP, a dziś jego potomstwa.

— Znała Pani i zna ludzi stamtąd.

— Ja mam wyjaśnienie bardziej prostackie. Może ludzie wyczuwają we mnie pewną autentyczność? Że ja naprawdę wierzę w to, co mówię...

— Ostrożna, ale prawdomówna? Proszę Pani, żeby to zaakceptować, trzeba mieć świat wartości, w którym takie zestawienie jest oceniane pozytywnie... Sformułuję więc ostrzej: czy Pani uważa się za osobę, która skorzystała z polityki grubej kreski?

— Nie, nie skorzystałam, nie mam nic w życiorysie.

— Ale mianowano Panią za Jaruzelskiego...

— I nie mam zamiaru twierdzić, że wybrano mnie demokratycznie. Ale na pańskie pytanie mogę też odpowiedzieć: jeśli

zakładzie pracy jednej organizacji związkowej do czasu, gdy Rada Państwa oznaczy termin końcowy tego ograniczenia, nie narusza Konstytucji (art. 30 pkt 12). „... z punktu widzenia zgodności z Konstytucją ograniczenie to przez Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny jest traktowane jako niewadliwe, a więc przez dwa organy, do których właściwości należy definitywne rozstrzygnięcie ewentualnych wątpliwości rysujących się w tym względzie" (RPO/18513/88/I).

skorzystałam z grubej kreski, to na to zapracowałam. Kiedy człowiek pełni jakąkolwiek funkcję publiczną, to wówczas legitymizowany jest dwojako: kiedy nastaje, czyli przez sposób wyboru, i kiedy się sprawdza. Myślę, że sprawdzian zdałam, miałam to szczęście, że dane mi było dość czasu, abym mogła tego dowieść.

— To jest niezwykle optymistyczne zdanie o układzie politycznym w Polsce, to co Pani powiedziała!

— Ja jestem w gruncie rzeczy wielką optymistką.

— Dlaczego więc bp Orszulik tak Panią frontalnie atakuje?

— Myślę, że gdyby bp Orszulik kiedykolwiek ze mną porozmawiał, gdyby zechciał czystym sercem przeczytać to, co ja mu posyłam, gdyby zechciał w uczciwy sposób zapoznać się z działalnością rzecznika, to by tego, co o mnie mówi, nie mówił.

— Kończy więc Pani kadencję w atmosferze walki politycznej i jest Pani bardziej pod ogniem, niż można się było spodziewać? Polityka nas zalewa?

— Nie przesadzajmy, obmywa...

— Pani profesor, każdy rzecznik praw obywatelskich jest wstawiony w pewien system stosunków pomiędzy państwem i obywatelem. Ombudsman *w Szwecji działa w systemie wdrożonym i sprawdzonym, główny dla niego problem to zapewne nadmiar rutyny, ociężałość biurokratyczna, nie zaś praworządność, na ogół skrupulatnie przestrzegana. Pani urząd jest postrzegany jak Zorro na czarnym koniu. A tak naprawdę, w czym głównie może być skuteczny?*

— W zmianie, w powolnej zmianie mentalności prawnej, świadomości orzekającej, w umiejętności odcedzania polityki od prawa. W rozwijaniu umiejętności interpretacji prawa nie tylko funkcjonalnej, ale zwłaszcza systemowej. W budowaniu państwa prawa. Zostało ono proklamowane w Polsce zmianą Konstytucji z dniem 1 stycznia 1990, ale budowa będzie trwała długo, tymczasem nasi ustawodawcy często nie rozumieją, co to jest, owo państwo prawa. Produkują ustawy wręcz nieprzyzwoite o emeryturach i rentach, na przykład z 17 października 1991. Nie o to chodzi, iżby państwo w biedzie nie miało prawa obciąć praw już

nabytych. Ma prawo, żadne tam *retro non agit*! Ale niech to będzie zrobione przyzwoicie. Tymczasem w tej samej ustawie, która mówi, że regulacja jest na dwa lata, są ustalenia... do końca stulecia. Psują więc to, z czego mają chleb: zaufanie między obywatelem a państwem. Uważałam pana Boniego za człowieka odpowiedzialnego. Ale kiedy ja piszę w zaskarżeniu o zasadzie zaufania, a on mi odpowiada publicznie, że Łętowska nie ma prawa się odzywać, bo nie brała udziału w pracach legislacyjnych, to znaczy, że pan minister nic nie rozumie z *checks and balances*, z procesu tworzenia i stosowania prawa...

Niemniej sam fakt zapisu konstytucyjnego niemało waży. Zaczyna się na przykład gruntować świadomość, że ustawy muszą być kontrolowane nie tylko na zgodność z Konstytucją, lecz również paktami międzynarodowymi. Tego dotąd nie było, dlatego w 1988 sprawa pluralizmu związkowego była nie do przepchnięcia: sprawdzano tylko zgodność z ówczesną Konstytucją, nie zaś z konwencjami MOP, przyjętymi przez Polskę. Teraz natomiast mieliśmy taką sprawę, wystąpiłam wspólnie z Prezesem Naczelnego Sądu Administracyjnego, chodziło o niedopuszczenie sądowego dochodzenia pewnych roszczeń w Straży Granicznej. Trybunał Konstytucyjny nie tylko uznał, że Konstytucja została naruszona, ale stwierdził ponadto, że inkryminowane przepisy są niespójne z Paktami Praw. To już jednak poza sentencją. Zatem jeszcze nie pełna wygrana, ale już pierwszy krok.

Post scriptum

25 stycznia Sejm RP przyjął do wiadomości ostatnie roczne sprawozdanie rzecznika praw obywatelskich, prof. Ewy Łętowskiej, która jako p.o. rzecznika prowadzić ma swój urząd aż do chwili powołania następcy. Informację statystyczną i konkluzje z tego sprawozdania zamieszczamy w dalszym ciągu.

Większość posłów nagrodziła prof. Łętowską oklaskami na stojąco. Posłowie ZChN, chadecy przyklejeni do starszego brata i ludowcy Janowskiego siedzieli milcząc i mieli za złe. Scenę tę poprzedziła debata, w której Wysoka Izba najwyraźniej się nie popisała. Najpierw zawodowi obrońcy „wartości chrześcijańskich" dali pokaz wiary. Kamieniem obrazy były oczywiście wystąpienia rzecznika do Trybunału Konstytucyjnego w sprawie instrukcji o wprowadzeniu nauczania religii do szkół oraz — w związku ze skargą rektora UW — w sprawie roszczeń Kościoła do restytucji własności skonfiskowanej przez władze zaborcze, aż po XVIII wiek. Nigdy jeszcze, pomimo doświadczeń z poprzedniej kadencji, „wartości chrześcijańskie" nie odegrały w

tej Izbie aż do tego stopnia roli młota na czarownice i narzędzia szantażu.

Widowisko nie byłoby może aż tak żenujące, gdyby nie żałosna postawa deputowanych z Unii Demokratycznej. Jacek Kuroń w najlepszym stylu kazań niedzielnych nawoływał posłów z ZChN, by okazali więcej miłości, a posłanka Józefa Hennelowa pospieszyła z rezygnacją z wniosku o wyrażenie formalnego podziękowania ustępującemu rzecznikowi za jego pracę. Wniosek taki zgłosił w imieniu komisji sprawiedliwości jej wiceprzewodniczący Jacek Taylor (UD) ale, jak się okazało, prezydium Sejmu, gdzie zasiada tylko prawica, nie skierowało wniosku do druku, korzystając z pretekstu nieotrzymania go w odpowiedniej formie pisemnej od Komisji. Jednym słowem, niechlujstwo, zła wola i strach przed księdzem i biskupem.

Ewa Łętowska skwitowała ten incydent w krótkiej replice: podziękowań nie potrzebuje, a uwadze następców poleca to, co się właśnie przydarzyło niegrzecznej dziewczynce.

●

ZE SPRAWOZDANIA RPO

I. DANE INFORMACYJNO-STATYSTYCZNE

1. Dane podstawowe

	1991	1990	1989	1988
a. Liczba wniosków	16.581	18.114	17.895	44.936
listów	22.340	22.764	29.031	52.867

Uwaga: 1. nie każdy list jest wnioskiem w rozumieniu ustawy o r.p.o. 2. w danych o wpływie wniosków nie są ujęte sprawy podjęte, załatwione w trybie pilnym telexem lub telefonicznie (dotyczy to spraw załatwianych przez zespół ds funkcjonowania zakładów karnych).

Odpowiada się na każdy list. Listów, na które nie zdążono odpowiedzieć — jest na koniec okresu sprawozdawczego ok. 900 (nie należy tej liczby utożsamiać ze sprawami „w toku", prowadzonymi — niejednokrotnie dość długo — przez r.p.o.).

b. Personel

	1991	1990	1989	1988
Ogólna liczba etatów	81 (99 os.)	78 (92 os.)	75 (85 os.)	55½ (63 os.)
Personel analityczny	51 (58 os.)	46 (58 os.)	39½ (48 os.)	32¾ (39 os.)
Personel biurowy (biuro nieskomputeryzowane)	30 (41 os.)	32 (34 os.)	35½ (37 os.)	22½ (24 os.)

Dane porównawcze (*Ombudsman Office Profile* 1982 r.)

Szwecja	liczba spraw..... 3.456	52 etaty
Francja	liczba spraw..... 4.316	88 etatów
Hiszpania (1988 r.)	liczba spraw.....13.797	91 etatów

VI. KONKLUZJE

1. Kryzys ekonomiczny i konsekwencje zwrotu w gospodarce rynkowej ciążą wyraźnie nad kwestiami ochrony praw obywatelskich.

Na pierwszy plan wysuwa się pogorszenie poziomu życia (zagrożenie dla praw ekonomicznych i socjalnych człowieka). Niezależnie od nieuchronnych trudności okresu przejściowego, sytuację pogarsza tolerowanie niekoniecznych negatywnych następstw ubocznych zmian, niedostateczna gotowość kreowania mechanizmów obronnych, brak rzetelności w posługiwaniu się prawem (tak na etapie tworzenia, jak stosowania), niechęć *establishmentu* do szybkiej reakcji w wypadku pojawienia się negatywnych, nieprzewidzianych następstw ubocznych zmian legislacyjnych.

W sprawozdaniach z 1988, 1989 i 1990 r.p.o. wskazywał, iż do wad polskiej administracji należy:

2. Utożsamianie legalizmu działania z rzetelnością konkretnego rozstrzygnięcia indywidualnego („legalizm biurokratyczny"). Stan ten trwa nadal. Krytykując np. ekscesy w zakresie naruszania prywatności obywatela (przy interwencji mieszkaniowej policji) r.p.o. spotyka się z reakcją typu: „prawa nie naruszono, bo taka interwencja jest co do zasady dopuszczalna". Tymczasem idzie o to, że konkretne działanie nawet w obrębie prawa, a więc legalne, grzeszy naruszeniem proporcji w zastosowaniu konkretnego środka. Brak zrozumienia różnicy między tym, co do zasady legalne, a co przyzwoite i rzetelne *in concreto* jest powszechny.

3. Poszczególne części aparatu państwowego nie kooperują ze sobą, brak między nimi przepływów informacji i impulsów (brak *feed-back*). Powoduje to konieczność mozolnego „przepychania" spraw i problemów w wypadkach, gdy wymagane jest współdziałanie różnych urzędów i instytucji. Działanie aparatu cechuje inercja; poszczególne jego części istnieją same dla siebie. Obywatel, u którego się to wszystko zbiega, odbiera to jako chaos, godzący w jego żywotne interesy.

4. Uporczywym błędem jest powierzchowne i nieprzemyślane podejmowanie decyzji legislacyjnych bez zastanowienia się

choćby nad skutkami ubocznymi i tym, czy działania są rzetelne, czy szanują „reguły gry" wobec obywateli.

Lekceważenie w tym zakresie zapowiedzianego zaufania jest — w przekonaniu r.p.o. — jedną z donioślejszych przyczyn upadku zaufania do *establishment'*u i spadku nastrojów społecznych.

Równie niszczące dla zaufania jest zapowiadanie decyzji legislacyjnych później nie realizowanych (np. program mieszkaniowy, rozwiązanie spraw gruntów warszawskich, rekompensat za mienie zabużańskie, wykorzystywane w celach politycznych deklaracje naprawienia krzywd historycznych). Fatalnymi błędami organizacyjno-legislacyjnymi było obarczone wprowadzenie odpłatności leków, kiedy nie ukazał się na czas *Dziennik Ustaw* z aktami wykonawczymi. Formalną promulgację zastąpiło płatne ogłoszenie ministra Zdrowia z *Rzeczypospolitej*. *De iure* oznacza to wykonywanie prawa formalnie nie obowiązującego. Wiąże się to z fatalnymi reminiscencjami historycznymi. W rażący sposób narusza rudymenty prawa. R.p.o. pozwala sobie przypomnieć, że w swym (nieuwzględnionym, niestety) wniosku do TK (RPO/63962/90/I-TK W 3/90) prosił bezskutecznie o ustalenie prawnych następstw „faktycznego braku ogłoszenia aktu". Niestety ta sprawa pozostaje nadal nie rozstrzygnięta, a efektem są zdarzenia takie, jak podane wyżej.

5. Polska nie jest państwem prawa i długo nim nie będzie. Prawo jest ciągle traktowane instrumentalnie, jako narzędzie koniunkturalnej polityki czy polityk. W tej sytuacji prawdziwe wartości prawa — jako spoiwa społecznego, opartego na rzetelnych regułach gry między rządzącymi i rządzonymi — są albo niedostrzegane albo lekceważone.

Polityzacja prawa jest wciąż obecna — mimo oficjalnego jej odrzucenia. Wiąże się to ze stosunkiem do istniejącego ciągle „dawnego" prawa. Jest ono oczywiście i niesprawne, i nie odpowiada aksjologicznie wymaganiom czasu.

Błędem jest jednakowoż — w miejsce normalnych, prowadzonych w trybie parlamentarnym zmian, a także zintensyfikowania wysiłków na rzecz naprawdę kreatywnego stosowania tego prawa, które mamy — odmawianie mu bytu, jako tworowi nielegitymowanemu. Prawo należy zmieniać. Należy — poprzez odwołanie się do standardów demokratycznego państwa prawnego, pożyczki z orzecznictwa Trybunału Europejskiego, bezpośrednie stosowanie Konstytucji, śmielsze operowanie wykładnią funkcjonalną i systemową — unowocześnić i oderwać od dawnego skostnienia praktyczne stosowanie prawa, zwłaszcza przez sądy.

Nie należy jednak odrzucać samej idei państwa prawa (ponieważ jakoby nie dorośliśmy do niej my lub polskie prawo)

— bowiem przy takim nastawieniu nigdy do państwa prawa się nie przybliżymy. Nie należy też kreować przekonania, iż „całe" prawo jest podejrzane, aby — w razie koniunkturalnej potrzeby — mieć na przyszłość niezwiązane ręce w konkretnym wypadku.

Problemem obecnie jest nie tyle stosowanie dawnego prawa, co jakoby ma rodzić katastrofalne skutki. Wspomniane wyżej, bardziej kreatywne podejście do prawa przez tych, którzy je stosują, oparcie się przy stosowaniu prawa na rzetelnej profesjonalnej wiedzy na temat europejskich standardów prawa (wynikających z praw człowieka), niebezpieczeństwa wiążące się z formalnym obowiązywaniem „dawnego prawa" — w poważnej mierze eliminuje. Prawdziwym problemem natomiast, ciągle nierozwiązanym, jest odpowiedź na pytanie, o ile i jak dalece ma się tolerować skutki istnienia w przeszłości prawa niezgodnego z prawami człowieka. A jest to niezwykle szeroki wachlarz zagadnień: od reformy rolnej i nacjonalizacji przemysłu, poprzez sankcje majątkowe stosowane wobec obywateli polskich niepolskiego pochodzenia, odbieranie własności w najrozmaitszych formach *quasi*-legalnych i na podstawie nielegalnych praktyk, służbę wojskową w kopalniach, nader restryktywną politykę karną itd., itd. Wszędzie na świecie do łagodzenia tego rodzaju niesprawiedliwości konieczne są jednak poważne finansowe nakłady. Nadziei na ten sposób rozwiązania problemu w tej chwili brak. Brak, niestety, chyba też politycznej odwagi, aby to właśnie wyraźnie powiedzieć. Nie jest jednak w tej sytuacji uczciwe tworzenie wrażenia, iż prosty zabieg o charakterze deklaracji intencji „bycia" lub „nie bycia" państwem prawa — rozwiąże wskazany wyżej problem, w rzeczywistości polityczny i ekonomiczny. Bycie „demokratycznym państwem prawa" to honorowanie reguł gry właściwych dla nowoczesnych państw europejskich w stosunkach rządzący — rządzeni. Wymaga to, aby były one po pierwsze znane, po drugie stosowane w sposób rzetelny, a nie powierzchowny i hipokryzyjny, co wymaga wiedzy profesjonalnej i wrażliwości w stopniu znacznie przewyższającym polskie standardy legislacyjne, administracyjne i sądowe.

6. Sprawozdanie za 1991 rok dotyczy ostatniego roku pierwszej kadencji Rzecznika Praw Obywatelskich.

W istniejącej sytuacji należy powtórzyć konkluzję już sformułowaną w poprzednich latach. Bardziej niż kiedykolwiek należy położyć nacisk na przezwyciężenie nihilizmu konstytucyjnego, na upowszechnienie informacji, co to znaczy poszanowanie wewnętrznej moralności i sprawności technicznej prawa, a także znaczenia rzetelnych procedur. Należy uczyć się standardów europejskich dotyczących konkretnych typów spraw. Wymaga to długotrwałego, żmudnego działania. Nie możemy tu liczyć na jednorazowy zabieg. Kuracja będzie długotrwała, ponieważ schorzenia mają charakter chroniczny lub są zastarzałe. Pacjent zaś niecierpliwy i ciągle nie przekonany ani co do rodzaju lekarstw, ani co do kuracji.

Niestety, i 1991 rok ujawnił jednak bardzo wyraźnie uporczywość błędów wiążących się z zastraszająco niskim profesjonalizmem kadr — przede wszystkim administracji.

Tu także w przyszłości będzie trzeba upatrywać głównego źródła naruszania praw obywateli. Przyznanie się zaś do niewiedzy i prostactwa prawnego bywa trudniejsze, niż przeniesienie sprawy na grunt polityczny. Dlatego też z niepokojem można obserwować w wielu sprawach nadawanie im politycznej rangi tam, gdzie idzie o zasady rzetelnego tworzenia i stosowania prawa, zgodnie z regułami „wewnętrznej moralności" prawa. Ten właśnie zabieg (w przekonaniu r.p.o. odwracający uwagę od najczęściej spotykanych przyczyn naruszeń prawa i to przyczyn najtrudniejszych do usunięcia) można zaobserwować na przykładzie ustawy rewaloryzacyjnej z 17 października 1991 r.

Mając na uwadze zagrożenia przede wszystkim rozproszonych interesów obywateli, Rzecznik położył nacisk na usuwanie generalnych przeszkód prawnych (wywoływanie wykładni Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego), aby stworzyć roszczeniom indywidualnym, realizowanym indywidualnie przez obywateli — pewniejszą ochronę. Jest to szczególnie ważne wobec zagrożeń dla interesów obywatela jako pracownika, lokatora czy konsumenta.

Dlatego też praca r.p.o. w 1991 r. koncentrowała się na wskazywaniu racjonalnych, znanych ustawodawstwu i praktyce europejskiej, standardów prawa i jego stosowania. Dotyczy to zarówno wystąpień generalnych, jak i sposobu postępowania w sprawach indywidualnych obywateli. Nie interwencja typu „okaż się dobrym wujaszkiem dla mego protegowanego", ale „zachowaj się właściwie wobec obywatela mającego prawo do rzetelnego potraktowania, zgodnie z europejskim wzorem prawa, który polega na tym, a nie na tym" — jest stale dyrektywą działania Rzecznika Praw Obywatelskich.

Warszawa, 27 stycznia 1992

Rozmawiał, autoryzował tekst u Rozmówczyni, dobrał fragmenty i komentował wydarzenia
Krzysztof WOLICKI

Archiwum polityczne

Niesamowity rok 1991

Co łączy mieszkańców kuli ziemskiej w drugiej połowie XX wieku, przy całej różnorodności położenia geograficznego, kultur, systemu społecznego, poziomu życia i indywidualnego losu? To, iż żyjemy wszyscy w niezwykle ciekawych czasach. Nie są to puste słowa. Miarą tych czasów są skala, tempo i rodzaj zmian, których jesteśmy świadkami. Zmian w każdej dziedzinie: technologii, gospodarki, polityki, zasad współżycia oraz mentalności ludzkiej. Czy z faktem, iż każdemu z nas przypadło żyć w takich czasach, wiąże się jakaś korzyść, jakiś przywilej? Wątpliwe. W każdej epoce nasz indywidualny los mógł się potoczyć mniej lub więcej fortunnie, lepiej lub gorzej. Jeśli zaś idzie o wpływ tej skali, tempa i rodzaju zmian na życie jednostek i zbiorowości — to ich niewątpliwym sukcesem jest niepewność i jakieś, świadome lub podświadome, poczucie zagubienia.

Ogromna większość ludzi interesuje się przede wszystkim i prawie wyłącznie własnym losem. Interesują ich także — w różnym stopniu — sprawy ich lokalnej społeczności i ich kraju, ponieważ z tym wiąże się nierozerwalnie ich własny los. Niewielki tylko procent ludzi posiada inklinację, zdolność i czas, aby interesować się stale i śledzić sprawy całego świata. To jest zupełnie naturalne, ale w najmniejszym stopniu nie zmienia faktu, iż właśnie rozwój wypadków na całym świecie, na który indywidualnie nie mamy praktycznie żadnego lub prawie żadnego wpływu, będzie w ostatecznym rozrachunku kształtował los każdego z nas.

Nawet dla ludzi posiadających ku temu niezbędne warunki i dyspozycje, śledzenie dziś wydarzeń światowych jest niezwykle trudne. Przede wszystkim z powodu ich skali i stopnia komplikacji, który uświadamia nam na co dzień błyskawiczna informacja: telewizja, radio i inne media. A samo śledzenie to przecież nie wszystko. Wszyscy wiemy, że dla wyważonej oceny potrzebna

jest perspektywa. Trudno zrozumieć, a tym bardziej przemyśleć bieżące wydarzenia, których jesteśmy świadkami. Trudniej jeszcze, gdy następują one z szybkością lawiny, burzą „porządek świata", do którego byliśmy przyzwyczajeni, wykraczają poza granice już nie tylko wszelakich naukowych teorii czy prognoz, ale nawet najśmielszej ludzkiej wyobraźni.

Prezydent niepodległej Republiki Rosyjskiej Borys Jelcyn proponuje jej przystąpienie do NATO. Amerykański Sekretarz Stanu James Baker rozmawia z przywódcami Ukrainy, Białorusi i Kazachstanu w sprawie likwidacji broni nuklearnych znajdujących się na terytoriach tych niepodległych już państw. Demontaż miałby być przeprowadzony za amerykańskie pieniądze i — być może — przy pomocy amerykańskiego personelu wojskowego. Erich Honecker, były przywódca i postrach byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej, znalazł się nagle na terenie byłego Związku Sowieckiego. Rząd zjednoczonych Niemiec zamierza go postawić pod sąd, były dyktator szuka schronienia w ambasadzie chilijskiej w Moskwie przed koszmarem deportacji.

Zmiany zachodzą wszędzie, na Bliskim Wschodzie, w Afryce i w innych częściach świata. I choć trudno, wprost nie sposób, nadążyć za wydarzeniami i ogarnąć je myślą, wszyscy mamy świadomość, że 1991 to był rok niesamowity. Spróbujmy spojrzeć wstecz:

1. Rozpad ZSSR stanowił niewątpliwie największy ewenement. Kiedy w marcu 1990 roku Litwa, a za nią pozostałe dwa kraje bałtyckie ogłosiły niepodległość, istniały poważne wątpliwości, czy to nie przedwczesne. Próby interwencji i prowokacji ze strony Armii Czerwonej i KGB nie odniosły skutku, ale kraje zachodnie nie spieszyły się wcale z uznaniem nowych państw. Przez wiele miesięcy i pod każdym względem istniała „sytuacja patowa". Dopiero upadek sierpniowego puczu ugruntował oderwanie się od ZSSR Litwy, Łotwy i Estonii i na całym świecie rozpoczął się wyścig o udzielenie im oficjalnego, dyplomatycznego statusu.

Sam pucz nie był niespodzianką — przewidywany był przez wielu obserwatorów — natomiast jego przebieg i zakończenie stanowiły dla wszystkich całkowite zaskoczenie. Stało się jasne, iż dni imperium są policzone. Próby Gorbaczowa zmontowania odgórnie jakiejś nowej formy związku czy federacji dla zachowania częściowej, choć zmienionej, dyspozycji centralnej nie powiodły się. Potoczyły się, jak lawina, deklaracje niepodległości ze strony Rosji, Ukrainy, Białorusi i innych republik. Trzy nowopowstałe państwa — republiki słowiańskie — dały początek nowej formalnej Wspólnocie. Nie sprawdziły się obawy cyników i pesymistów, iż „w odpowiedzi" konkurencyjną wspólnotę stwo-

rzyć mogą muzułmańskie kraje azjatyckie byłego Związku Sowieckiego. Na razie przynajmniej zwyciężył rozsądek i świadomość konsekwencji geograficznego sąsiedztwa i gospodarczej współzależności. Dołączyły one do nowej Wspólnoty, która rozrosła się tym samym do jedenastu członków-państw.

Nowa sytuacja stworzyła nowe problemy. Jak dokonać przejścia do gospodarki rynkowej przy najmniejszych kosztach społecznych? Jak zabezpieczyć bronie nuklearne znajdujące się teraz na terytoriach czterech niezależnych państw? Jak uniknąć niebezpieczeństwa przedostania się broni i materiałów nuklearnych do krajów trzecich, które chciałyby je zdobyć? Jak zapewnić, iż specjaliści nuklearni naukowo-wojskowego kompleksu byłego ZSSR, teraz pozbawieni stanowisk, nie zaoferują tym krajom swych usług? Jak przejąć zobowiązania dawnego ZSSR w sprawie rozbrojenia i spłaty zadłużenia? Co zrobić z wojskiem wycofywanym z krajów byłych satelitów, w sytuacji nieuchronnego i szybkiego wzrostu bezrobocia? Jak uwzględnić aspiracje wielu mniejszych narodowości wchodzących w skład byłego Imperium i zapobiec rozlewowi krwi, który może nastąpić w wyniku drzemiącego od dawna, wybujałego nacjonalizmu? Jak przeżyć najbliższą zimę? Taka jest w tym wypadku spuścizna roku 1991.

2. Wojna w Zatoce Perskiej zakończyła się nieuniknionym zwycięstwem aliantów, ale pozostawiła u wszystkich świadomość sprawy niedokończonej. W Iraku nadal rządzi Sadam Hussein. Sprawa autonomii Kurdów nie została załatwiona i tysiące z nich decydują się na przetrzymanie zimy pod namiotami w górach, gdyż boją się wrócić do swoich domów i miast. Okazało się, że naloty aliantów nie potrafiły zniszczyć wszystkich broni chemicznych ani też wyeliminować zdolności wyprodukowania przez Irak w stosunkowo niedługim czasie broni nuklearnych. Dopiero teraz ekipy Narodów Zjednoczonych przeczesują kraj, wyszukują i niszczą odpowiednie urządzenia.

Ale z drugiej strony zwycięstwo aliantów to nie tylko wyeliminowanie z Bliskiego Wschodu niebezpiecznego agresora. Okazało się jednak, że w razie potrzeby zepsuty bogactwem Zachód potrafi wykazać wolę walki, a mieliśmy co do tego wielokrotnie poważne i uzasadnione wątpliwości. Nie sposób przecenić tego faktu i jego ostrzegawczej roli dla przyszłych międzynarodowych awanturników wszelkiego autoramentu. Stany Zjednoczone, wbrew obawom cyników i pesymistów, potrafiły zmontować i utrzymać sojusz państw arabskich w walce z Irakiem. Kraje Zachodu, po początkowych wahaniach i trudnościach, zdobyły się na solidarność i jedność działania. Druzgocąca przewaga technologii i organizacji Zachodu — to nie tylko szybkie zakończenie wojny z minimalnymi własnymi stratami. To także fakt, iż setki szybów naftowych podpalonych przez Husseina w Kuwejcie zostało wygaszonych na wiele miesięcy przed przewidywanym terminem. Konsekwencje ekologiczne tych pożarów pozostają jeszcze do ustalenia i stanowią spuściznę niesamowitego roku 1991.

3. Dyktatura jest nadal w odwrocie. Wskazuje na to wyraźnie rozwój wypadków w roku 1991 w różnych częściach świata, przede wszystkim na terenie Afryki. Pokój w Angoli, wygnanie dyktatora i zakończenie walk w Etiopii. Wolne wybory w Zambii, dopuszczenie opozycji do roli politycznej w Kenii. Ale nie tylko w Afryce. W Kambodży po wielu latach wojny zapanował, z trudem wynegocjowany, delikatny, kruchy na razie pokój. Powrócił do swego kraju książę Sihanouk, w niedalekiej przyszłości mają się odbyć wybory pod kontrolą ONZ. W Nikaragui, po latach panowania sandynistów, utrzymuje się nadal demokratycznie wybrany rząd.

Czy w zmaganiach dyktatury z demokracją będzie tak dalej, czy postępować będzie upadek, odwrót wszelkiej dyktatury na rzecz demokracji? Któż to wie? Faktem jest, że z wielu względów na świecie wydaje się panować w tej chwili duch kompromisu. Nawet na Półwyspie Koreańskim, po dziesięcioleciach wrogiej konfontacji wzdłuż 38-go równoleżnika, zawarta została umowa zobowiązująca oba rządy — Południowej i Północnej Korei — do uwolnienia ich terytoriów od broni nuklearnych. Znów wiele spraw dopiero rozpoczętych, nowe potencjalne problemy i wiele nadziei pozostawia po sobie rok 1991.

4. Konflikt arabsko-izraelski od dziesięcioleci nie rokował żadnych nadziei na rozwiązanie. Nie można też twierdzić, iż rok 1991 stanowi już w tym sensie rodzaj przełomu. Ale faktem jest, iż na skutek zmian w światowym układzie sił, w wyniku intensywnej „dyplomacji czółenkowej" Sekretarza Stanu USA Bakera doszło wreszcie do spotkania Izraela, Palestyńczyków i państw arabskich przy wspólnym stole. Pierwsza runda w Madrycie o mało nie zakończyła się fiaskiem, do drugiej rundy — w Waszyngtonie — omal że nie doszło. A jednak rozmowy odbyły się i — choć nie ma dotychczas żadnych oznak kompromisu, w jakiejkolwiek dziedzinie — osiągnięto przynajmniej jedno: rozmowy mają być kontynuowane, następnym razem w Moskwie.

Nie wiadomo kiedy i jak zakończą się te rokowania. Ale wydaje się pewne, iż świat arabski będzie w końcu musiał uznać *de iure* istnienie Izraela oraz jakoś ułożyć swoje stosunki z tym krajem. Nie ulega także kwestii, że Izrael, wbrew stosowanej od dawna „twardej" retoryce, zmuszony zostanie do uznania jakiejś formy państwa Palestyńczyków oraz do związanych z tym kompro-

misów terytorialnych. Gwarantem tego wydaje się być obecna, niekwestionowana supremacja Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej.

5. Wspólnota Europejska, po długich i skomplikowanych negocjacjach, dokonała nowego, znacznego kroku w procesie integracji na drodze do przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy. Zawarta w Holandii w połowie grudnia umowa przewiduje nie tylko zniesienie granic i ujednolicenie waluty. Zakłada ona jednolitą politykę i stanowi w swej istocie scedowanie wielu prerogatyw indywidualnej suwerenności na rzecz Wspólnoty.

Nie zdołano obalić bariery ceł ochronnych, broniących kraje Wspólnoty przed importem z Europy Wschodniej. W tym sensie Wspólnota Europejska nie wywiązała się na razie z obowiązku włączenia się do rozwoju postkomunistycznych krajów kontynentu. A przecież ostateczna wizja zjednoczonej Europy musi także obejmować te kraje, a utrudnianie wymiany handlowej opóźni tylko niezbędne dla wszystkich krajów procesy integracyjne.

I znowu ogromna praca pozostaje jeszcze do zrobienia. Ale umowa, której zawarcia byliśmy „telewizyjnymi obserwatorami", ma wielkie znaczenie i stanowi również super-wydarzenie 1991.

6. Wypuszczenie zakładników trzymanych przez wiele lat w Bejrucie przez fundamentalistów irańskich przypadło także na ten niezwykły rok 1991. Poprzednie próby i negocjacje odnosiły najwyżej częściowy skutek. Obecnie, za pośrednictwem ONZ, osiągnięto całkowite prawie rozwiązanie problemu i niewinni ludzie mogli wreszcie powrócić do swoich bliskich.

Co osiągnęli terroryści? Jeśli wierzyć ich oświadczeniom składanym wobec ofiar przed ich zwolnieniem — porywanie niewinnych ludzi nie okazało się pomocne dla uzyskania postulowanych celów politycznych. Nie ma oczywiście żadnej gwarancji, iż będzie to wystarczającą przestrogą na przyszłość — można mieć co najwyżej taką nadzieję.

Ze sprawą zakładników wiąże się — jako problem znacznie szerszy — przyszłość Libanu. Nie jest przypadkiem, że uwolnieni zakładnicy z Bejrutu przewożeni byli najpierw do Damaszku. Syria jest obecnie panem Libanu — cena jaką zapłacono za zakończenie kilkunstoletniej wojny domowej. Jakie będą konsekwencje tego stanu rzeczy dla Bliskiego Wschodu? Jak wpłynie to na rozwiązanie konfliktu arabsko-izraelskiego?

7. Wojna domowa w Jugosławii stanowi jedno z głównych wydarzeń 1991 roku i ma — w przeciwieństwie do innych — charakter zdecydowanie negatywny i tragiczny. Okazało się, że drzemiący przez lata niezbyt nawet ostrej dyktatury prymitywny

nacjonalizm potrafił doprowadzić na terenie Europy, w końcu XX wieku, do całkowitego barbarzyństwa. Żadne racje historyczne, choćby najbardziej słuszne, nie usprawiedliwiają podobnej walki zbrojnej między sąsiadującymi narodami, śmierci tysięcy ludzi i zniszczenia miasta-zabytku kultury europejskiej — Dubrownika.

Federacja Jugosławii należy już do przeszłości, wiele krajów zapowiada uznanie Słowenii i Chorwacji. Ale sprawa na tym się nie kończy i nie wiadomo, jak wypadki potoczą się dalej. Można tylko mieć nadzieję, że ten barbarzyński konflikt stanowić będzie przestrogę i ostrzeżenie dla innych. Przyszłość pokaże, czy będzie to wystarczająca przestroga.

8. Wszystkie wymienione dotąd główne wydarzenia roku 1991 następowały na tle ogólnoświatowej recesji gospodarczej. Jej stopień różnił się, rzecz jasna, od jednego kraju do drugiego. Kryzys ten obejmował jednak wszystkie kraje świata i rok 1992 nie zapowiada bynajmniej szybkiego powrotu do umiarkowanej nawet koniunktury. Kraje Europy Wschodniej znalazły się w specyficznie ostrym kryzysie przechodzenia do gospodarki rynkowej, ale ogólna recesja na świecie pogłębiła tylko ten kryzys.

Cykliczne kryzysy gospodarcze stanowią normalne zjawisko kapitalizmu. Towarzyszące im bankructwa i wzrost bezrobocia są także elementem tej normalności. Ciekawa może być w tym miejscu krótka refleksja na marginesie tego bezrobocia. W poszczególnych krajach zachodnich sięga ono aż kilkunastu procent siły roboczej i obejmuje miliony ludzi. A jednak nie towarzyszy temu niemal zupełnie wybuch protestów społecznych. Ludzie nie wychodzą na ulice, nie „domagają się" pracy i rozwiązania ich trudności. Dlaczego? Czy to dowód letargii czy obojętności? Nie — jest to pozytywny skutek uboczny stosunkowo wysokich zasiłków dla bezrobotnych, umożliwiających ludziom pozbawionym pracy przetrwanie na jakimś znośnym poziomie. Stanowi to odpowiedź krytykom państwa opiekuńczego, postulującym obniżenie wysokości zasiłków lub ich ograniczenie. Abstrahując od konsekwencji takiego posunięcia dla samych bezrobotnych i ich rodzin, krytycy państwa opiekuńczego nie doceniają być może roli „polisy asekuracyjnej" spokoju społecznego, jaką *de facto* stwarzają godziwe świadczenia socjalne.

9. Światowy kryzys ekologiczny towarzyszył nam nadal w ciągu 1991 roku. Nie było na szczęście dalszych wypadków w elektrowniach nuklearnych. W różnych rejonach świata obserwuje się jednak zmiany klimatyczne, które mogą być — nikt na pewno nie wie — następstwem negatywnych zmian makrośrodo-

wiskowych. Na wokandzie pozostaje sprawa „zjawiska cieplarni" (*greenhouse effect*), w różnych krajach uczeni przestrzegają przed zwiększonym naświetleniem Ziemi promieniami ultrafioletowymi, w wyniku „dziury" w otaczającej warstwie ozonu. Fakt, iż przez szereg miesięcy setki szybów naftowych w Kuwejcie wyrzucały w atmosferę tysiące ton cząsteczek spalin nie może ujść bezkarnie w sferze mikro, a może nawet makro-klimatu. Podobnie na diagnozę czeka stopień szkód wywołany zanieczyszczeniem wód zatoki Perskiej.

Jeśli idzie o ogólny wysiłek dla zachowania czy przywrócenia równowagi makroekologicznej na świecie, to okres wojen lub kryzysu gospodarczego z pewnością temu nie sprzyja. Rok 1991 nie przyniósł też na tym froncie żadnych konkretnych zwycięstw.

10. I wreszcie pozostawiona na koniec sprawa Polski. Nie ma tu miejsca na krótki nawet przegląd wszystkich wydarzeń 1991 roku — znamy je dobrze. Nie dziwi i nie zaskakuje nieumiejętność poprowadzenia kraju od niesławnej gospodarki planowej do wolnego rynku. Pod tym względem sytuacja Polski jest podobna do innych krajów postkomunistycznych. Smutkiem natomiast napawa wykazana przez przywódców i polityków nieudolność w utrzymaniu kontaktu ze społeczeństwem, wyjaśnienia trudności i wyrzeczeń, które muszą towarzyszyć podjętemu procesowi reform. Obok tego obserwujemy powstanie dziesiątków partii o niejasnych różnicach programowych, prowadzących walkę *ad personam* raczej niż *ad rem*. Socjologowie zbadają, który z tych czynników był najbardziej odpowiedzialny za to, że naród polski „nie zdał na razie egzaminu z demokracji". Zawstydzająco niska frekwencja wyborcza doprowadziła do powołania sejmu-inwalidy, w którym nie ma ani wyraźnej większości, ani też szansy stworzenia trwałej koalicji. Impas, w jakim znalazły się próby stworzenia nowego rządu, może być tylko wskaźnikiem impasu, który obejmie cały kraj.

Niespodziewana to, ale groźna spuścizna roku 1991. Polska nie zapadnie się pod ziemię, życie będzie się toczyć dalej. Możliwości poprawy, wydźwignięcia kraju na inny szczebel, przejścia na wyższy poziom cywilizacyjny z pewnością nie znikły, ale bez wątpienia oddaliły się. Mamy świadomość, że Polska nie wykorzystuje powstałej historycznej szansy. Nad jej losem wisi znak zapytania, przed nią wielka niewiadoma.

●

Na koniec możemy się pokusić o próbę bilansu. We wszystkich poruszonych wydarzeniach niezwykłego roku 1991 uderza nas oczywiście ogrom spraw niezałatwionych. Ale na tym przecież

polega życie. Załatwienie jednych spraw, nawet najpomyślniejsze, stwarza nowe, nie mniej poważne i trudne problemy. Nie ulega jednak kwestii, że ogólnie biorąc wydarzenia ubiegłego roku zasługują na ocenę pozytywną. Spróbujmy też przy okazji zadać kilka podstawowych pytań:

— Jaka jest dziś szansa wybuchu nowej wojny światowej? Chyba oczywistością będzie odpowiedź, iż jest znacznie mniejsza.

— Czy wobec tego ilość konfliktów zmniejszy się, czy świat stał się bezpieczniejszy? Konflikty, także konflikty zbrojne, będą istniały zawsze — zbyt skomplikowane jest życie zbiorowości ludzkich. Wydaje się jednak, iż w stosunkach międzynarodowych — w odróżnieniu od lokalnych — ilość konfliktów powinna ulec zmniejszeniu. Rok 1991 przejdzie do historii jako okres, w którym kompromis i negocjacje uznano, z różnych względów, za najwłaściwszy sposób rozwiązywania sporów.

— Czy, mimo porażki i odwrotu, możliwy jest powrót, ponowne zwycięstwo dyktatury? Istniejący trend i triumf demokracji nie jest przypadkiem. Składają się nań określone przyczyny, jak rozwój technologii i spowodowane nim „zmniejszenie i otwarcie" świata oraz szereg innych. Ale czy te czynniki stanowić mogą gwarancję, iż w określonych warunkach fala dyktatury znowu nie powróci? Któż czuje się na siłach, aby dziś odpowiedzieć na to pytanie?

— Czy na skutek wydarzeń 1991 roku sytuacja człowieka na świecie polepszyła się? Abstrahując od sytuacji materialnej, na którą składają się sprawy takie jak stosunki między krajami bogatymi i biednymi, konsekwencje światowego kryzysu itp. — odpowiedź na to pytanie będzie zdecydowanie pozytywna. Więcej ludzi w następstwie roku 1991 będzie miało życie wolne od represji, a czyż sam ten fakt nie jest już wielkim osiągnięciem? Wszak każdy z nas ma tylko jedno życie.

— Czy — wobec tego — można powiedzieć, że ludzie będą bardziej zadowoleni i szczęśliwi? Bardzo wątpię. Nie tylko dlatego, że jest to w dużym stopniu sprawa indywidualna i często niezależna od obiektywnych warunków zewnętrznych. Ale również dlatego, że człowiek rzadko kiedy docenia to, co już ma. Zapomina o dawnym złym losie, domaga się, żąda coraz więcej. Taka jest ludzka natura.

Sydney, Boże Narodzenie 1991

Jerzy BONIECKI

USA a Polska*

Rozmawiamy z prof. Zygmuntem Nagórskim, socjologiem, politologiem, wykładowcą na uniwersytetach i w wielu instytucjach amerykańskich, wieloletnim pracownikiem rządu USA w Egipcie, Korei i Francji, oraz właścicielem i założycielem Centre For International Leadership.

— Czy rząd amerykański posiada określoną polityczno-ekonomiczną strategię w stosunku do Europy środkowo-wschodniej?

— Strategia oznacza długotrwałe planowanie koncepcji i celów, do których się zmierza w taki lub w inny sposób. Moim zdaniem, rząd USA w tej chwili takiej koncepcji nie posiada, nie tylko w stosunku do Europy środkowo-wschodniej, ale i Europy zachodniej. Rząd amerykański działa po omacku, kierując się w różne strony. Ostatnio jego zainteresowania skupiają się głównie na Bliskim Wschodzie — co oczywiście determinuje jego politykę zagraniczną. Być może gdzieś w Departamencie Stanu istnieją plany i koncepcje posunięć politycznych i gospodarczych w Europie środkowo-wschodniej.

— Wobec tego, jaka jest pozycja Polski w polityce USA?

— Pozycja Polski jest dość specyficzna, można mówić o pewnym sentymencie do kraju-symbolu. Symbolu walki z komunizmem i zwycięstwa nad nim. Sytuacja zmieniła się trochę po 1989 r. Można wówczas mówić o nowym podejściu do Polski. I w tym przypadku sądzę, że jeżeli istnieje jakaś strategia dla Polski, to zakłada ona, iż Polska musi się sama wydźwignąć, jeśli nie, to Ameryka przestanie się nią interesować, stanie się obojętna na to, jakie wpływy w niej zwyciężą: niemieckie czy rosyjskie. Ameryka zapomni o Polsce-symbolu.

— Co Pan rozumie przez określenie Polska-symbol?

— Dla Amerykanów liczy się kariera, mit, symbol. Przykładem tego może być wizyta Lecha Wałęsy w USA. Przyjmowano go entuzjastycznie, bez względu na to co mówił. Inne podejście jest do Czechów czy Węgrów, są oni wszyscy partnerami bardziej interesującymi, ale mówi się o nich „chłodno". Natomiast o Polsce wspomina się z pewnym „ciepłem", lecz w związku z tym więcej się od niej oczekuje. Czy to przetrwa, nie wiem.

* Krakowski *Dziennik Polski* z 16. 12. ub. r. zamieścił niezmiernie ciekawą rozmowę, którą przedrukowujemy.

— Czy nie sądzi Pan, że pomoc gospodarcza dla Polski ma także charakter symboliczny?

— Obecnie w Stanach Zjednoczonych istnieją bardzo poważne problemy społeczne: bezrobocie, recesja, imigracja, brak opieki społecznej. Z tego też względu wielu polityków amerykańskich uważa, że fundusze, które mają być przeznaczone na pomoc zagraniczną (jeden procent w budżecie) należy wykorzystywać w kraju. Zagadnienia Europy środkowo-wschodniej, w tym i Polski, zeszły na dalszy plan. Zresztą sytuacja wewnętrzna Polski nie sprzyja inwestowaniu. Brak stałych, jasnych i konkretnych praw, wielokierunkowość polityki nie nastrajają optymistycznie amerykańskich biznesmenów. Nie w pełni zgadzam się z Panem, że pomoc USA dla Polski jest symboliczna, bo przecież dwie wielkie inicjatywy amerykańskie miały podstawowe znaczenie dla Polski. Utworzenie miliardowego funduszu stabilizacyjnego, do którego USA wniosły 200 mln dolarów — co umożliwiło wymienialność złotówki — i darowanie części zadłużenia wobec Stanów Zjednoczonych.

— Analiza programów pomocy dla Polski wykazuje, że część z przyznanych przez Kongres USA funduszy — w latach 1990-92 720 mln dolarów — wykorzystywana jest na opłacanie specjalistów i konsultantów przyjeżdżających do Polski. Co Pan sądzi na ten temat?

— Niestety, duża część funduszy idzie nie na bezpośrednią pomoc gospodarczą, a na opłacenie konsultantów. Większość z nich to ludzie niezorientowani w sytuacji politycznej i gospodarczej Polski. Obserwuję całe plejady ekspertów, którzy przyjeżdżają do Polski, wynajmują pokoje w „Marriocie" i piszą raporty, nie bardzo odpowiadające polskiej rzeczywistości. I na tym kończy się ich działalność. Później na tej podstawie powstają koncepcje nie do zrealizowania w Polsce.

— Jakie więc widzi Pan szanse dla polskiej gospodarki?

— Chciałbym raczej powiedzieć, czego Polsce nie życzę. Istnieje niebezpieczeństwo, że przyjdzie tutaj kapitalizm w najgorszej formie, że powstaną nieliczne elity bogatych, a reszta to będą biedni. Jeżeli to nastąpi, wówczas prawdopodobnie zainteresowanie Ameryki wzrośnie, lecz na szczeblu elitarnym, a nie całego kraju. I właśnie tego Polsce nie życzę.

Rozmawiał *Marek DŁUGOPOLSKI*

Nowy system monetarny z perspektywy Tokio

Od czasu załamania się międzynarodowego systemu monetarnego opartego na stabilnym kursie dolara (tzw. system Bretton Woods), a zwłaszcza od „szoku naftowego" r. 1973, eksperci finansowi nawołują o ponowne wprowadzenie stałych kursów wymienialności w międzynarodowym systemie monetarnym. Względny upadek dolara, oraz częste fluktuacje kursowe są główną przyczyną okresowych destabilizacji w gospodarkach światowych, na skutek wahadłowych nierówności w zyskach wielkich korporacji. W wytworzonym od r. 1973 „systemie przejściowym", Japonia zdecydowała się na fluktuację własnej waluty, co w konsekwencji spowodowało wzrost wartości jena, a obniżenie eksportów japońskich. To z kolei doprowadziło do racjonalizacji i usprawnienia japońskich przemysłów wytwórczych, oraz dalszego wzmocnienia jena. Od połowy lat 80-ych zakres fluktuacji kursowej jest częściowo regulowany w ramach corocznych szczytów największych potęg przemysłowych tzw. Grupy Siedmiu. Największe presje dla przywrócenia stabilnych kursów wymienialności występują w Europie. Jeżeli koncepcja Europejskiej Unii Monetarnej zostanie z powodzeniem zrealizowana, Europa może znaleźć się w posiadaniu jednego banku centralnego oraz wspólnej waluty jeszcze w przeciągu obecnej dekady. W praktyce oznaczałoby to wprowadzenie ustalonego kursu wymienialności w oparciu o markę niemiecką, przy czym kurs marki wobec dolara określałby tu kurs dolara wobec innych walut wchodzących w skład Europejskiej Unii Monetarnej.

Rozwój w Europie jest uważnie obserwowany w Tokio. Sądząc z licznych analiz tego zagadnienia w fachowej prasie japońskiej oraz częstych wypowiedzi czołowych przedstawicieli kół finansowo-

przemysłowych[1], Tokio zdecydowanie opowiada się za przywróceniem stabilności kursowej w międzynarodowym systemie monetarnym. Rozwój w tym kierunku stworzyłby nowe, korzystne warunki dla *klimatu inwestycyjnego* w Europie, oraz przyspieszył proces *wyrównania gospodarczego* między Europą Zachodnią a krajami Europy Środkowo-Wschodniej.

Przesłanki dla nowego systemu monetarnego

Zdaniem ekspertów japońskich dążność do przywrócenia stabilności w kursach walutowych odzwierciedla tu szersze tendencje dla reformy systemu monetarnego. Składają się na to różne przyczyny, wynikające z radykalnych przemian polityczno-gospodarczych w świecie postkomunistycznym, szczególnie na kontynencie Euro-Azji. W pierwszym rzędzie chodzi tu o dalekosiężne zmiany w Europie, gdzie postępująca integracja wolno-rynkowa i ogólno-europejska stwarzają największy bodziec dla stabilnej wymienialności kursowej. Wszystko wskazuje na to, iż tzw. Europejska Unia Monetarna przekształci się ostatecznie w ogólno-europejską strefę walutową (zakotwiczoną w marce niemieckiej), do której wpierw dołączą kraje Europy Centralnej (Polska, Węgry i Czechosłowacja), a następnie kraje bałtyckie, Ukraina i Białoruś. Podobnie jak to miało miejsce w przeszłości w wypadku Francji, Belgii i innych krajów Wspólnoty Europejskiej, włączenie tych krajów do euroniemieckiej strefy walutowej przyczyni się do zbliżenia ich głównych wskaźników gospodarczych (inflacja, stopa oprocentowania w przemyśle itp) do poziomu Niemiec, a więc znacznego wyrównania i przybliżenia ich gospodarek do norm europejskich.

Po drugie, od r. 1985 kurs dolara zbliżył się do wartości z grubsza odzwierciedlającej przekrój potencjału gospodarczego Wspólnoty Europejskiej, Japonii i USA. Równocześnie doszło do pewnego wyrównania bilansów płatniczych i budżetowych między głównymi blokami gospodarczymi. Np. ogólny deficyt handlowy USA obniżył się w pierwszej połowie r. 1991 prawie czterokrotnie w porównaniu do roku 1987, przy równoległej redukcji znacznych nadwyżek płatniczych Niemiec. Oznacza to stopniowy powrót zaufania międzynarodowego do dolara, którego przewidywane od kilku lat załamanie nie nastąpiło. Najpierw kryzys i wojna w Zatoce Perskiej, a obecnie kompletny rozpad byłego ZSSR, jeszcze raz potwierdziły specjalną rolę dolara w okresach kryzysowych, w odniesieniu do krytycznych wahań cen ropy naftowej.

---

1. Niniejsze uwagi opieram m.in. na wywiadach prasowych z szefem Wydz. Stosunków Międzynarodowych Banku Japonii, p. Mikio Wakatsuki, oraz niedawnym dokumencie polityczno-gospodarczym wpływowego stowarzyszenia „Keizai Doyukai" (specjalnego ciała doradczego rządu do spraw polityki monetarnej i inwestycyjnej), naświetlającego przyszłe kierunki polityki finansowej Tokio.

Trzecim, a z punktu widzenia Tokio szczególnie ważnym czynnikiem są rosnące presje na stabilizację wymienialności kursowej w związku z niebywałym rozmachem kapitału inwestycyjnego od r. 1985, szczególnie na kontynencie Euro-Azji.

W miarę rosnącego znaczenia i roli kapitału inwestycyjnego w pogłębianiu globalnej współzależności gospodarczej, rośnie potrzeba stabilności kursowej, jako stałego wyznacznika wartości inwestycyjnych.

System stref walutowych

Wymienione tu przesłanki i trendy utrwalają strategów gospodarki japońskiej w przekonaniu, iż już w niedalekiej przyszłości wyłonią się na kontynencie Euro-Azji trzy główne strefy walutowe marki niemieckiej, dolara i jena, co ostatecznie przesądzi o ustanowieniu nowego systemu monetarnego, łącznie z gruntowną reformą Międzynarodowego Funduszu Walutowego (ang. IMF).

Stworzenie strefy marki niemieckiej (DM) w Europie (z Europą Środkowo-Wschodnią i krajami bałtyckimi) nastąpi w przeciągu obecnej dekady, być może już w połowie lat 90-ych[2]. Strefa dolara obejmie Rosję, pozostałe (nie-europejskie) republiki byłego ZSSR, Chiny oraz początkowo jeszcze niektóre inne kraje Azji. Podobnie jak w wypadku strefy marki, kurs wymienialności wobec dolara zostanie ściśle ustalony w oparciu o nowe regulaminy zreformowanego MFWu, a nie dezyderaty USA. Interesująco przedstawia się sprawa strefy i roli jena w wymiarze globalnym. Już dziś dochodzi do utrwalenia strefy jena w Azji Południowo-Wschodniej, a dalszy wzrost wartości jena i inwestycji japońskich ostatecznie przesądzi o dominacji jena na całym obszarze Azji. Jednakowoż jeszcze ważniejszym, osobliwym zagadnieniem jest rosnąca rola jena jako gwaranta strefy dolarowej, ze względu na szczególną pozycję Japonii jako największego wierzyciela i dostawcy kapitału w wymiarze globalnym. W tym sensie jen będzie odgrywał, w okresie najbliższych 15-20 lat, rolę stabilizatora nowego systemu monetarnego na całym kontynencie Euro-Azji.

Wyłonienie się trzech stref walutowych na obszarze Euro-Azji będzie wymagało jeszcze ściślejszej niż dotychczas współpracy i koordynacji finansowo-gospodarczej między USA, Japonią a Niemcami. Głównym celem polityki finansowej Japonii będzie wpierw stopniowe zwężanie marginesu fluktuacyjnego między marką, dolarem a jenem, aż do ostatecznego ustalenia stabilnego kursu wymienialności między trzema strefami walutowymi. Oznaczać to będzie stopniowe osiąganie zrównoważenia gospodarczego na obszarze Euro-Azji, a więc stworzenia optymalnych warunków dla nowego rozmachu aktywności inwestycyjnej.

2. Formalnie chodzi tu oczywiście o strefę tzw. Ecu (jednostki waluty europejskiej), lecz w praktyce „zawieszonej" na marce niemieckiej (bez względu na jej ostateczną wartość wobec innych stref walutowych). Japończycy zdają się być przekonani, iż presja kapitału inwestycyjnego doprowadzi do stworzenia ogólno-europejskiej strefy Ecu/DM dużo wcześniej, niż eksperci finansowi są jeszcze dziś skłonni przypuszczać.

●

Przedstawione tu, z perspektywy Tokio, postulaty stabilności kursowej w systemie monetarnym mają m.in. szczególne znaczenie dla dalszego rozwoju gospodarczego krajów *Europy Środkowo-Wschodniej*. Dotychczasowy brak większej stabilności kursowej był i pozostaje problemem „błędnego koła" dla tych krajów. Z jednej strony ich zacofanie gospodarcze jest jedną z głównych przeszkód dla ich włączenia do europejsko-niemieckiej strefy walutowej, a z drugiej strony ich trwająca izolacja jest poważnym hamulcem dla wyrównania gospodarczego z resztą Europy. Problemy te i dylematy są dobrze rozumiane w kołach finansowych i rządowych Tokio, których plany gruntownej reformy międzynarodowego systemu monetarnego zakładają przyśpieszone włączenie tego rejonu do nowego systemu stref walutowych. Naświetlone tu plany i postulaty polityki monetarnej Tokio rzucają również interesujące światło na zasadnicze zmiany w polityce inwestycyjnej Japonii. Wynika z nich niedwuznacznie, iż gros inwestycji japońskich w przyszłości będzie się skupiało na obszarze kontynentu *Euro-Azji*, kosztem Ameryki. Dobitnym potwierdzeniem takiego trendu jest odnotowany przez prasę japońską dramatyczny spadek inwestycji japońskich w Ameryce do 1 miliarda dolarów, w porównaniu z 15 miliardami w r. 1987. Nie oznacza to jednak dalszego, drastycznego obniżenia inwestycji japońskich w Ameryce, gdyż ze względów politycznych Tokio nie może sobie jeszcze dziś pozwolić na zbytnie antagonizowanie Waszyngtonu. Wg nieustannych zapewnień Tokio, inwestycje japońskie w USA nie ulegną dalszym cięciom tak długo, jak tylko deficyt budżetowy USA będzie pozostawał w granicach 100 miliardów dolarów. W takim też, polityczno-dyplomatycznym kontekście należy rozumieć względnie pozytywne przesłanki o roli i „sferze dolara", w praktyce jednak coraz bardziej uzależnionego od jena. Oznacza to więc, iż w przyszłości nie tylko obszar Azji, lecz również olbrzymie połacie Euro-Azji (Rosja) zostaną objęte strefą jena, w miarę postępującej penetracji kapitału japońskiego na tym obszarze. Rejon Europy Środkowo-Wschodniej (głównie kraje jak Polska i Ukraina) staną się, w założeniach japońskich, nie tylko *pomostem gospodarczo-handlowym* między zachodnią a wschodnią częścią Euro-Azji, lecz również obszarem rosnącej rywalizacji kapitałowej między europejską strefą marki niemieckiej a euro-azjatycką strefą jena.

Janusz MONDRY

Otwarcie Ambasady R.P. w Pretorii

The Star, jeden z najpopularniejszych dzienników południowoafrykańskich, w dniu 19.12.1991 na drugiej stronie (pełnej wiadomości o morderstwach i gwałtach) u samego dołu, cieniutką, krótką kolumienką doniósł, iż poprzedniego dnia czyli 18 grudnia, w Pretorii, zastępca Ministra Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej Polskiej, Jerzy Makarczyk, oraz Minister Spraw Zagranicznych RPF, Pik Botha, podpisali protokół o podniesieniu dyplomatycznych reprezentacji swych krajów do stopnia ambasad. Dziennik dodał, iż minister Makarczyk określił ceremonię podpisania protokołu jako „wielkie wydarzenie" w normalizacji stosunków pomiędzy R.P. i RPA. „Mamy nadzieję — rzekł, według *The Star*, minister Makarczyk — że obecnie będziemy mogli powiększyć inwestycje w obu krajach". Informacja tu ukazała się w *The Star* — oraz w innym popularnym dzienniku RPA, *Sunday Times* — pod nagłówkiem: „De Klerk zaproszony do odwiedzin Polski". Zaproszenie prezydenta Wałęsy przywiózł właśnie wiceminister Makarczyk. No cóż, gdybyśmy nie mieli tak spóźnionego refleksu politycznego, względnie odpowiednią do sytuacji obsadę placówki dyplomatycznej regionu południa Afryki znacznie wcześniej niż od kilku miesięcy, prasowe doniesienia o otwarciu Ambasady Polskiej byłyby sensacją. W grudniu 91 sensacją to już nie było.

Rok temu, gdy Nelson Mandela został zwolniony z więzienia — co oznaczało, że RPA komunizmu u siebie już się nie obawiała i nie miała dłużej za złe innym państwom ich komunistycznej przygody — powstała nagle polska ambasada w Gaborone, stolicy Botswany, kraju sąsiadującego z RPA. Po co? Nie wiem. Ale wiem, dlaczego! Z głupoty politycznej polskiej płynącej z zarozumialstwa tych krótkowzrocznych w Kraju, co to „wiedzą lepiej" niż ludzie z emigracji, których o radę polityczną nie pytano. Na oficjalne dyplomatyczne wejście do RPA, zdaniem Polski '90, było nieco za wcześnie, acz Węgrzy i Czesi nie zwracali uwagi na niuanse w stylu: „Pogniewa się na nas Ameryka, Fundusz Monetarny etc., czy nie?" i nie tracąc ni czasu, ni pieniędzy, otwierali swe placówki w Pretorii. Dla garstki Polaków żyjących w Botswanie placówka nasza stała się wkrótce zakłopotaniem towarzyskim. Niemcy zżymali, się, że drogi wystrój Ambasady Polskiej to naprawdę z ich pieniędzy; Amerykanów drażniło, że dla nich wynajęcie budynków zajmowanych przez Ambasadę R.P. (6000 $ na miesiąc) było za kosztowne, a dla proszących cały świat o pieniądze Polaków — nie! Nigeryjczycy obrazili się, że nikt z tej Ambasady nie zareagował na ich zaproszenie z okazji nigeryjskiego święta narodowego; inni dyplomaci

czuli się równie urażeni, że czas mijał, oficjalnego zapoznania się z personelem nowej placówki nie było, zaś sam szef unikał okazji złożenia wizyt innym.

Ale dla kilkunastotysięcznej Polonii południowoafrykańskiej obecność sekcji konsularnej była ulgą: wreszcie można było załatwić paszporty konsularne, wizy, spadki etc. na miejscu, bez pośrednictwa Londynu (bowiem Ambasada R.P. w pobliskim Zimbabwe ciągle na starej fali „obsługiwała" ościenne, dziś eks-prokomunistyczne względnie nijakie kraje.

Gdy według bliżej mi nieznanych kryteriów czas dojrzał, a przypadł na marzec '91, zniknęła Ambasada R.P. w Gaborone, za to pojawiło się w RPA w tym samym momencie i zatrudniające niemalże ten sam personel, meble i sztućce — Biuro Interesów R.P. w Pretorii. Misja normalizacji stosunków pomiędzy Polską a Południową Afryką została powierzona człowiekowi z kręgów emigracji paryskiej (tej stanu wojennego). Młodość, zapał, wiara w siebie i w powierzoną sobie misję, a także szacunek do poszukiwań pokojowych i demokratycznych rozwiązań problemów wewnętrznych RPA oraz podziw dla odwagi i wyobraźni politycznej w przezwyciężaniu uprzedzeń, podziałów okazywanych przez prezydenta De Klerk, Bothę, Mandelę, Butheleziego, sprawił, że o szefie Biura Interesów R.P. można powiedzieć: „właściwy człowiek na właściwym miejscu". Jeszcze w sierpniu szef Biura Interesów RPA w Warszawie powiedział: „Jesteśmy gotowi do ustanowienia pełnych stosunków dyplomatycznych. Sfinalizujemy je, kiedy Polska będzie gotowa". Polska zdecydowała się „być gotową" po spełnieniu stawianych RPA warunków: podpisaniu kilku porozumień m.in. handlowych: jak zakup statków, budowa zakładu koksowniczego dla Szczecina; umowa w sprawie wiz, kontraktów o pracę. Na przyjęciu w siedzibie Ambasady Rzeczypospolitej — jeszcze wczoraj o skromnej nazwie Biuro Interesów — zadziwił mnie nierówny poziom wypowiedzi, a niekiedy i niezbyt uczciwa duma.

Wiceminister Makarczyk: „O ustanowienie Ambasad zabiegała głównie RPA. Dla niej jest ten szczebel dyplomatyczny ważniejszy niż dla nas. Polska znajduje się w centrum nowej Europy. Tworzą się przecież nowe kraje na naszych pograniczach jak Ukraina, Białoruś, itd."

Szef Biura Interesów RPA w Warszawie, Gryffenberg: „Potrzebniejsze dla nas są kontakty z kontynentem Afryki, lecz ważne są wszystkie a w tym i z Polską, by umacniać się w procesie demokracji". Pełniący obowiązki ambasadora Stanisław Cieniuch: „pełne kontakty dyplomatyczne dadzą nam możność korzystania z bogactw gospodarczych i kulturalnych RPA, oraz reformatorskiej roli De Klerk'a, Mandeli, Butheleziego, Bothy, od których mamy szansę nauczyć się budowy przemian".

Pracownik Departamentu d/s Afryki i Bliskiego Wschodu, towarzyszący ministrowi Makarczykowi w podróży, Pomianowski: „Podniesienie placówki naszej do szczebla Ambasady jest uwieńczeniem

wcześniejszych starań na polu gospodarczym, kulturalnym, naukowym. Zaznacza to także naszą starą i trwającą obecność w tej części Afryki. Dla Polski to uznanie, że inny kraj pragnie utrzymywać z nią stosunki dyplomatyczne".

Prezes Polonii południowoafrykańskiej, De Virion: „Otwarcie Ambasady to sprawa prestiżowa. I właściwie wstyd, że nie wcześniej. Bardzo ważne to dla sentymentów, bo Burowie są uczuciowi, chcą być doceniani. Pragną handlować z Polską tak, jak i Polska z nimi, ale bałagan w Polsce i ograniczone zasoby RPA nie pozwolą na razie na wielkie biznesy. Dobre chęci sprowadzą się do wymiany kulturalnej. RPA przede wszystkim posiadane środki przeznaczać musi na poprawę życia czarnoskórej części swego społeczeństwa. Następnym krokiem jest rozwój ekonomiczny sąsiadujących z nią krajów przez współpracę z nimi. Dopiero na trzecim miejscu może stać inwestowanie w odległe kraje takie, jak właśnie Polska"

Wiceminister Spraw Zagranicznych RPA, van Hierden, powiedział skromnie i uczciwie: „Jesteśmy zadowoleni z zaufania okazanego Republice Południowej Afryki przez Polskę poprzez otwarcie Ambasady".

Maun, grudzień 1981

Małgorzata DZIEWIĘCKA

List z Londynu (24)

W kraju, który mógł pozwolić na kandydaturę Tymińskiego i zarejestrować Polską Partię Przyjaciół Piwa, musi brakować elementarnej wiedzy o działaniu demokracji i o kierunku myślenia zachodnich społeczeństw.

Dlatego, chcąc włączyć się w akcję namawiania Polaków, by szli do urn, wybrałem się raz jeszcze do kraju z serią wykładów. Przewidziałem kilka tematów, ale planowałem, że najczęściej będę mówić o „Zjednoczonej Europie i polskich szansach" i nie zawiodłem się. Na 14 wykładów tylko 2 razy proszono mnie o inny temat. Słuchaczami byli studenci uniwersytetów w Krakowie i w Katowicach, oficerowie i podchorążowie szkół wojskowych, w Warszawie i we Wrocławiu, tamże członkowie Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i Klubów Inteligencji Katolickiej, wrocławscy kandydaci na posłów, wreszcie pisarze, bibliotekarze i studenci w Poznaniu.

To wielka radość, wzbudzić wykładem emocjonalną dyskusję wśród młodych ludzi, bo tylko ich można przekonać, ale jednocześnie wielkie zaskoczenie, gdy z pytań i dyskusji wynika, jak mało wiedzą oni o Europie.

Widziałem zaskoczenie na twarzach słuchaczy, gdy powiedziałem, że już we wrześniu 1946 roku padły w Zurychu słowa Winstona Churchilla o konieczności stworzenia Stanów Zjednoczonych Europy i że pierwszym krokiem „musi być partnerstwo Francji i Niemiec". Nic prawie nie wiedzieli o roku 1951 i o inicjatywie 6 państw (Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Zachodnie Niemcy i Włochy), która w roku 1957 doprowadziła do powstania Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Nie wiedzieli, że mózgiem tego porozumienia był Francuz, Jean Monnet.

W Polsce obecny kryzys zapisuje się na konto Solidarności, która rozpadła się na szereg grup politycznych, a przecież musiało się tak stać, bo była ona ruchem wolnościowym, a nie partią jednoczącą ludzi o tych samych poglądach. Pewnej analogii można szukać w Armii Krajowej, która zjednoczyła naród, a przecież, gdyby Polska wyszła z wojny zwycięsko, AKowcy nie poszliby do urn jako jedna partia.

Dlatego zupełnie zaskoczyła ich informacja o Parlamencie Europejskim, który powstał w roku 1958 i którego skład i charakter nie mieści się w pojęciach politycznych przeciętnego Polaka. Posłów wybiera u siebie 12 członkowskich państw, a więc w parlamencie powinni się trzymać i głosować razem. Tymczasem jest inaczej. Kluby parlamentarne tworzą się na podstawie poglądów politycznych, a więc na 518 posłów najsilniejsi, socjaliści, mają ich 180, chrześcijańscy demokraci 121, liberałowie i reformatorzy 49, europejscy demokraci (wśród nich brytyjscy konserwatyści) 34, Zieloni 30 itd. Mniej więcej wypada jeden poseł na 700.000 mieszkańców danego kraju.

Ten układ sprawia, że jest to parlament reprezentujący Wspólny Rynek, a nie poszczególne kraje. Tu mieści się sekret całego przedsięwzięcia, tu ma się realizować wizja przyszłej, zjednoczonej Europy. Suwerenność narodów i państw musi być ograniczona na rzecz Wspólnoty. Ten punkt wywołał najwięcej dyskusji wśród mych słuchaczy i wzbudzał najwięcej wątpliwości, bo Polacy są wyjątkowo czuli na punkcie suwerenności.

Balcerowicz odszedł, ale osiągnął jeden ważny sukces: polski złoty stał się wymienny, posiada wartość. Jednak symbolem bogactwa jest nadal dolar, więc słuchano mnie prawie z niedowierzaniem, gdy mówiłem, że budżet Wspólnego Rynku wynosi 58 miliardów i że jest to tylko 1% produkcji jego 12 członków. Szmer szedł po salach, gdy słyszano ode mnie, że obroty handlowe Rynku wynoszą 40% obrotów całego świata (USA 14%, Japonia 8%), że na pomoc dla rolnictwa i rybołóstwa wydaje się 59% tego budżetu.

Nic dziwnego, że pytania dotyczyły przede wszystkim polskich szans, kiedy zostaniemy przyjęci? O to właśnie chodziło. Moje wykłady odbywały się tuż przed wyborami, mogłem więc jak najmocniej podkreślić ich ważność, bo wiązały się z tymi szansami. Przyjęcie do Wspólnego Rynku wymaga spełnienia dwóch podstawowych warunków: podniesienia dochodu na głowę obywatela i demo-

kratycznego ustroju. Poprawa gospodarcza to problem lat, ale demokracja to wolne wybory za kilkanaście dni!

Nawet ten, łatwy przecież warunek, nie został spełniony, nawet 50% nie potrafiło poświęcić na wybory kilku godzin (w Czechosłowacji głosowało 96%), ale polskie szanse nie przepadły. Zaważą względy polityczne, wiele pomógł zamach stanu w Sowietach, pokazał, że trzeba się spieszyć. Mamy kilka lat przed sobą, lat w naszej historii może najważniejszych.

●

19 grudnia, w polskiej ambasadzie w Londynie, odbyła się jedyna w swym rodzaju uroczystość. Edward Raczyński, Prezydent RP, ambasador, dyplomata, polityk, pisarz, obchodził setną rocznicę urodzin! Zebraliśmy się, by uczcić ten dzień, ale nie mieliśmy nadziei, że ujrzymy jubilata. Przed kilku miesiącami upadł, złamał kość biodrową, przeszedł ciężką operację, od lat jest pozbawiony wzroku. Nie tylko przybył i wytrzymał długą ceremonię, ale przemawiał.

●

Do drugiej wojny światowej Wielka Brytania, dzięki imperium, była największą potęgą świata. Tę pozycję i rolę przejęły Stany Zjednoczone i są obecnie odpowiedzialne za bezpieczeństwo naszej kuli ziemskiej, do nich należą akcje „polityczne", których przykładem były Korea, Wietnam, Irak.

W tym roku obydwa te kraje przeprowadzają powszechne wybory, jakże ważne w okresie, gdy rozpada się Związek Sowiecki i łączy Zachodnia Europa.

W Stanach, w listopadzie, wybiera się prezydenta, w Wielkiej Brytanii do lipca musi być wybrana Izba Gmin (Izba Lordów nie pochodzi z wyboru).

Anglosaska demokracja polega w praktyce na walce dwóch głównych partii, z tą różnicą, że w Stanach nikt nie wie, gdzie krzyżują się poglądy republikanów i demokratów. Po wojnie gen. Eisenhower był namawiany przez obydwie partie, by dla nich kandydował. Dlatego tam jest to walka osobistości, a nie programów — to powoduje, że kampania wyborcza polega głównie na oblewaniu kontrkandydatów wszystkimi możliwymi pomyjami. Najpopularniejsze są ataki na życie osobiste kandydatów. Zawsze są żonaci, bo kawaler lub rozwodnik nie miałby szans, i przeciwnicy starają się zniszczyć obraz przykładnego ojca rodziny, wyszukując tuzin dziewcząt, które potwierdzą jego romantyczną, a najlepiej rozpustną przeszłość. Dla nich to krok w kierunku Hollywood, dla niego klęska w wyborach.

W Wielkiej Brytanii jest inaczej. System jednomandatowych okręgów wyborczych sprawia, że prawie zawsze tylko dwie partie się

liczą, i między nimi — tak jak teraz między konserwatystami i Partią Pracy — walka toczy się o programy. Dlatego w kampanii wyborczej nie ma prawie akcentów osobistych, nikt nie miesza się do spraw rodzinnych, wybory może wygrać i zostać premierem kawaler (konserwatysta Edward Heath, 1970-4), walka jest twarda, nawet brutalna, ale nie plugawa.

Byłem w Stanach, gdy w roku 1980 o ponowny wybór walczył Carter. Odbywał się wielki, gigantyczny piknik, mający charakter narodowego szaleństwa. Starzy ludzie biegali w szortach z balonikami w rękach, kobiety całowały na ulicach obcych mężczyzn, hordy dziewcząt maszerowały ze sztandarami, orkiestry grały na wszystkich rogach ulic. Ten nieustanny szał reklamy, wyżycia się, politycznej walki i radości trwa przez kilka miesięcy, prezydent, o ile ponownie kandyduje, przez ostatnie pół roku prawie niczym innym się nie zajmuje, kandydaci wydają miliony i bez nich nie ma tam czego szukać, cały system wygląda na jeden niebotyczny nonsens, ale Amerykanie go kochają i nigdy zeń nie zrezygnują. I ten zdumiewający system działa. Wybrano prezydenta, ocieka jeszcze wyborczymi pomyjami, a już się go słucha. I Stany Zjednoczone są największą potęgą naszego świata.

W Wielkiej Brytanii kampania wyborcza jest twarda, pragmatyczna, powolna, konsekwentna. Nikt nie szaleje, nikt nie maszeruje, nie tańczy, nie śpiewa. Przywódcy i ich adiutanci mówią o rzeczach najprostszych: obniżymy podatki o jednego pensa w funcie, podniesiemy starcze renty o 2 funty miesięcznie, lekarstwa będą kosztować o pół procent mniej. Rząd nie tylko wybiera najdogodniejszą dla siebie datę wyborów, ale może nagle wykonać jakiś popularny gest. Teraz udało mu się namówić wielkie kredytowe firmy, by obniżyły procent pożyczek na domy. Setki tysięcy rodzin zadłużyło się, a gdy przyszła recesja i wzrosło bezrobocie, wiele z nich straciło własny dach nad głową. Oczywiście te wielkie kredytowe firmy to domena konserwatystów.

Kto wygra? Bush już stracił kredyt, który zdobył dzięki wojnie na Bliskim Wschodzie, już przygniotła go wewnętrzna recesja, ale nie widać groźnych dlań przeciwników.

W Wielkiej Brytanii stałby się prawie cud, gdyby konserwatyści po raz czwarty zwyciężyli, ale rywale idą łeb w łeb, a cuda czasem się jednak wydarzają.

●

Głośny amerykański tygodnik *Time*, w wydaniu z grudnia 1991 r. poruszył problem rozdziału Kościoła od państwa. W piśmie wydawanym w kraju, w którym jest tak wiele wyznań, sekt i świątyń, padło pytanie: „Czy rozdzielenie Kościoła od państwa nie poszło za daleko?"

Rozwinęła się polemika, dwa głosy warto odnotować.

a. „Nigdy w historii ludzkości rozdział Kościoła od państwa nie poszedł za daleko".

b. „Mój Bóg nie jest związany z symbolem krzyża na okładce waszego pisma. Wydaje mi się, że uważacie Stany Zjednoczone za jeden naród pod waszym Bogiem. Tu właśnie tkwi sedno sprawy w walce o oddzielenie Kościoła od państwa".

●

Dnia 11 listopada ub. roku w siedzibie Stowarzyszenia Wspólnota Polska w Warszawie otworzono wystawę POSKu z Londynu. Obok samego Ośrodka, 33 organizacje i instytucje, które są lokatorami POSKu, wypełniły swoimi eksponatami plansze i gablotki. Niektóre z nich istnieją już prawie pięćdziesiąt lat, ich eksponaty, wykresy i pamiątki dobrze reprezentowały wieloletnie osiągnięcia.

Kilka tygodni później w westibulu POSKu w Londynie urządzono mini-wystawę dla tych, którzy nie byli w Warszawie i tamtej wystawy nie widzieli.

Najciekawsze plansze i fotografie zbiorów, które przecież tworzyły wystawę, pokazano mimochodem, w jak najmniejszym rozmiarze, natomiast londyńskie osobistości, które były w Warszawie, w dużych rozmiarach i w dużej ilości. Jednego z kombatanckich prezesów pokazano 8 razy. Na portret prof. Wajdy, twórcy POSKu, już miejsca zabrakło.

●

Polska, mimo chaosu, interesuje obcych inwestorów, więc po krajowych doświadczeniach wykorzystałem zaproszenie do Szkocko-Polskiego Funduszu Przyjaźni i wygłosiłem tam trzy wykłady o dzisiejszej Polsce i warunkach, na jakich można i warto tam inwestować. Odwiedziłem uniwersytety w Edynburgu i w Stirling, byłem gościem w sali Rady Miejskiej stolicy Szkocji, gdzie zebrało się ponad stu wpływowych Szkotów, a przewodniczył Lord Elgin, prawnuk znanego Lorda Elgina (greckie marmury).

Poza informacjami przywiezionymi z Polski musiałem zebrać wszystkie dostępne informacje dotyczące prawnych aspektów tego problemu, posiadać zestawienia, cyfry i wiele innych szczegółów. Zwróciłem się do naszej Ambasady w Londynie i od jej sekcji handlowej otrzymałem wszystkie potrzebne materiały, bardzo aktualne, dokładne i napisane bezbłędną angielszczyzną. Byłem w kontakcie z ambasadorem, Tadeuszem de Virion, i jego bliskim współpracownikiem, min. Zdzisławem Rapackim. Obydwaj dobrze zorientowani i pomocni. Na miejscu, w Szkocji, tamtejszy konsul, Paweł Dobrowolski, był bardzo pożyteczny, uczestniczył w dyskusji w Radzie Miejskiej Edynburga, jego angielszczyzna jest doskonała.

Polska przeżywa ciężkie lata, trzeba budować wszystko od podstaw, słyszy się tylko krytykę, inny ton bardzo jest potrzebny.

Józef GARLIŃSKI

Sympozjum o Juliuszu Mieroszewskim

W czerwcu planowane jest zorganizowanie w Pradze — we współpracy tamtejszego Ośrodka Kultury Polskiej i Instytutu Kultury RP w Berlinie — międzynarodowego sympozjum poświęconego Juliuszowi Mieroszewskiemu. Impreza — roboczy tytuł „Nowa mapa Europy" — zamierza nawiązać do tej wizji Europy, jaką w swej publicystyce naszkicował jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych współtwórca *Kultury* i Instytutu Literackiego. Tym bardziej, że właśnie ta wizja — wówczas przez większość traktowana jako „nierealistyczna" — dziś zdaje się przyoblekać w kształt materialny.

Wśród wielu problemów, które stwarza ta właśnie nowa sytuacja, jednym z najważniejszych jest sprawa języka, jakim należy mówić o politycznych i społecznych realiach doby dzisiejszej. Nowa mapa Europy stanowi bowiem nie tylko wyzwanie polityczne, lecz także — a może przede wszystkim — intelektualne. Dla wielu ludzi zajmujących się tą problematyką jest sprawą pilną nie tylko wytyczenie wizji przyszłości, lecz także przewartościowanie dwudziestowiecznych dziejów całego kontynentu, by określić moment, w jakim się obecnie znaleźliśmy. Oczywiście — tak sformułowany temat otwiera dziesiątki pytań. Intencją organizatorów jest przede wszystkim stworzenie katalogu tych pytań i problemów, przed którymi stawia nas nasza współczesność.

Zamierzeniem organizatorów jest zgromadzenie działaczy społecznych, polityków i dziennikarzy reprezentujących Rosję, Litwę, Białoruś, Ukrainę, Czecho-Słowację, Niemcy i Polskę. Jest sprawą oczywistą, że powodzenie imprezy zależy nie tylko od dobrych chęci obu instytutów kultury polskiej, lecz także od ich — niezwykle skromnych — możliwości finansowych. W chwili, gdy piszę te słowa, rozwiązanie tych właśnie problemów stanowi sprawę podstawową.

Leszek SZARUGA

Kraj

Z ukosa

Znowu Okęcie i niepewność, jak powita przybyszy lotniczy port, który nawet w biednych krajach bywa elegancki. Nasze Okęcie przypomina zgubioną i zabłoconą chusteczkę do nosa. Ale tuż obok już wznosi się niesłychanie szybko nowoczesny budynek. I właśnie bardzo jest przyjemnie, bo od razu się czuje, że nasza groźna granica, która kiedyś nawet grube serca zmuszała do szybkiego bicia, teraz zupełnie zmiękła, już prawie jej nie ma.

Za to okropnie, kiedy dochodzi się do miejsca, gdzie jest śluza między stroną powietrzną a stroną ogólnodostępną. Był taki czas, gdy przegnano stamtąd gangsterów, a teraz znowu stoi zbity tłum osobników, nabite gęby, jakby żuli dolary, na ogół wąsaci, wbijają ślepia i syczą — taksi. Uformowali solidny szpaler, którym każdy przybysz musi przejść. Za tą ścianą rodziny podróżnych wspinają się na palce. Tak wygląda powitalna ścieżka już wolnej Polski. Poczułem się jakby mnie wszy oblazły, ale w sposób już zupełnie wolny i demokratyczny.

Miasto ciemne, za to parter się żarzy. O tak, parter tego miasta jest już inny. Jeżeli mieliśmy rewolucję i rewolucyjne zmiany, to bez wątpienia dotyczą one parteru. Sklepy zmienione nie do poznania, sporo towaru, nawet ekspedientki i ekspedienci zupełnie odmienieni; jak się trafi na kogoś niemiłego lub obojętnego wobec kupujących to wiadomo, że to osobnik na wymarciu, dożywający swych ostatnich chwil na brzegu odchodzącej epoki.

Ale kto wie, czy nie bardziej poruszył mnie widok kilku toalet z mydłem i ręcznikiem. To prawda, że doświadczyłem kilku toalet, nawet w kluczowych urzędach, gdzie zamiast papieru toaletowego walały się strzępki gazet. W pewnej jednak kawiarni byłem świadkiem historycznej sceny. Bardzo młoda niewiasta poczęła robić szatniarzowi awanturę, że w toalecie nie

ma mydła i ręcznika, żądała gwałtownie telefonu właściciela lokalu. Szatniarz wił się jak piskorz, ale dziewczyna nie ustępowała, tak walczą tylko ludzie świadomi swoich praw i znający cel walki. Poczułem, jak mi dreszcz wzruszenia poszedł po plecach, bo byłem pewien, że jestem świadkiem niezwykłego zdarzenia. By wyrazić swoje uczucia na głos wzniosłem palec i rzekłem: „Oto jesteśmy świadkami początku podróży Polski do Europy". Szatniarz zdawał się nie wiedzieć, o co mi chodzi, ale uderzony powagą tych słów dał niewieście numer telefonu, ta zaś nieco spłoszyła się, bo sama nie wiedziała, jak wielką rzecz czyni.

W tym naszym nowym świecie uderza jakaś nieokreślona nieobecność, a pierwsze jej dotknięcie właśnie przy wyjściu z lotniska. Po dłuższym pobycie ona się określa — brakuje w państwie państwa.

Znajomi kupili kamienicę, jak kupuje się kurę, co ma znosić złote jajka. Na razie ten dom zjada złoto, bo wymaga remontu. Potencjalni milionerzy popadli więc w taką biedę, że nie płacą za czynsz. Ale nie przejmują się, są w towarzystwie milionów obywateli RP bojkotujących czynsze z konieczności lub dla idei. I co? Nic.

Niestety nie jest to znakiem wspaniałomyślności państwa, to raczej znak jego nieobecności. Wprowadzenie od nowego roku nowego podatku dochodowego już obnażyło bezradność w jego egzekwowaniu (na marginesie — najzacniejsi obywatele, jakich znam, już szykują się by go nie płacić). Kiedyś mimo bałaganu o istnieniu państwa przypominali mundurowi milicjanci, a kiedy ich brakowało, było poczucie, że każdy cywilny osobnik też jest, kto wie kim? Był jakiś urząd, którego się bano, były osoby ważne i nieważne, sprawy nie do załatwienia i do załatwienia, chore reguły gry, ale reguły. Teraz milicji, przepraszam policji, nie widać, to bardzo przyjemne, ale zarazem jakiś niepokój. Reguły gry niejasne, nikt nie jest ważny, chociaż ważne są pieniądze. Nie zmieniło się tylko łapownictwo. Ono już nawet kwitnie na organie, który jest powołany, by je zwalczać. Znajoma, która jest prawnikiem i pracuje dla zachodniego przedsiębiorcy, zgłosiła na warszawskim komisariacie kradzież w firmie. Komendant wysłuchał, a potem uskarżać się począł na swoje niskie zarobki i nawet w desperacji pokazał listę płac. Po tym spektaklu moja znajoma nie miała wątpliwości. Zaproponowała dodatkowe wynagrodzenie, a komendant sam wyznaczył 12% od odzyskanego mienia. Oświadczył, że to nie tylko dla niego osobiście, ale również dla wzmocnienia placówki. Jako, że scena rozegrała się między oficerem policji a prawnikiem, to trudno nie widzieć, że Europa odpływa, a Ameryka Łacińska puka do drzwi.

Smutek odchodzących liberałów — tort dopiero napoczęty, a już go zabrano dla innych. A ci nowi są smutni smutkiem Premiera, chociaż kilku świeżym ministrom trzęsą się ręce z radosnego podniecenia: a teraz my, nareszcie my.

Ci, co przyszli, oskarżają głośno odchodzących o te wszystkie niekompetencje, o które rząd Bieleckiego oskarżał (ale szeptem) rząd premiera Mazowieckiego. Mamy oto początek reakcji łańcuchowej.

W ocenie stanu rzeczy ścierają się dwie zupełnie sprzeczne opinie — obie można usłyszeć od osób godnych uwagi i szacunku: rząd Mazowieckiego popełnił gigantyczne i karygodne błędy, a rząd Bieleckiego zsunął się w ten błąd, a może go nawet pogłębił. Drugi pogląd głosi, że nawet jeżeli błędy były, to małe i właściwie nieuchronne. Dokonujemy niezwykłego eksperymentu, mimo nieuniknionych kosztów i kłopotów, ale droga jest jedyna i słuszna.

Ci, co nie są wybitni w ekonomicznej wiedzy, muszą komuś uwierzyć, bo inaczej trudno nie poczuć, że jedziemy coraz szybciej w gęstniejącej mgle. A zdrowy rozsądek mówi, że najrozsądniej byłoby nie wierzyć nikomu. Ludzie u nas dzisiaj strasznie chcą komuś wierzyć, ale brakuje nawet materiału na samooszustwo. Na pomoc biegną fakty, np. w postaci gigantycznej dziury w budżecie. Przestała ona być jedną z czarnych dziur kosmicznych, jakby ktoś nagle zapalił światło i oświadczył — proszę bardzo, jesteśmy właśnie w środku. Wszędzie zaczyna brakować pieniędzy na wszystko. No, może nie wszędzie. Bo ciągle widać nieprawdopodobne marnotrawstwo i niezwykle lekką rękę do pieniędzy i zupełny brak zrozumienia, że różne kieszenie są jednak w tej samej marynarce. I nigdy jeszcze w urzędach państwowych nie wydawano tak lekko pieniędzy na podróże służbowe potrzebne i niepotrzebne, na przyjęcia iście rzymskie oraz inne niekonieczne przyjemności, jak w tym roku Pańskim 1991. I to my, nasi — a nie oni. Traktowanie państwowych pieniędzy jako cudzych i lekkie ich wydawanie siedzi w polskich głowach jak wbity tam metalowy ćwiek. Bez młota tego nie usuniesz. I jak się zdaje, ten młot zaczyna bić. Jeżeli nie rozbije przy okazji wszystkiego wokół, to ta okrutna terapia będzie skuteczna.

Formowanie nowego rządu, nazywane uparcie formułowaniem, przypominało niezwykle trudny poród, a patrząc na tę mękę sam zacząłem marzyć o cesarskim cięciu. Ale nasz Cesarz, chociaż machał nożem, nie ciachnął. Teraz i tak jest przekonany, że to wszystko jego zasługa. „Rząd Olszewskiego nie powstałby, gdybym w ostatnim momencie straszliwie mu nie pomógł".

Moja sąsiadka, niewiasta prosta, zaradna, ale uczuciowa, podczas długich tygodni formowania rządu poczuła jakiś wielki niepokój. Kiedy w końcu stało się, sąsiadka wybuchnęła płaczem, ale były to łzy szczęścia i wielkiej ulgi.

— Czego ryczysz — zapytał jej mąż, miły alkoholik.

— Bo tak długo tego rządu nie można było wybrać, że pomyślałam, że już się nigdy nie da. A jak tu żyć bez rządu.

Mamy więc w końcu rząd i Premiera, który co prawda przemieszcza się grecką tragedią w ramionach, ale ma świetną biografię i jest raczej przyjemny. Niestety garnitur ministrów, który nosi, leży dość koślawo, i wcale nie jest pewne, że się uleży i naprostuje, wisząc na wysokim wieszaku władzy. Premier jest wielkim pesymistą, a właściwie katastrofistą, co wiem jeszcze z dawnych rozmów, więc bliski mojemu odczuwaniu świata. Ponad pół roku temu twierdził, że nasza sytuacja to pełna katastrofa. Wtedy można się było łudzić, że jest nie najlepiej poinformowany. A co teraz znaczą jego słowa, że „gdyby wiedział, jaki jest stan państwa, nie zgodziłby się przyjąć funkcji Premiera"? Nic dziwnego, że kiedy zaczynają się strajki czy głośne narzekania, nowy rząd wychodzi na balkon i mówi — jak nie będziecie grzeczni, to my skaczemy.

Rząd Bieleckiego obejmował władzę ze słowami: „Nasi poprzednicy zupełnie nie rozmawiali ze społeczeństwem, trzeba cierpliwie wyjaśniać, tłumaczyć". A potem sami wcale nie rozmawiali, nic nie wyjaśniali. Wygląda, że jak się tam wchodzi zostaje uszkodzony ważny nerw i zdolność odbioru pewnych bodźców płynących z dolnych części społecznego organizmu.

I tak lud nadal niewiele pojmuje z tego co się właściwie dzieje. W sklepie słyszę, jak ekspedientka rozmawia z klientką: „Byli, są i będą".

— Byli, są i będą — potwierdza klientka i obie kiwają głowami, pławiąc się w atmosferze głębokiego wzajemnego zrozumienia.

„Kto, co?" — zapyta niewtajemniczony. — „Te krwiopijce, te Oni, i to Ono, złe, co nas ludzi prostych zawsze oszuka".

„Okazaliśmy się za słabi w te klocki" — przyznaje w rozmowie ze mną ktoś z góry. Ale trzeba dopowiedzieć usprawiedliwienie, że to bardzo trudne klocki. Wymagają wyobraźni dziecka, umiejętności bardzo praktycznych i szerokich horyzontów, a te dwie ostatnie cechy niezmiernie rzadko spotykają się w jednym człowieku. Bo to nie tylko kierowanie, to budowa państwa od podstaw, lub na zatrutych fundamentach.

Problem, że nowe fatalnie się łączy ze starym. Nowi szefowie ze starym personelem tworzą tak zdumiewające mutacje, że żaden genetyk tego by nie wymyślił. Prawdziwa natomiast katastrofa powstanie przy zetknięciu się elementów gospodarki rynkowej z tym, co pozostało z socjalistycznego systemu prawnego, a zostało bardzo wiele. Tu rodzą się niezliczone zaparcia i owa szara strefa i niesłychane afery, które powinno się notować w Księdze Guinnessa.

A gdziekolwiek się ruszyć, słychać szepty: „Nie ma ludzi, nie ma kim robić".

Kłopoty na szczycie znajdują swój odpowiednik niżej. Wszędzie ogromnie trudno dogadać się i kogoś wybrać na kierownicze stanowisko. Gdziekolwiek się wejdzie, trafia się na jakiś impas. Wchodzę do Instytutu Badań Literackich, a tam właśnie nie daje się wyłonić zarządu. Na ogół brakuje kandydata na funkcje kierownicze, a jeżeli już się znajdzie, to budzi kontrowersje. Skoro góra i dół cierpią na to samo, to znak, że chora jest materia.

„Coś stanęło między ludźmi i dzieli ich", usłyszałem od kilku osób. I rzeczywiście jest jakaś czarna nić, która „wszędzie się przędzie", ale czy ona norwidowska?

10-ta rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Zalew programów martyrologiczno-wspomnieniowych, nawet pokazywane są cele i prycze, a oprowadzają po nich byli więźniowie oraz internowani. Czuję skurcz zażenowania. W telewizji transmisja z odsłonięcia krzyża-pomnika przy kopalni Wujek. Krzyże stawiane w roku 80-tym urodziły ten krzyż. Oby to był już koniec epidemii krzyży. A przecież jeszcze dzisiaj jestem w stanie wymacać na szyi obręcz gniewu i poruszenia, gdy przyszła wiadomość o tej śmierci. Teraz jednak nie czuję wzruszenia, gdy płyną przemówienia i patriotyczne wiersze. Brakuje mi na tej uroczystości Jaruzelskiego i oczywiście Urbana, jak również przyjmującego świętą komunię plutonu egzekucyjnego, bo jak inaczej nazwać tych, co strzelali. W tle tej uroczystości jest śledztwo poplątane niemiłosiernie, wynika z niego, że wielu z plutonu wyemigrowało, prawie jak moja licealna klasa. I jak teraz rozplątać, kto strzelał w głowę, kto w nogi, kto w powietrze, czy musiał, bał się... Tylko jedne słowa przychodzą mi do głowy: rozmieniliśmy na drobne Waszą śmierć, górnicy.

Wracają do mnie strzępki stanu wojennego jak wykopaliska archeologiczne wyciągnięte z głębin zapomnienia siłą przyciągania tej rocznicy. Ilustracje do książki schowane w czeluściach albumu malarstwa, maszynopis podziemnego pisma odkryty w tapczanie sąsiada, czyjeś ręczne pismo w szparze podłogi, studiuję je z lupą — to chyba fragment autobiografii Kuronia...

Takie to wszystko mizerne teraz, a jednak wzrusza.

Może dlatego dałem się namówić, by pójść na spotkanie w Muzeum Niepodległości w rocznicę 13 grudnia. Co to za muzeum? Ależ oczywiście, to dawne Muzeum Ruchów Rewolucyjnych czy Robotniczych. (Te nazwy miały też to do siebie, że były nie do zapamiętania). Przed pałacykiem, niegdyś Radziwiłłów, stała na postumencie głowa Lenina, i na tę głowę szykował niegdyś zamach mój znajomy M. Miał nawet już gotowy worek i tęgich synów. „A potem wrzucimy go do Wisły", rozmarzał się. Bałem się, że nie docenia ciężaru tej głowy i że wszystko skończy się fatalnie. Był wtedy w tych planach, jednak, element heroizmu. Jak wygląda ten heroizm teraz?

Głowę Lenina zdmuchnął wiatr historii, jak dziecko zdmuchuje pył z dmuchawca, a najbardziej szalone marzenia antykomunistów stały się rzeczywistością. Muzeum Ruchu... zmienia się w Muzeum Niepodległości, czyli w Muzeum Ruchów Antykomunistycznych. Na pobliskim placu, już znowu Bankowym, moje oczy odruchowo szukają pomnika Dzierżyńskiego. Jest tylko kikut po nim. Naprzeciw pałacu projektu Corazziego stoi wieżowiec, bardzo zresztą udany, z ciekawym nawiązaniem do bryły pałacu. To dawny słynny „złoty wieżowiec", teraz błękitny, chyba najdłużej budowany dom w Europie, około trzydziestu lat. Wykończyli go w końcu Jugosłowianie, zanim sami zaczęli się wykańczać. Są nowe osłony na przystankach, szykowne, lekki zapach Europy, przyjemnie.

W Muzeum Niepodległości rocznicowe spotkanie literackie poświęcone stanowi wojennemu. Najpierw zdziwienie, bo wydaje się, że jest godna frekwencja, potem przy lustracji otrzeźwienie: to z reguły osoby, które w wiek emerytalny wchodziły 10 lat temu.

Co tak drażni nas w nas z tamtego czasu? Nasze gesty były za duże, za obszerne szaty romantyczne, nasz gniew zbyt brukowy. Dzisiaj te figury straciły całe powietrze i wiszą żałośnie sflaczałe. Zdumiewa w walczącej sztuce z tamtego czasu zupełny brak humoru, chociaż przecież wszystko aż trzeszczało od paradoksów i groteski. Ale prawdziwą wielką gębę tamtym czasom dopisały dwa ostatnie lata. Nie przypadkiem jedyny sensowny film, jaki może o tamtym czasie powstać, to komedia, może być gorzka, cierpka, groźna, z trupami nawet, ale to musi być komedia.

Zamroczony wspomnieniami poszedłem jeszcze dalej i znalazłem się w sklepie z antykami. Wiele staroci, ale brakuje kupujących, ceny na ogół wyższe niż na Zachodzie. Niezwykle dużo ikon. Wkrótce dowiaduję się, skąd ta obfitość. Widzę dwóch osobników o tym typie ugębienia, które zdarza się tylko na stepach dawnego ZSSR. Nie wchodzą, ale wkradają się i szukają

kierownika Desy. Gdy ten się pojawia, elegancki i pachnący, jeden z przybyszy, wyróżniający się obandażowaną dłonią, łypiąc wokół podejrzliwie okiem wyjmuje z kieszeni coś, co też jest obandażowane, i rozwijając bandaż wysupłuje małą ikonę. Kierownik ogląda i mówi, że nie kupi, bo za bardzo zniszczona; „jak przyniosą (w domyśle ukradną i przemycą) w lepszym stanie, to kupi".

Wszędzie na swoich ścieżkach spotykałem wielbicieli *Nie*, pisma Urbana, które ma już milionowy nakład. (Sukcesy różnych inicjatyw postkomunistycznych są uderzające i skłaniają do lekkiej melancholii). Był przygłupi chłopak w poczekalni kina próbujący przekonać barmana, że jest to świetne pismo, ale barman nawet ścierką, którą pieścił kontuar, wyrażał swoje obrzydzenie do Urbana. Młodzian niepomny ostatniego dziesięciolecia, za to sfrustrowany dniem dzisiejszym, rozwodził się nad atrakcjami pisma, gdzie wszystkim tak odważnie się przysala. Na drugim biegunie wielbicieli *Nie* znalazł się Ś., artysta wybitny, z sukcesem, który konsumował korzystając z ułatwień dawnego ustroju. Dzisiaj nie dostaje zamówień, rynek sztuki skurczył się niebywale, Ś. traci grunt pod nogami i czuje się niepotrzebny. Pije piwo, pojękuje i zagryza Urbanem.

Upadek intelektualistów, zsuwają się jak po lodzie gdzieś w dół w najdziwniejszych pozach. Dziwne, bo nikt nawet nie krzyczy. Najgłośniejsze słowa, jakie słyszałem w tej sprawie, brzmiały właśnie: „jakie to dziwne, że nawet nikt nie krzyczy".

Patrzę na znanych pisarzy, malarzy, muzyków, wszyscy skurczyli się. Nie więksi od nich nasi politycy, ci nie zdążyli nawet urosnąć, a już maleją. Ale czy właściciele pieniędzy są duzi? Nie budzą szacunku, za to sporo zawiści, a żywą nienawiść u intelektualistów, którzy stają się ich klientelą. Nienawiść również za własne upokorzenia, bo jak to nie spróbować szczęścia i nie chodzić po prośbie, by ratować lub założyć pismo, opublikować książkę, sfinansować koncert. Roztaczają więc wizje wspólnych efektownych działań i uwodzą uśmiechem, a w myślach powtarzają: „ty wieprzku niemyty, chamie zapluty, gnido bezzębna, żeby cię pokręciło. Może twoje wnuki będą miały tytuły hrabiowskie, ale ty nawet z tą forsą nigdy z obory nie wyjdziesz". Jest w tym trochę prawdy, ale często więcej własnego próżnego zadufania.

Zresztą i ja pewnie padam ofiarą swej słabości i nie dostrzegam, że to przede wszystkim mój, nasz świat zmalał, nasz mały niezwykle snobistyczny światek, który miał znamiona kontynentu, a teraz jest rozsypaną garstką niepewnych siebie wysepek. Niektóre są już niemal bezludne. Oto np. te pisma

intelektualne, które ocalały, są ledwie żywe, a co uderzające, nie spotkałem dwóch ludzi, którzy by czytali to samo pismo. Jakby te kilkanaście osób, które spotkałem, uparło się by obdzielić pojedynczo wszystko co się ukazuje i warte jest czytania. Klientela więc schudła i została zupełnie rozbita. I nie ma już kanałów, którymi może cyrkulować myśl.

Okładki książek zabłysły jak niegustowne meble na wysoki połysk, ale niewiele polskich nazwisk. Wytłumaczył mi to pewien wydawca. Już nawet hurtownicy zamawiający książki wymagają, by nie było nazwisk na „ski" i „cki", bo to nie idzie. A jednak wybór na półkach księgarni wydaje się większy niż był kiedykolwiek i już nie trzeba walczyć o książkę, walczyć trzeba o kupujących. Kupiłem to i owo z różnych dziedzin i nieszczęście, wzrok ześlizgiwał się już z pierwszej strony. Współczesna historia, świadectwa, współczesna literatura, wszystko to straciło dla mych oczu przyczepność. Dopiero gdy otworzyłem „Wojnę Peloponeską" Tukidydesa, odzyskałem równowagę.

Niekompetencja i frakcyjność życia politycznego były chorobą ateńskiej demokracji, pramatki naszej. Uśmiech miesza się z grymasem bólu na widok tych samych odwiecznych problemów.

Kraj bajecznych możliwości. Jakie fortuny powstały z niczego, już wiadomo. A jakie kariery polityczne! Mój przyjaciel z lat bardzo dawnych, z którym łączy mnie do dziś ciepła nić, jaka potrafi się tylko wysnuć ze wspólnego dzieciństwa, nigdy nie zajmował się polityką ani ekonomią. Przepraszam, kiedyś bardzo dawno wydrukowaliśmy na dziecinnej drukarence antykomunistyczną ulotkę w imponującej ilości. Teraz On nagle stał się jednym z głównych doradców pewnej ważnej partii. Po prostu nagle przyszedł mu do głowy taki pomysł. Można więc sobie tak iść ulicą, nagle skręcić i stać się współświadkiem i współautorem montowania trzeciego rządu wolnej Rzeczypospolitej. Doprawdy kraj zawrotnych karier i bajecznych możliwości.

Kościół zdaje się u sporej części społeczeństwa budzić duże emocje. Widać, że czasami niektórzy wykorzystują puste miejsca po niechęci do komuny i wstawiają tam, strach powiedzieć — Kościół nasz. Wynika z tego starcze dogadywanie pleniące się nawet u młodych. Kiedy mówi się, że strach, bo skracany jest program szkolny i nie ma na pensje dla nauczycieli — słychać — a na katechetów i lekcje religii są pieniądze. Gdy powiesz, że ceny mieszkań w Warszawie zawrotne, dowiesz się, że na budowę kościołów są środki.

Ale kościelne nietakty popełnia czasami nie Kościół. Oto informacja, że Premier został zaproszony przez Prezydenta na robocze śniadanie na godzinę 8 rano do Belwederu. W zapro-

szeniu odczytanym również w telewizji były słowa „Jeżeli Pan, Panie Premierze, życzy sobie uczestniczyć w porannej Mszy Świętej, to informuję, że rozpoczyna się ona o 7.30".

W średniowieczu na wszelki wypadek sprawdzano męskość przyszłych papieży. Kto by się spodziewał, że Premier wolnej Polski też przejdzie pewien test.

W rocznicę grudnia włączam radio. Jest oczywiście generał Jaruzelski, ale bez munduru, nie wprowadza już stanu wojennego, ale wprowadza nastrój nostalgiczny. Na innej fali płynie głos Jerzego Urbana, płynie kraulem, a obok pomyka żabką Adam Michnik. Płyną w kierunku konkluzji, czy wprowadzenie stanu wojennego było koniecznością historyczną, czy historycznym błędem. Urban wyraźnie góruje w tej rozmowie, jego argumenty ważą, jest spokojny i pewny swego, on by swojej dawnej legitymacji PZPR nie wystawił na aukcję. Michnik kręci się nerwowo, skłonny do kompromisów. I ten ton wielkiej wzajemnej konfidencji.

Myślę sobie, po co, po co u licha to wszystko, nie żeby od razu obcinać uszy, ale przynajmniej nie przytulać się publicznie, jest pewne minimum. Potem okazało się, że to był tylko kawałek prześcieradła, a telewizyjna kamera perfidnej ekipy odsłoniła resztę, i było widać jak po audycji redaktor naczelny *Gazety Wyborczej* próbuje wsiąść do samochodu redaktora naczelnego *Nie*. Prasa doniosła, że mieli jechać na imieniny do Aleksandra Kwaśniewskiego (dzisiaj to po prostu Olek), znanego dygnitarza PZPRowskiego, a teraz Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Ja się tylko zdziwiłem, i cenię sobie, tę dziecięcą umiejętność, chociaż w tym przypadku to chyba jest naiwność. Ale jako, że pokazano tę scenę w telewizji dwa razy, byli tacy co mieli inne odczucia. Nasz sąsiad, ten od sąsiadki co się popłakała:„No popatrz Pan, co się porobiło, autorytety same skaczą z tarpejskiej skały".

Ale oto Y., który był jednym ze zwykłych zjadaczy chleba podziemia, wpadł w wielki gniew. Ujrzałem człowieka, któremu jak głodnemu psu kawałek mięsa, zabrano poczucie godności, zdobyte w stanie wojennym. Największa wściekłość nie tych, co byli wtedy oficerami podziemia, oni mają dzisiaj zwykle wiele na pociechę, ale właśnie szeregowców naszej solidarnościowej armii, która poszła w rozsypkę, ale się nie poddała. Dzisiaj czują się oszukani.

I jakby mało było nieszczęść, Zbyszek Bujak wbija gwóźdź do trumny. Przekazując swoją legitymację „Solidarności" na aukcję w hotelu Europejskim, na aukcję owszem dla biednych dzieci, ale zorganizowaną przez generałową Kiszczakową. Legitymacja „Solidarności" Bujaka spoczęła obok munduru generała

Kiszczaka, pudełek po cygarach podarowanych generałowi przez Fidela Castro, sukni żony gen. Jaruzelskiego, szlafroka Ireneusza Sekuły oraz grafik, podarowanych na aukcję przez Mieczysława Rakowskiego.

Na licytację przyszło tylko kilka osób, a legitymacja Bujaka została sprzedana za 60 tys. złotych (zupa w restauracji). Mundur gen. Kiszczaka kupiono za 7 mln złotych.

Dziennikarka Teresa Bochwic skomentowała te zdarzenia słowami: „Kazał Pan: 'Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz' ale dlaczego w g...?". Jeżeli dobrze rozumiem tę frazę, to dziennikarka posunęła się stanowczo za daleko.

Najpierw była fascynacja spotkania ofiar i oprawców przy okrągłym stole, potem niezwykłe partnerstwo, bezbolesne przejmowanie władzy, potem niesienie przez chwilę tej władzy jak wody ze strumienia w nieszczelnych dłoniach, truchtem ramię w ramię. Tu coś zakrzepło, a spoiwem było poczucie, że historia bierze odlew z tego czasu. Potem roślina wzajemnego zrozumienia rosła, z małej stała się duża i oplotła dawnych śmiertelnych wrogów przyjaznym ramieniem. Tak oto przeszłość zlewa się w jezioro, gdzie zło, dobro, odwaga i tchórzostwo stają się jednym ściekiem.

Moje pokolenie pogrąża się w wiek, gdzie biegnie szeroka granica między młodośredniością a średniostarością. To granica kilku lat i jeśli przez ten czas nie widywało się ludzi, przeżywa się szok, bo wydaje się, że niektóre kobiety zwiędły jak kwiaty ścięte nagłą zimą. To najbardziej publiczny i poruszający dramat, który przytłumi każdy spektakl polityczny. Mężczyźni nagle dostali po brzuszku, wcześniej one zdarzały się przy pewnej skłonności, ale u wielu były to brzuszki chwilowe, jak sublokatorzy. Teraz zadomowiły się na stałe, noszone już bez wstydu jako część osobistego krajobrazu. Do zmian gwałtownych należy zmiana tematu męskich rozmów. Kiedyś mówiono głównie o polityce i wyrzekano na komunizm, teraz zdecydowana większość rozmów krąży wokół pieniędzy oraz interesów. I ten wstrząsający brak czasu. W Polsce okresu socjalizmu czasu nie brakowało i właśnie z tego dobra budowano tak wiele przyjemności. Dopiero teraz ich brak ukazuje, że sami nie wiedzieliśmy, jak nam było dobrze, chociaż to dobrze było wewnątrz wielkiego źle.

Zabieganie jest chorobą w całym świecie zachodniej cywilizacji, my już biegamy nie mniej, ale problem, że u nas odbywa się to w warunkach nader niehigienicznych i doprawdy jeszcze nie wiadomo, czy to budowanie czy raczej demontaż. I ta wysoka gorączka, bo nie ma czasu, w każdej chwili wszystko może się rypnąć, a więc trzeba prędko liczyć pieniądze i w krzaki.

Uderzyło mnie, że wszyscy zakładają firmy, właściwie niemal w komplecie moi znajomi już coś założyli, aż się idiotycznie głupio czułem bez firmy. I dzieje się to w sytuacji, kiedy tylko przez chwilę zabłysła złota żyła handlu, a teraz znowu przestaje się opłacać. Nie byłem w stanie dowiedzieć się, co te firmy właściwie robią. Z pomruków i pomrugiwań domyślam się, że sprowadzają i przesuwają towar. Nikt nie produkuje niczego. Jako, że fabryki też prawie nie produkują, doprawdy czegoś tu nie pojmuję. Czyżby ten cały rozpalony handlem parter czerpał budulec z naszych piwnic i fundamentów? A co będzie, jeżeli wybrano stamtąd za dużo?

Spotkałem lekarza, kolegę z dawnych lat. Mieszka w małym miasteczku sto kilometrów od stolicy. On lekarz z powołania. Na prowincję wyjechał specjalnie i nie dla pieniędzy, to była misja. Pamiętam, ogromnie lubiany i ceniony w miasteczku i we wsiach okolicznych...

— Co u ciebie? — pytam, pewien, że on przynajmniej, nasz współczesny doktor Judym, nie będzie narzekać.

Podaje mi wizytówkę, to już trochę mnie zaniepokoiło, wizytówka w jego kieszeni jest obcym ciałem. Czytam, a na wizytówce jego nazwisko i reklama: „uzupełnianie najnowocześniejszymi metodami włosów na głowie". Już nie pracuje w szpitalu i nie ukrywa, że stał się milionerem. Nawet na wsi są chłopy, co dadzą wiele, by odzyskać utracone owłosienie górne.

— Takie czasy — westchnął.

SMECZ

Bałtyckie Forum Ekologiczne

Otrzymaliśmy dokumenty Bałtyckiego Forum Ekologicznego. Inicjatywa ta może nabrać pewnego znaczenia, jak wszystko co wyrasta z pragnień zespolenia regionu Bałtyku. W listopadzie ub. roku odbyło się trzecie już sympozjum pod hasłem — „Ku integracji krajów bałtyckich". W zbiorku dokumentów z pierwszych dwóch spotkań znajdujemy artykuły na temat polskiej energetyki, materiały krytyczne w stosunku do technologii nuklearnej, a także opisy zanieczyszczenia wód Bałtyku. Autorzy proponują przede wszystkim rezygnację z energetyki atomowej,

zwiększenie udziału ropy i gazu w gospodarce energetycznej oraz opracowanie polityki oszczędnego zużycia energii. Natomiast w uchwale III spotkania znajdujemy apele o udostępnianie informacji ekologicznych, o szkolenie na wszystkich szczeblach edukacji narodowej oraz przedstawianie przez firmy przemysłowe sprawozdań ekologicznych. Ponadto uczestnicy III Forum domagają się likwidacji Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej i wstrzymania decyzji o budowie mostu łączącego Danię ze Szwecją.

W oparciu o nadesłane dokumenty niełatwo poprzeć stanowisko autorów. Nie można protestować wobec projektu budowy mostu pomiędzy dwoma krajami o wysokiej kulturze ekologicznej bez wykazania ujemnego wpływu inwestycji na stan regionu, a takich argumentów nie znaleźliśmy. Z kolei atak z peryferyjnego kraju na agencję ONZ skazany jest na bezskuteczność: dość emocjonalne podejście kierowników Forum do działalności Agencji nie wystarczy ani do zyskania zwolenników ani do nadania sobie rangi w sporach planetarnych biurokratów. Jeśli Agencja rzeczywiście służy interesom atomowego *lobby*, co by mnie nie zdumiało ponad miarę, to dla przeciwników tego *lobby* rozsądniejsze jest stworzenie własnych grup nacisku, niż szukanie nierealnego odwetu na przeciwniku. Kategoryczny sąd zawarty w rezolucji III Forum: „Rozwiązanie MAEA jest sprawą niezbędną w celu uniknięcia kolejnych katastrof nuklearnych" odbiera sympatycznej inicjatywie bałtyckiej wiele powagi.

Wreszcie sprawa energii nuklearnej w ogóle. „Zieloni" całego świata są jej przeciwni i nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie im odmawiał prawa do takiego stanowiska. Warto jednak zauważyć, że sprzeciw tym większe ma znaczenie, im bardziej rzeczowa jest służąca mu za podstawę analiza.

Jak się zdaje, na Wybrzeżu kwestia żarnowiecka całkowicie dominuje rozległą tematykę materiałów rozszczepialnych. Są to jednak dwie odrębne sprawy. Sowiecka technologia nie zasługuje na zaufanie i trudno się dziwić, że mieszkańcy Wybrzeża nie chcą słyszeć o Żarnowcu, nawet z zachodnimi zabezpieczeniami. Natomiast wyciąganie stąd wniosku o konieczności całkowitego zamknięcia nuklearnego *dossier* jest projekcją idącą zbyt daleko, a przede wszystkim oderwaną od rzeczywistości. Energetyka nuklearna w świecie w dalszym ciągu rozwijać się będzie dynamicznie i odwrócenie się plecami do tej technologii z pewnością nie ułatwia rzeczowej oceny jej stanu, również z pozycji krytycznej. Nie wszystkich stać na komfort zasadniczej negacji. W naszym kraju, bardziej niż gdziekolwiek na świecie, liczyć się muszą w debacie realia ekonomiczne.

Nie można bowiem zaniedbywać faktu, że węgiel polski — tak jak w całej Europie — dramatycznie straci na atrakcyjności,

skoro tylko zabraknie pieniędzy na jego subwencjonowanie, a górnikom cierpliwości na fedrowanie za darmo. Jego cena na rynku jest czterokrotnie niższa od europejskich kosztów wydobycia. Urealnienie gospodarczej sytuacji węgla z polskich kopalń całkowicie zmieni kierunki impulsów ekologicznych w Polsce i warto już dziś rozważyć co wtedy.

Zamieszczona w gdańskim biuletynie propozycja instalacji słonecznych wydaje się nierealna, zważywszy niskie i nieregularne nasłonecznienie w Polsce. Znacznie rozsądniejsza jest opcja naftowa, ale jej pełny rozkwit uzależniony jest chyba od cudu, to znaczy odkrycia wielkich złóż w naszym kraju, albo puszczenia ceny ropy na rynku światowym na wolny kurs. Mogłaby ona wówczas spaść poniżej 10 dolarów za baryłkę. Zachód jednak, a zwłaszcza USA, w żadnym wypadku nie będą do tego skłonne, 18 dolarów to dla nich już granica niepokoju. Ropa więc, podobnie jak i węgiel wyznaczą gospodarce polskiej barierę finansową i żadne poważne rozważania nie mogą tego zaniedbać.

Propozycja uczestników Forum przekształcenia gospodarki węglowej w węglowo-gazowo-naftową zdaje się ignorować problemy strukturalne takiej opcji. Przedstawiona jest wprawdzie próba analizy finansowej działalności kopalń, ale — jak to często bywa w polskich opracowaniach — na poziomie czysto diagnostycznym, gdzie kolumny cyfr wykazują wyłącznie absurd całego przedsięwzięcia wydobywczego, niekiedy z ryzykownymi założeniami („Koszt wydobycia węgla kamiennego w Polsce należy do najwyższych na świecie" — Mirosław Dakowski), za to bez syntezy i bez praktycznych propozycji. Takie opracowania sugerują, że wystarczy uporządkować chaos rozrachunkowy i podnieść wydajność pracy, by polski węgiel stał się na nowo kołem napędowym gospodarki. Tymczasem polski węgiel, podobnie jak w całej Europie, jest na średnią metę nie do uratowania. Dochodzi tu jeszcze specyfika pokomunistycznej izolacji, gdzie problemem wyjściowym jest fałszywa struktura cen i niedorzeczny przelicznik walutowy. Powoduje to całkowitą iluzoryczność wszelkich obliczeń dotyczących kosztów wydobycia. Nawet gdyby wyobrazić sobie urealnienie tych czynników, wówczas węgiel polski stanie przed nieprzekraczalną barierą europejskich warunków geologicznych, które beznadziejnie promują surowiec z odkrywek amerykańskich i australijskich. W konkurencję z tymi ostatnimi wejść może jedynie przemysł wydobywczy typu południowo-afrykańskiego, wątpliwe jednak, by nasi górnicy dali się nań namówić. Jeśli więc Polska ma osiągnąć integrację z europejskim rynkiem, to przyjdzie jej importować nie tylko ropę i gaz, ale i węgiel — tańszy wprawdzie od krajowego, ale czy dzięki temu dostępny?

Zważywszy wszystkie te okoliczności nagląca staje się wszechstronna — to znaczy technologiczna, finansowa i polityczna — ocena możliwości energetyki nuklearnej. Zdaniem jednego z liderów Forum „udowodnione zostało, że żadne państwo na świecie nie jest w stanie stwierdzić, iżby elektryczność produkowana ze źródeł nuklearnych była tańsza, niż pochodząca ze spalania węgla" (Jerzy Jaśkowski). Sąd powyższy nie jest jednak rozpowszechniony, jeśli zważyć, że na świecie zainstalowanych jest 420 reaktorów, a dalszych 80 znajduje się w budowie. Rzeczywistość jest znacznie bardziej zniuansowana, w zależności od lokalnych warunków. W Stanach kilowaty węglowe istotnie kosztują niewiele, ponieważ ich źródłem są tanie i wydajne odkrywki. Natomiast w Europie Zachodniej subwencjonowanie własnego węgla znacznie podnosi cenę energii, dzięki czemu na przykład kilowat niemiecki uchodzi za najdroższy na Zachodzie. Popierany przez autorów Forum przykład Danii, która cieszy się istotnie bardzo czystym i wydajnym systemem energetycznym opartym na węglu, nie przystaje do sytuacji Polski, ponieważ Dania ma nad nami tę przewagę, że nie posiada własnych kopalń.

We wszystkich krajach Europy Zachodniej następuje odchodzenie od systemu dopłat do węgla, przyszłość zabezpieczona ma być po części importem taniego węgla i taniej energii — także ze Wschodu — a po części produkcją nuklearną. Ta ostatnia zapewnia 75 % elektryczności we Francji, 61 % w Belgii, 45 % w Szwecji, 41 % w Szwajcarii, po 38 % w Niemczech Zachodnich i w Hiszpanii, 35 % w Finlandii, 20 % w USA. Faktem jest, że instalacja nuklearna jest bardzo droga. Pewną szansą dla Polski może być polityczne napięcie w świecie wokół tej technologii. Producenci pilnie poszukują nowych rynków i mogą być skłonni do przyjęcia szczególnych warunków kredytowania, opartych o przyszłą produkcję. Ponieważ nie są oni zainteresowani obszarami, skąd wyjść mogłyby silne akcje sprzeciwu, więc bez szerokiego porozumienia społecznego sprawa byłaby całkowicie nierealna.

Dla zdecydowanych przeciwników energii nuklearnej konieczne jest wykazanie opłacalności opcji węgiel-ropa-gaz w unowocześnionych procesach czystego spalania. Z całą pewnością w regionie Bałtyku jest to najpopularniejsza wizja. Nie może się tu jednak obejść bez uwzględnienia nakreślonych powyżej czynników światowej koniunktury energetycznej. Jaki jest ekologiczny koń, każdy widzi i same żale nad stanem środowiska naturalnego w niczym nie poprawią sytuacji. Kolejne raporty o dzieciach tkniętych katastrofą w Czarnobylu, czy badania nad zawartością Trihalometanów w wodzie destylowanej stosowanej do celów farmaceutycznych nie wstrząsną dziś czytelnikiem, ani nie poruszą polityków. Od opisania własnego niepokoju większe

znaczenie ma praktyczna propozycja dla programu przemysłowej konwersji. W przedmiocie zaś energii nuklearnej skuteczniejsza byłaby rzeczowa analiza stanu dziedziny, niż wieczne przytaczanie tragedii Czarnobyla. Sowiecki przemysł atomowy, zarówno cywilny jak i wojskowy jeszcze nie wykazał pełni swej złowieszczej natury; niewykluczone, że na dłuższą metę w miliony przyjdzie liczyć ofiary katastrof takich, jak czarnobylska, a także czterdziestu lat doświadczeń z bombami nuklearnymi. Ale skupienie się wyłącznie na wynaturzeniach przodującego ustroju jest mało przekonywującym argumentem w ocenie nowoczesnych technologii w ogóle.

Paryż, 7.1.92.

Robert KACZMAREK

NOTA BIOGRAFICZNA

Robert KACZMAREK, 45 lat. Elektronik, inżynier AGH w Krakowie. Przed Solidarnością współpracownik SKS i KOR. Wydawca liberalnego pisma *Merkuryusz Krakowski i Światowy*. W Solidarności przewodniczący w AGH, członek prezydium Zarządu Regionu Małopolska, szef regionalnej Sekcji Informacji. W stanie wojennym internowany, zwolniony na operację, ucieczka z obstawionego szpitala w kwietniu 1982. W podziemiu założyciel, wydawca i naczelny redaktor *Kroniki Małopolskiej*, organizator i szef tajnej struktury zakładowej MKS Kraków. W maju 1983 wyjazd do Francji. Specjalizacja w Ecole Supérieure d'Electricité w Gif-sur-Yvette, doktorat na Université Pierre et Marie Curie w Paryżu. Aktualnie pracownik naukowy i dydaktyczny Ecole Supérieure d'Electricité, badania w dziedzinie elektromagnetyzmu i przetworników.

Sprawy i troski

„Idealny inwestor"

KORESPONDENCJA Z POZNANIA

Warszawa 7 luty 1992. Komunikat Biura Informacyjnego Kancelarii Sejmu: „Wicemarszałek Józef Zych w ramach realizacji funkcji kontrolnych Sejmu spotkał się z przedstawicielami Ministerstwa Przekształceń Własnościowych... Podkreślono, że ...niezbędne jest stanowcze przeciwdziałanie zjawiskom niechęci i podejrzliwości wobec działań prywatyzacyjnych..."

Mówić będziemy o Kombinacie Budowlanym Poznań-Centrum. 30-go stycznia br. w lokalnym, poznańskim wydaniu *Gazety Wyborczej* ukazał się wielki artykuł opisujący „idealnego inwestora", który pragnie wykupić ten kombinat (1070 pracowników, 6000 metrów kw. powierzchni administracyjnej w centrum Poznania, zamówienia na okres dwóch lat, w magazynach towar wartości 20 miliardów złotych).

Tym „idealnym inwestorem" jest Piotr Mroczyk, dyrektor Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa.

Przedsiębiorstwo Poznań-Centrum ma być sprywatyzowane tak zwaną „metodą likwidacji". Mówiąc w największym skrócie, po dokonaniu wyceny przez ekspertów władze wojewódzkie decydują o cenie sprzedaży po czym oddają likwidowaną firmę w ręce zawiązanej w tym celu spółki akcyjnej i jednocześnie państwo gwarantuje kredyt na zapłacenie 80% wartości przedsiębiorstwa na okres dziesięciu lat. Kredyt ten jest oprocentowany najwyższej w wysokości trzech czwartych tego, co kosztują normalne kredyty rynkowe. Poza tym, spółka wykupująca przedsiębiorstwo może odliczyć sobie te procenty (koszt kredytu) od podatków jak również od podatków może odliczyć sumy, które będzie spłacała przez 10 lat w ramach zwrotu pożyczanych pieniędzy.

By otrzymać ten atrakcyjny kredyt spółka musi dysponować kapitałem założycielskim w wysokości 20% sprzedażnej wartości przedsiębiorstwa oraz funduszem na pokrycie normalnych, bieżących wydatków przedsiębiorstwa tak, by nie groziło, że firma „stanie w pół drogi" albo że załoga nie otrzyma miesięcznej pensji.

Eksperci, wyznaczeni przez wojewodę poznańskiego wycenili wartość „Centrum" na 30 do 68 bilionów złotych. Wojewoda przyjął jednak wycenę NAJNIŻSZĄ czyli 30 bilionów (ok. 3 milionów dolarów) i za tyle właśnie chciałby sprzedać przedsiębiorstwo Spółce Akcyjnej założonej przez p. Piotra Mroczyka.

Kapitał zakładowy (założycielski) wynosi 20% wartości czyli w przypadku poznańskiego Centrum 7.400.000.000 złotych. Na tę kwotę w 20% miała się złożyć sprzedaż akcji pracownikom a w 29% sprzedaż akcji lokalnym akcjonariuszom oraz klientom firmy (np. spółdzielniom mieszkaniowym).

Głównym udziałowcem, posiadającym 51% akcji, miałby zostać Piotr Mroczyk.

Wartość 51% akcji przedsiębiorstwa Centrum wynosi ok. 340 tysięcy dolarów. Jak wynika z oświadczeń Piotra Mroczyka posiada on 10 tysięcy dolarów, które gotów jest zainwestować w Polsce. Za 10 tysięcy dolarów można — w najlepszym razie — zakupić kiosk z gazetami.

Tak się jednak wspaniale w Polsce składa, że przy zakupie prywatyzowanego państwowego przedsiębiorstwa wcale nie trzeba wpłacać kapitału założycielskiego. Cała operacja sprowadza się do bankowego zaświadczenia, że klient „w razie potrzeby" może uruchomić swoją „linię kredytową". Dopóki jej zaś nie uruchomi — nie płaci procentów za kredyt.

Oczywiście, nie każdemu bank zapewni „linię kredytową" a najczęściej domaga się gwarancji, że „linia kredytowa" będzie uruchomiona tylko za jego oddzielną zgodą i będzie przez bank kontrolowana.

Nic prostszego. Piotr Mroczyk zgadza się na te warunki i oferuje przedstawicielowi Amerbank miejsce w Radzie Nadzorczej Kombinatu „Centrum". Ponieważ pożyczka w postaci „linii kredytowej" ma charakter czysto teoretyczny, trzeba z innego źródła zapewnić pieniądze na bieżące wydatki. Pożyczkę taką oferuje z kolei Wielkopolski Bank Kredytowy, oddział w Poznaniu. Prezes Banku otrzymuje miejsce w Radzie Nadzorczej. Teraz chodzi jeszcze o stałe zamówienia, kontakty, kontrakty, itp. Wiceprezydent Poznania otrzymuje miejsce w Radzie Nadzorczej. Honorarium za uczestnictwo w Radzie wynosi 3 miliony złotych miesięcznie plus zwrot wydatków...

Podsumujmy teraz wartość „inwestycji".

Władze sprzedają kombinat budowlany Centrum za najniższą możliwą cenę 30 bilionów złotych. Państwo zapewnia na 10 lat kredyt w wysokości 80% wartości firmy na niesłychanie korzystnych warunkach kredytowych i podatkowych. Pozostałe 20% to tzw. kapitał założycielski. Na ten kapitał założycielski składa się w 49% załoga i „drobni" inwestorzy. Główny inwestor ma do zapłacenia 51% kapitału założycielskiego i potrzebuje pieniądze na bieżącą działalność. Na te 51% otrzymuje „linię kredytową". Na wydatki bieżące jest pożyczka z banku w Poznaniu.

Innymi słowy trzy krajowe instytucje kredytowe (w tym w 80% państwo) składają się na to, by „inwestor zagraniczny" za 10 tysięcy dolarów kupił sobie dobrze prosperującą firmę w Polsce i by z dochodów firmy spokojnie spłacił kredyt, jaki mu udzieliły władze na 10 lat i na korzystnych warunkach procentowo-podatkowych.

Także procenty za kredyt spłaci się z zysków. Do firmy należą budynki w centrum Poznania, gdzie wynajmuje się lokale różnym mniejszym firmom. Nowy właściciel ma zamiar natychmiast podwyższyć czynsze (ponad dwukrotnie) co mu przyniesie 6 bilionów złotych rocznie. Ma też w planie zwolnić około 200 pracowników, co mu pozwoli oszczędzić na wydatkach. Za kilka lat natomiast, nie inwestując swoich pieniędzy, może kombinat sprzedać.

Przeciwko temu „dobremu interesowi" zaprotestowała w Poznaniu tylko jedna jedyna instancja: „Solidarność" w samym Przedsiębiorstwie Budowlanym Centrum. Jej szef, Janusz Kalecki, ostrzegał pracowników, że gdy Mroczyk dostanie swoje 51% to część załogi zwolni, innym ograniczy zarobki i świadczenia. Poza tym, „S" protestowała przeciwko za niskiej wycenie przedsiębiorstwa i przeciw temu, że miałoby ono być sprzedane razem z budynkami w centrum miasta. Do tego szef „Solidarności" nigdy nie słyszał o Piotrze Mroczyku. Natomiast znał dobrze kilku dyrektorów, którzy z Mroczykiem weszli do spółki. Są to wieloletni nomenklaturowi funkcjonariusze w tym samym zakładzie pracy. Jeden kierował Centrum od 1968 roku, drugi zastępował go od 1977 roku, trzeci był ongiś dyrektorem finansowym w „Pollenie" (królestwo ministra Wilczka) itp., itd. Co więcej, „za Mroczkiem" stanął cały związek branżowy czyli OPZZ. Jakoś też nie bardzo pasowało to do „Wolnej Europy"...

Przewodniczący „S" zaczął pisać listy z protestami i zbierać pod nimi podpisy robotników. W końcu grudnia napisał do władz wojewódzkich i prasy. Wtedy zgłosiła się korespondentka *Gazety Wyborczej*.

Dyrektor Mroczyk powiedział, że do zainwestowania jego majątku w Poznaniu „skłonił go Lech Wałęsa". Gdy był przewod-

nikiem Wałęsy po Stanach Zjednoczonych, bardzo przejął się apelami przyszłego prezydenta, by biznesmeni inwestowali w Polsce.

Gazeta Wyborcza w nr. z 30.01.92 w artykule p. Nowakowskiej opublikowała z zachwytem kapitalistyczne projekty i możliwości finansowe p. Mroczyka. Nazwała go „strategicznym inwestorem" oraz „idealnym inwestorem", który dysponuje nie tylko dobrą wolą ale też olbrzymimi pieniędzmi i stosunkami w świecie i już wiele zdziałał dla dobra „Solidarności". Związkowcy z poznańskiej „S" dowiedzieli się, że p. Mroczyk: „posiada poparcie Kissingera", że „był najdłużej internowanym polskim dziennikarzem", że „założył w Stanach Zjednoczonych Fundację 'Solidarność'" itd. Artykuł nosi tytuł: „Strach przed kapitalizmem". I *Gazeta Wyborcza* dała do zrozumienia, kto się boi: niewyrobiona i pozbawiona światowych kontaktów poznańska „Solidarność".

W listach do banków i urzędów np. z wnioskami o pożyczki „idealny inwestor" przedstawia się jako właściciel wydawnictwa Point Publication Inc. w stanie Wisconsin, USA. Jest to prawda.

Wydawnictwo Point Publication Inc. wydaje starą gazetę polskiej emigracji *Gwiazda Polarna*, którą Mroczyk wykupił zanim został dyrektorem sekcji polskiej RWE. Niestety, wystarczyłoby zapoznać się z prasą polonijną w Ameryce (ale nie tylko) by się zorientować, że *Gwiazda Polarna* ku wielkiemu ubolewaniu Polaków na świecie — bankrutuje. Jej redaktorka próbowała ratować pismo apelując np. o dary i wpłaty do Czytelników. Nie wdając się w przyczyny, dla których upada tak zasłużona gazeta polska w Stanach wydaje się dziwne, że żaden urząd w Kraju nie bada stanu finansowego osób zamieszkałych za granicą a zgłaszających oferty wykupienia przedsiębiorstw polskich. Na Zachodzie byłby to punkt podstawowy dla wszystkich dalszych negocjacji bankowych, kredytowych itp., itd.

Gazeta Wyborcza atakując „S" poznańskiego Centrum wskazuje, że Piotr Mroczyk założył Fundację „Solidarność" w Ameryce. Dziennikarka *GW* nie dokonała przy tym najmniejszej próby sprawdzenia, jakie były dalsze losy tej Fundacji. Tymczasem zbankrutowała ona po mniej więcej dwuletniej działalności. Co więcej, Piotr Mroczyk rozliczył się wprawdzie z tej działalności przed amerykańskim urzędem podatkowym, ale nigdy nie rozliczył się przed opinią polską. Fundacja zbierała fundusze na „Solidarność" i były to pieniądze społeczne, amerykańskie i polskie. Nigdy nie ujawniono ile zebrano, ile wydano na cele Fundacji, a ile na pensje, podróże służbowe, telefony, wydatki reprezentacyjne itp. itd.

Sam Mroczyk oświadczył *Gazecie Wyborczej*, że nie rozumie

„irracjonalnych trudności" jakie mu czyni „Solidarność" w przedsiębiorstwie Centrum i jeżeli te trudności się nie skończą, to „pójdzie ze swymi pieniędzmi do innego przedsiębiorstwa".

Takie są teraz prawa i możliwości w naszym kraju! A zatem, ani Sejm ani Ministerstwo Przekształceń Własnościowych nie powinny się dziwić, że jednocześnie pojawiają się zjawiska „niechęci i podejrzliwości wobec działań prywatyzacyjnych".

Dziwaczna sytuacja

Jacek Maziarski rozdziera w *Nowym Świecie* szaty: mamy niepodległość, cieszymy się suwerennością naszego państwa, a tymczasem istnieje „bardziej subtelne zagrożenie suwerenności". Na czym ono polega? Kiedyś „powszechne słuchanie Wolnej Europy, Głosu Ameryki, czy BBC było wyrazem protestu przeciw informacyjnej dominacji wschodniego sąsiada". A teraz? Wszystko się niby zmieniło, nie ma już „informacyjnej dominacji wschodniego sąsiada", a przecież „doszło do dziwacznej sytuacji, że w polskich państwowych mediach zadomowiły się obce serwisy" (czyli Wolna Europa, Głos Ameryki, BBC). Sytuacja rzeczywiście „dziwaczna", a może nawet więcej niż dziwaczna. Ale poważny poblicysta powinien sobie chyba zadać pytanie, jak i dlaczego do niej doszło, co spowodowało, że „obce serwisy" znajdują coraz więcej słuchaczy, dzięki którym ich egzystencja jest nie tylko możliwa, lecz nawet wskazana? Odpowiedzią na to pytanie jest po prostu kiepski stan własnej informacji. Ludzie w Polsce nastawiają w radioodbiornikach „obce serwisy", bo (być może, paradoksalnie) są one bardziej sprawne i *niezależne* od serwisów domowych. Społeczeństwo chce wiedzieć nie tylko o walkach diadochów na szczycie, ale na przykład o świeżej fali strajków, dość skrupulatnie zakonspirowanej w informacji suwerennej (zdawałoby się). Może więc Maziarski, zamiast rozdzierać szaty w *Nowym Świecie*, wybierze się z wizytą do premiera Olszewskiego i spróbuje mu tę sprawę fachowo wyjaśnić? Jeśli zaś nie ufa dostatecznie własnej fachowości, niech to zrobi w towarzystwie znanego specjalisty — „radioty", który niegdyś w PPN wpajał swoim kolegom (m.in. obecnemu premierowi) „kategoryczny imperatyw" dobrej i szybkiej informacji.

O religii bez namaszczenia

Chrystianizacja Europy

Czy re-chrystianizacja? Re-chrystianizacja zakłada, że Europa była chrześcijańską i że pożądany jest powrót do tego stanu z przeszłości. Biskupi, zebrani w Rzymie w pierwszej połowie grudnia na specjalnym zgromadzeniu synodalnym w sprawie Europy, stwierdzili, że o tym mowy być nie może. W uroczystej deklaracji uchwalonej w przeddzień zakończenia synodu 13 grudnia mówią, że ewangelizacja kontynentu nie oznacza programu odtwarzania Europy, jaka istniała w przeszłości, lecz nawiązanie do jej chrześcijańskich korzeni i zbudowanie cywilizacji, która byłaby „bardziej chrześcijańska i tym samym bardziej ludzka". Ważne stwierdzenie. Bo chrześcijańska przeszłość Europy była oczywiście daleka od ideału. W rzeczy samej, mówiąc o historycznym chrześcijaństwie mamy na myśli, choć często nie zdajemy sobie z tego sprawy, dwie różne rzeczy, choć częściowo pokrywające się ze sobą: treści ewangelicznego przesłania, jego esencjonalną „chrystusowość", oraz konkretny kształt, kulturowy i instytucjonalny, w jaki się to posłanie w ciągu wieków wcielało. Ten kształt był moralnie dwuznaczny; mieścił się w nim św. Franciszek i Torquemada, św. Wojciech i krzyżacy, św. Jan od Krzyża i konkwistadorzy, Erazm z Rotterdamu i palenie czarownic, Meister Eckhart i wojny religijne, wielkość i korupcja papieskiego Rzymu. Wszystko to legitymizowało się tą samą podwójną etykietą — chrześcijaństwo i Europa. Rezultatem jest potężne religijne zamieszanie.

Zadaniem synodu europejskiego było nadanie nowego impulsu chrześcijaństwu w pierwszym znaczeniu, co wymagało przede wszystkim usunięcia owej dwuznaczności, jakiej pojęcie europejskiego chrześcijaństwa w ciągu wieków nabrało. Świadomość tej potrzeby była niewątpliwie wśród biskupów uczestniczących w synodzie obecna, o czym świadczy kilka interesujących wystąpień na plenum i w komisjach, a zwłaszcza dokument

ogłoszony na krótko przed otwarciem synodu przez Radę Konferencji Biskupów Europy. Ta instytucja, zwana krótko od swej łacińskiej nazwy CCEE, powstała w następstwie Soboru Watykańskiego w r. 1967 i obecnym jej przewodniczącym jest arcybiskup Mediolanu kard. Martini. Dokument CCEE stanowi znakomity *tour d'horizon*, który ukazuje zarówno światło jak i cienie historycznego europejskiego chrześcijaństwa i jest zatem zarówno modlitwą dziękczynną jak i wyrazem skruchy za winy tego chrześcijaństwa. Niestety, nie ten dokument stanowił podstawę obrad synodu. Dla tego celu sekretariat synodu opracował inny dokument, oparty jakoby na wypowiedziach poszczególnych krajowych konferencji biskupich, faktycznie jednak to tak zwane *Summarium* po prostu prezentuje poglądy jego kompilatorów z rektorem generalnym synodu kardynałem Ruini na czele. Ten dokument w dużej mierze przesądził przebieg obrad synodu i nie dziw, że w deklaracji uchwalonej na zakończenie synodu poglądy, które stanowiły treść wstępnego *Summarium*, ponownie znalazły wyraz. Wygląda zatem na to, że synod był nie tyle okazją do wspólnej refleksji i debaty nad sposobami realizowania ewangelicznego posłania na naszym kontynencie, ile zaplanowanym z góry kursem, jak ta realizacja ma wyglądać. Jest to całkowicie w stylu obecnego pontyfikatu, z jego nieufnością do głosu kościelnej opinii, nawet na szczeblu biskupów, i centralizacją rządów Kościołem. Jakby dla podkreślenia tej nieufności papież na zakończenie synodu zapowiedział utworzenie jeszcze jednego centralnego organu, którego zadaniem ma być ścisła kontrola i koordynacja wszelkich inicjatyw w dziele ewangelizacji Europy. Organem tym ma kierować tenże kardynał Ruini z pomocą trzech doradców, którymi będą arcybiskup Paryża kard. Lustiger, arcybiskup Pragi Vlk i arcybiskup Moguncji Lehmann. Nie wygląda więc na to, by sam synod wydatnie popchnął naprzód sprawę nowej ewangelizacji Europy, choćby dlatego że nieufność urzędowych ewangelizatorów znajduje swój naturalny odpowiednik w nieufności czy obojętności tych, którzy mają być ewangelizowani.

Organizatorzy i reżyserowie synodu całą uwagę skupili na roli Kościoła katolickiego, praktycznie ignorując rolę innych kościołów chrześcijańskich w dziele ewangelizacji. Byli wprawdzie zaproszeni obserwatorzy z ramienia innych wyznań (określani nawet jako „bratnie delegacje"), ale nie odegrali oni w synodzie żadnej pozytywnej roli. Z miejsca zaciążył na synodzie fakt, że prawie wszystkie kościoły prawosławne odmówiły wysłania obserwatora na znak protestu przeciw prozelityzmowi uprawianemu (przynajmniej w ich mniemaniu) przez kościoły katolickie, w tym także przez odrodzone kościoły unickie, na tradycyjnie prawosławnych obszarach wschodniej Europy. Jedynym wyjątkiem

był delegat nowo-wybranego patriarchy Konstantynopola Bartłomieja, który jednak swą obecność na synodzie wykorzystał do wyrażenia solidarności ekumenicznego patriarchatu ze stanowiskiem innych autokefalicznych kościołów w tej sprawie. Delegacje kościołów po-reformacyjnych, w tym także kościoła anglikańskiego, dały wyraz swemu rozczarowaniu zignorowaniem przez synod ekumenicznego wymiaru problemu ewangelizacji. Wprawdzie sam papież w kazaniu wygłoszonym 7 grudnia ponownie mówił o „skandalu", jakim jest rozbicie chrześcijaństwa, i w deklaracji wydanej na zakończenie synodu znalazło się miejsce dla wyrażenia podobnych sentymentów, ale te rutynowe zaklęcia to było wszystko, na co synod się zdobył. Dziwnym zbiegiem okoliczności właśnie w czasie trwania synodu Watykan ogłosił od dawna oczekiwaną ocenę wyników dialogu katolicko-anglikańskiego, określanego zwykle skrótem ARCIC. Dialog ten trwa już od z górą 20 lat, ale Watykan ponownie ocenił te wyniki, podobnie jak to już raz było w r. 1982, jako nie dość zadowalające. I ta reakcja Watykanu ponownie wywołała rozgoryczenie strony anglikańskiej.

Cała idea synodu europejskiego opierała się na założeniu, że oto po upadku komunizmu Europa ma szansę stać się ponownie kulturową i religijną, a w dalszej przyszłości także polityczną jednością. Fundamentem tej jedności i duchowym spoiwem miałoby być jej wspólne chrześcijańskie dziedzictwo. Z perspektywy papieskiego Rzymu było przy tym oczywiste, że jej trzon powinien stanowić jeden, święty, apostolski Kościół katolicki. To założenie zostało przez cały czas trwania synodu konsekwentnie utrzymane. Tym się tłumaczy zarówno zaproszenie na synod nie-katolickich delegacji ze wschodu i zachodu kontynentu jak i równoczesna katolicka ofensywa misyjna na wschodzie i praktycznie ignorowanie wszelkich wysiłków ekumenicznych, takich jak dialog ARCIC, na zachodzie. A jednak właśnie synod wykazał, jak bardzo sztuczne i nierealne jest to założenie. Europa jest religijnie tak samo zróżnicowana i podzielona jak jest zróżnicowana narodowościowo, kulturalnie i politycznie. Kościół katolicki, jak to stwierdza deklaracja końcowa synodu, uznaje i ceni różnice narodowościowe, gdyż są wyrazem kulturalnego bogactwa Europy, ostrzegając jedynie, że pozostają one bogactwem tylko, jeśli narody potrafią współżyć ze sobą w harmonii. Natomiast Kościół katolicki po dziś dzień nie jest w stanie pogodzić się ze zróżnicowaniem religijnym kontynentu — mimo ekumenicznych gestów, które pozostają tylko gestami, skoro jeszcze w żadnym wypadku nie doprowadziły nawet do interkomunii. Deklaracja synodalna mówi z uznaniem o cudownej więzi „katolickości" między narodami *sub Petro et cum Petro*, pomijając oczywisty fakt, że ta katolickość jest motywowana najczęściej względami

narodowościowymi czy kulturowymi raczej niż religijnymi i bywa źródłem zgoła nieuleczalnych napięć z nie-katolickimi sąsiadami. Przykładem konflikt w Północnej Irlandii jak i konflikt serbsko-chorwacki, w którym sympatie katolickiego Rzymu są w sposób całkiem naturalny (choć niekoniecznie nadprzyrodzony) po stronie katolickich Chorwatów. Motywem utrzymywania w mocy różnic religijnych — w tym także, może nawet nade wszystko „katolickości" — jest walka o prawdę i rzekoma niedopuszczalność kompromisów w sprawach doktrynalnych. To w imię tak pojętej czystości wiary sekretarz stanu kard. Sodano odpierał oskarżenia o uprawianie katolickiego prozelityzmu na terenie Rosji, argumentując że jest obowiązkiem katolickich duszpasterzy dbanie o dobro duchowe katolickiej mniejszości w Rosji, na Syberii i w Kazachstanie. Czy rzeczywiście tylko katolickiej mniejszości? Czy obowiązkiem Kościoła Powszechnego nie jest roztoczenie opieki duszpasterskiej nad wszystkimi wierzącymi, także prawosławnymi? Czy nie jest oczywiste, że w warunkach religijnego spustoszenia, jakie pozostawił po sobie komunizm, różnice doktrynalne, obrzędu, dyscypliny i przynależności wyznaniowej powinny zejść na bardzo daleki plan? Dodajmy od razu, że od tego czasu arcybiskup Kondrusiewicz, administrator apostolski na obszar europejskiej Rosji, miał zwrócić się do patriarchy Aleksija z propozycją nawiązania ścisłej apostolskiej współpracy. Należy mieć nadzieję, że patriarcha odpowie na ten apel bardziej pozytywnie niż odpowiedział na zaproszenie na synod. Były oczywiście na synodzie, i są poza synodem, liczne objawy twórczej chrześcijańskiej refleksji i polityczno-doktrynalnego „odsztywnienia" (by się tak wyrazić), ale faktem pozostaje, że religia jest nader często sprawą grupowej lojalności, mającej wszelkie cechy nieuświadomionej idolatrii, nie różnej pod tym względem od całej gamy mniej lub bardziej fanatycznych świeckich patriotyzmów.

Swoisty religijny patriotyzm zabarwił również stanowisko synodu (powiedzmy, jego oficjalnej fasady) wobec świeckiego świata, zwłaszcza zachodniej Europy. Wschodnia Europa była reprezentowana — i prezentowała się sama — jako wzór bohaterskiej, często męczeńskiej wiary w obliczu straszliwych przeciwności i prześladowań. Jest to oczywiście w dużej mierze prawda, ale ten obraz byłby bardziej przekonujący, gdyby był trochę bardziej zróżnicowany, uwzględniając między innymi fakt, że opór przeciw komunizmowi nie ograniczał się tylko do wierzących katolików. Gdyby nade wszystko nie był mu przeciwstawiony równie uproszczony obraz Zachodu, przeżartego jakoby grzechami głównymi materializmu i konsumeryzmu, a zwłaszcza niebezpiecznego liberalizmu i sekularyzmu. W tym kontekście pojawia się w dokumentach synodalnych gromkie ostrzeżenie, że

Europa stoi w obliczu zasadniczej decyzji — z Chrystusem czy przeciw Chrystusowi. Cały ten passus, pojawiający się zarówno we wstępnym *Summarium* jak i w końcowej deklaracji, jest deprymująco naiwny. Mało kto w Europie byłby gotów przyznać, że stoi przed taką decyzją; nieopowiedzenie się za Chrystusem niekoniecznie oznacza opowiedzenie się przeciw Chrystusowi, a opowiedzenie się za Chrystusem wcale niekoniecznie oznacza zwycięstwo dobra nad złem — wiadomo ile zbrodni popełniono z imieniem Boga czy Chrystusa na ustach. Jeśli na zachodzie Europy ludzi *explicite* religijnych jest mniej niż na wschodzie, to pryncypialnych ateistów (materialistów, konsumerystów) jest jeszcze mniej. Zupełnym marginesem są pozostali jeszcze wyznawcy marksistowskiego materializmu, o którym dokumenty synodalne mówią, że przeżył swój własny upadek i nadal w myśli zachodnio-europejskiej dominuje. Przeciętny mieszkaniec zachodniej Europy jest materialistą-konsumerystą dokładnie w tym samym stopniu, w jakim jest nim aspirujący do jako takiego dobrobytu mieszkaniec środkowej i wschodniej Europy. Jest rzeczą pożałowania godną, że odpowiedzialne koła kościelne powtarzają głupawe slogany komunistycznej propagandy o „zgniłym Zachodzie".

Tak samo nie ma w zachodniej Europie — poza nielicznymi wyjątkami — nastrojów szczególnej wrogości wobec religii czy przejawów ideologicznego sekularyzmu na wzór programowego komunistycznego bezbożnictwa. Nie ma też żadnego szerokiego anty-katolickiego spisku żydowsko-masońsko-marksistowskiego; jest to fikcja, którą pewne koła kościelne lubią się posługiwać dla pokrycia nią swoich własnych błędów i głupstewek. Rozdział Kościoła od państwa, przeważnie bardzo umiarkowany, istnieje dla zapewnienia pokoju religijnego i w interesie wolności religijnej wszystkich obywateli. W ogóle praktyczny sekularyzm (laickość, świeckość, w odróżnieniu od ideologicznego sekularyzmu) nie jest takim jednoznacznym złem, za jakie w tradycyjnej mentalności religijnej uchodzi. Zasadniczo świecki charakter ram ustrojowych i tkanki społecznej jest niezbędnym warunkiem autentyczności i czystości religijnego zaangażowania: jednostka czy grupa może być pewna bezinteresowności swej wiary tylko wtedy, gdy nie jest ona wynikiem presji prawnej, presji opinii publicznej czy choćby społecznego konwenansu. A wszelka autentyczna wiara, bezinteresowna służba prawdzie i dobru zawsze prędzej czy później znajdzie naśladowców. W dawnych ciemnych wiekach Kościół (czy nawet już wtedy kościoły, bo nie tylko o zachodni kościół łaciński tu chodzi) był jedynym źródłem inicjatyw tworzenia szkół, szpitali, opieki nad chorymi i ubogimi itd. czyli tego wszystkiego, co dzisiaj jest funkcją państwa opiekuńczego i, oprócz religijnych, także świeckich instytucji społecznych. Z rozwojem komunikacji i środków łączności ten historyczny efekt ewangelizacji rozszerzył się na cały świat i tu też formy działalności religijnej i świeckiej uzupełniają się wzajemnie. Nie jest żadną zarozumiałością wyznaniową twierdzić, że świecka działalność tego typu jest *implicite* chrześcijańska. Ale jest rzeczą uderzającą — i jest może znakiem czasu, wskazówką na temat charakteru i strategii przyszłej ewangelizacji — że nawet bardzo silne i efektywne zaangażowanie moralne tego typu jest często całkiem niezależne od jakiegokolwiek zaangażowania religijnego. I na odwrót, zaangażowanie religijne niekoniecznie owocuje w formach praktycznej działalności, którą nazwaliśmy chrześcijańską. Innymi słowy, fakt że w zachodniej Europie mniej ludzi chodzi do kościoła niż we wschodniej Europie* wcale nie oznacza, że zachodnia Europa jest religijną czy moralną pustynią. A ta nuta pogardy dla moralnego ubóstwa Zachodu bardzo silnie pobrzmiewała na synodzie. I celowali w niej delegaci z Polski: biskup tarnowski Józef Życiński oskarżający zachodnich intelektualistów, że nadal hołdują marksizmowi, biskup Józef Michalik z Gorzowa mówiący o konieczności konfrontacji z ateizującym Zachodem czy świecki delegat 27-letni dr Jacek Gleba, stwierdzający z zadowoleniem, że milionowy zjazd częstochowski w sierpniu zeszłego roku uleczył młodzież zachodnią z jej nieuzasadnionego poczucia wyższości. Katolicka Polska była w ogóle ogromnie fetowana na synodzie, całkiem niezależnie od tego, że Prymas Polski kardynał Józef Glemp był jednym z przewodniczących synodu.

Była to niezdrowa konfrontacja, nowa forma nadmiernej wyznaniowej pewności siebie, która tyle szkód narobiła w stosunkach ekumenicznych i z góry skazuje wszelkie próby ewangelizacji na niepowodzenie. To są postawy, które sprawiają, że w niektórych społecznościach nie-chrześcijańskich samo słowo „ewangelizacja" budzi popłoch, gdyż jest odczuwane jako zagrożenie stanu posiadania czy nawet tożsamości grupowej takiej społeczności. Szczególnie dobitnym tego przykładem jest reakcja Żydów, nawet nie-religijnych, na akcję ewangelizacyjną Żydów-chrześcijan działających pod hasłem *Jezus-Mesjasz*. Tak też reagują pewne ośrodki, często nominalni chrześcijanie, na akcje takich organizacji świeckich katolików jako *Communione e Liberazione* czy *Neo-katechumenat*, nie mówiąc już o na pewno podejrzanych metodach rekrutowania członków *Opus Dei*. Nie zauważyłem, by synod poświęcił dużo uwagi temu niezmiernie

* Na dobrą sprawę masowość praktyk religijnych jest wyłącznie polskim zjawiskiem. Węgry mają jeden z najniższych wskaźników praktyk religijnych w Europie.

delikatnemu zagadnieniu. Sprawa jest trudna, bo z jednej strony w warunkach wolności słowa nie można odmówić gorliwym ewangelizatorom prawa propagowania swej wiary i swoich poglądów, lecz z drugiej strony wartość nawróceń osiągniętych metodami propagandowej presji i budzących niechęć otoczenia wydaje się wątpliwa. Ideałem jest chyba akcja ewangelizacyjna, która od nikogo nie wymaga zerwania ze swoją dotychczasową tradycją religijną czy wyznaniową, lecz tylko ją uszlachetnia i intensyfikuje. Przykładem jest chyba działalność ekumenicznego ośrodka Taizé we Francji pod kierunkiem słynnego brata Rogera Schutza (*notabene* protestanta) albo — na szerszej arenie religijnej — *ashram* równie słynnego benedyktyna Dom Bede Griffith'a w Kerali w Indiach. Oczywiście, tak szeroki ekumenizm, konsekwentnie stosowany, nasuwa poważne problemy doktrynalne i tożsamości wyznaniowej (przykładowo: czy tak ekumenicznie nastawiony chrześcijanin jest nadal chrześcijaninem?). W Anglii niedawno pokaźna grupa księży anglikańskich podpisała się pod akcją protestacyjną przeciw ekumenicznym nabożeństwom z okazji narodowych dziękczynień z udziałem wyznawców i tekstów modlitewnych innych religii, np. muzułmańskich. Ciekawa rzecz, że nieposzlakowanie ortodoksyjny nowy arcybiskup Canterbury dr George Carey bardzo ostro odciął się od tego protestu podległych mu księży.

Jeszcze ciekawszy jest fakt, że podobne akcenty szerokiego ekumenizmu odnajdujemy w wypowiedziach samego papieża Jana Pawła II, tak często krytykowanego (również przez piszącego te słowa), za praktyczne zlekceważenie ekumenicznego otwarcia dokonanego przez II Sobór Watykański. Wszyscy pamiętamy zainicjowany przez niego dzień wspólnych modlitw o pokój z udziałem przywódców wszystkich religii świata i zrealizowany w Asyżu w roku 1986. To był wspaniały gest, który spotkał się z powszechnym uznaniem chrześcijan, nie-chrześcijan i niewierzących. Dotychczas można było uważać to tylko za gest, ale oto papież podjął ten temat na nowo w swym tegorocznym orędziu na Światowy Dzień Pokoju 1 stycznia. Na kilka punktów tego orędzia warto zwrócić szczególną uwagę. Papież stwierdza, że kontakty między religiami światowymi i dialog ekumeniczny stały się już „obowiązkową drogą" do zaleczenia ran, jakie ludzkość w ciągu wieków zadała sobie wzajemnie, i że podstawą pokojowego współistnienia jest absolutne poszanowanie wolności religijnej. Jan Paweł II ostrzega przed wszelkiego rodzaju religijnym fundamentalizmem i fanatyzmem, niedopuszczalne jest posługiwanie się argumentacją religijną w konfliktach między-ludzkich, zwłaszcza w konfliktach zbrojnych. Bo są wartości religijne i moralne, które są wszystkim ludziom wspólne, i do tych wartości należy pokój.

Teologiczne uzasadnienie szerokiego ekumenizmu stanowią cytowane przez papieża słowa soborowej deklaracji *Nostra Aetate* stwierdzające, że Kościół katolicki w swoich stosunkach z religiami nie-chrześcijańskimi „nie odrzuca nic, co w tych religiach jest prawdziwe i święte". Przyjęcie tej deklaracji przez sobór stanowiło w swoim czasie nie lada przewrót, ale ta nowa postawa dojrzewała w Kościele długo i można ją uważać za element szerszej liberalizacji myśli teologicznej, datującej się z grubsza mówiąc od początku bieżącego stulecia. Był to okres gwałtownego fermentu w Kościele określanego mianem modernizmu. Modernizm został wówczas przez Stolicę Apostolską potępiony jako herezja, ale ewolucja modernistyczna bynajmniej się na tym nie zakończyła. Papież Jan Paweł II w kilku miejscach swego orędzia stwierdza z aprobatą fakt ewolucji poglądów nie tylko w Kościele katolickim, ale także w religiach nie-chrześcijańskich. Czy oznacza to możliwość długo-falowej konwergencji myśli teologicznej różnych religii? Czy nie oznacza to zakwestionowania jedyności i uniwersalizmu chrześcijańskiego objawienia w Jezusie Chrystusie? Czy nie grozi to rozmyciem chrześcijaństwa w jakimś szeroko rozlanym a płytkim synkretyzmie religijnym, w którym Jezus Chrystus będzie tylko jednym z religijnych mędrców ludzkości na równi z Buddą czy Mahometem? Tego właśnie obawiają się nie tylko integryści katoliccy ze szkoły arcybiskupa Lefèbvre, ale i owych 2000 księży anglikańskich podpisanych pod protestacyjnym listem otwartym.

Jest to, powiedzmy sobie szczerze, teren, po którym aniołowie boją się stąpać. Ale moje osobiste sympatie są tu wyraźnie po stronie odrzucającego protest arcybiskupa Canterbury i mojego, całkiem ekumenicznego w tym przypadku, papieża. Bo jeśli ich przyjazne otwarcie na innych ludzi, nawet na wierzenia innych ludzi, odczuwam jako dobre, to musi ono tym samym być Chrystusowe czyli chrześcijańskie. Nie jest zadaniem chrześcijanina liczenie kosztów dobrego uczynku wobec niewierzącego, nawet kosztów dla mojej czy naszej chrześcijańskiej tożsamości czy instytucji. Tak postępuje na co dzień Matka Teresa i Dom Bede Griffith i Brat Roger. I nie jest zadaniem duszpasterzy planowanie perspektywicznej strategii, która by dała możliwie największe korzyści Kościołowi. Proste głoszenie i praktykowanie Ewangelii zawsze się na długą metę opłaca. Innymi słowy, warto też być dobrym wobec rozwiedzionych i homoseksualistów bez obawy, że czystość doktryny na tym ucierpi. Na takiej ortopraksji raczej niż na ortodoksji polega wierność Chrystusowi, a więc chrześcijaństwo. I jako prywatny chrześcijanin tak sobie z grubsza wyobrażam chrystianizację Europy.

Antoni POSPIESZALSKI

NOTA WATYKAŃSKA

Ku pewnemu zaskoczeniu Stolica Apostolska nie tylko uznała niepodległość Ukrainy, ale jako jedno z pierwszych państw nawiązała stosunki dyplomatyczne „pragnąc zapewnić w sposób stały i przyjazny rozwój wzajemnych stosunków na szczeblu nuncjatury i ambasady ze strony Republiki Ukraińskiej", jak stwierdza komunikat z 8 lutego. Watykański komunikat — rzecz znamienna — podkreśla znaczenie związków łączących Rzym i Kijów od czasu chrztu Rusi w 988 r., a które były kontynuowane pomimo zerwania stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską i Bizancjum w 1054 r. Watykan zaprzecza tezie rosyjskiego patriarchatu prawosławnego, zgodnie z którą dopiero w 1596 r. poprzez Unię Brzeską „rozłamowa grupa unitów ukraińskich" miała rzekomo nawiązać stosunki z Kościołem katolickim. Nie brakło w rzeczy samej dowodów trwania tych związków jak np. udział metropolity kijowskiego Izydora w soborze we Florencji w 1439 r. Przypomnieć trzeba, że powstały w 1919 r. Autokefaliczny Kościół Ukraiński uległ likwidacji w 1929 r., a w 1946 r. został zlikwidowany również Kościół greckokatolicki. Obie te decyzje uderzały „nie tylko w wiarę — stwierdza nota watykańska — ale również w naród ukraiński". Nawiązanie stosunków dyplomatycznych stanowi skądinąd kontynuację stosunków podjętych w 1919 r., kiedy Michał Tyszkiewicz na czele specjalnej misji dyplomatycznej niepodległej Republiki Ukraińskiej był przyjęty przez Benedykta XV i kiedy w imieniu rządu tej republiki zwrócił się do Stolicy Apostolskiej o nawiązanie oficjalnych stosunków. Kontakty uległy przerwaniu w 1920 r. Obecna decyzja — trzeba zaznaczyć — oznacza stopień wyższy niż stosunki ustanowione z Republiką Rosyjską, które pozostały tak jak ze Zw. Sowieckim na szczeblu misji specjalnych, a nie, tak jak w przypadku Ukrainy, nuncjatury i ambasady. Oczekuje się, że wkrótce nastąpi nominacja nuncjusza w Kijowie i równocześnie ambasadora przy Stolicy Apostolskiej.

D.M.

Polnische Buchhandlung
KSIĘGARNIA POLSKA
Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria
Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater
Tel. i fax: (1) 52 63 114
Konta pocztowe
Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556
Książki w jezyku polskim, polonica w jezykach obcych.
Bezpłatne katalogi na żądanie

Sąsiedzi

„Marlboro, marki und mafiosi*"

Nie wgłębiając się w polsko-niemieckie zaszłości historyczne, które w Niemczech pozostawiły po sobie sporo stereotypów i klisz, jak np. *polnische Wirtschaft*, „Polacy, to Francuzi Wschodu", „Polak-katolik", czy legendy o duchu bojowym ułanów atakujących pikami czołgi, można stwierdzić, iż wyobrażenie przeciętnego Niemca o Polsce nadal opiera się na stereotypach. *Novum* jest jedynie fakt, iż głównym ich źródłem są obecnie *mass media*, jako że Polska nie należy do ulubionych celów turystycznych Niemców. Duża część społeczeństwa niemieckiego czerpie wiedzę o Polsce głównie z telewizji i prasy, gdzie obraz jej jest wybiórczy i negatywny, więc Polska i Polacy znajdują się zapewne na jednym z niższych miejsc w skali poważania i sympatii Niemców.

Przeprowadzone w Niemczech badania potwierdzają tę tezę. Obrazuje to np. ankieta z września roku 1991. Spośród 16 par przeciwstawnych, jak np. „pracowity-leniwy", „zdyscyplinowany-niezdyscyplinowany", „światowy-prowincjonalny", „godny" lub „niegodny zaufania", większość respondentów uplasowała swe oceny w strefie negatywnej, jakkolwiek wystąpiły pewne różnice pomiędzy ocenami obywateli zachodniej i wschodniej części Niemiec. Ci ostatni w kilku punktach ocenili Polaków lepiej niż ich rodacy zachodni. Znalazło to również wyraz w odpowiedzi na pytanie o sympatię pod adresem Polaków. Dla 36% respondentów zachodnioniemieckich w porównaniu do 46% wschodnioniemieckich Polacy są „dość lubiani"; dla 43% tych pierwszych Polacy są „dość nielubiani", a dla 12% „bardzo nielubiani",podczas kiedy liczby te dla respondentów wschodnioniemieckich wynoszą 39% i 8%. Co spowodowało, iż darzeni do

* Tytuł artykułu zamieszczonego w tygodniku *Die Zeit* z września 1991 roku.

końca lat 70-tych w Niemczech Zachodnich dużą sympatią Polacy tak radykalnie stracili w oczach obywateli RFN? Odnosi się to również do młodzieży z całych Niemiec, która nie ma prawie w ogóle kontaktów z Polską i Polakami. Świadczy o tym omówiony przez Barbarę Mödder (03.01.92) na łamach rozgłośni Deutschlandfunk *Deutsch-polnischer Jugendreport* (pierwszy „Niemiecko-polski raport o młodzieży"). Młodzież niemiecka, mając do wyboru 27 narodowości, na przedostatnich miejscach na skali sympatii umieściła Polaków (w sąsiedztwie Turków i Arabów). Główne skojarzenia młodych Niemców z Polską i Polakami to „bieda" i „niski poziom życia", „świadomość narodowa", „odwaga", „umiłowanie pokoju" i „cierpliwość", która, zdaniem młodych Niemców, pozwoliła Polakom bez przemocy wywalczyć sobie demokrację. Na trzecim miejscu skojarzeń znalazł się obraz polskiego handlarza obdarzonego cechami jak: „obrotność w interesach", „zachłanność" i „pazerność na pieniądze".

Do czasu zjednoczenia Niemiec najistotniejszym okresem dla powojennych indywidualnych stosunków między Polakami i Niemcami były lata 70-te, a szczególnie przełom lat 70-tych i 80-tych. Liberalizacja paszportowa w Polsce spowodowała falę indywidualnych wyjazdów do RFN, poprzedzoną masowym ruchem „turystyczno-handlowym" pomiędzy Niemcami z NRD i Polakami. Wspólną cechą masowych podróży Polaków do obu części Niemiec był ich charakter głównie ekonomiczny, co dla rynku enerdowskiego oznaczało najczęściej ogołocenie sklepów z towarów. W RFN Polacy w latach 70-tych nie rzucali się aż tak bardzo w oczy, mimo że RFN stanowiła w tych latach najbardziej ulubiony cel ich wizyt na Zachodzie. Tamtejsze doniesienia prasowe ukazywały polskich przybyszów głównie jako nielegalnych i tanich robotników, a brak bezpośrednich masowych kontaktów z Polakami pozwalał na postępujące dzięki *mass mediom* stopniowe polepszanie się obrazu Polski i Polaków w tej części Niemiec.

Obraz Polski i Polaków w *mass mediach* obu części Niemiec zmienił się gruntownie po powstaniu „Solidarności". W RFN powstanie związku odebrane zostało jako sensacja polityczna. W prasie i telewizji pojawiła się niespotykana dotychczas ilość publikacji na temat historii Polski, podkreślających „typowo polskie przymioty", jak „opór przeciw narzuconej władzy", „dążenie do wolności", „odwaga cywilna" i „skłonność do ryzyka bez względu na zagrożenie i realne szanse powodzenia". Rzut oka do zachodnioniemieckich podręczników historii pokazuje zadziwiające paralele w ocenie wcześniejszych zrywów wolnościowych Polaków, jak np. w roku 1830: „Polacy wywołali powstanie w roku 1830 z ową dawką braku rozsądku, która cechuje ich również obecnie. Młodzież polska powstała w zrywie heroizmu i walczyła z bezprzykładnym oddaniem. Ale Polacy dawali się równocześnie zwodzić przez obietnice pomocy ze strony innych narodów, które dla dzielnych Polaków miały w zanadrzu jedynie hymny pochwalne i najlepsze życzenia". (Michel Freund, *Deutsche Geschichte*, C. Bertelsmann Verlag, München 79)[1]. Drastyczne i ukierunkowane na sensację przedstawienie sytuacji w Polsce tego okresu przez część prasy zachodniej (w tym i zachodnioniemieckiej) skłoniło ówczesnego przewodniczącego Związku Dziennikarzy Polskich, Stefana Bratkowskiego, do zajęcia w tej sprawie stanowiska. Przedruk jego artykułu ukazał się w gazecie *Frankfurter Allgemeine Zeitung* z dnia 12.12.80 roku: „Zachód straszy nas i uspokaja. Świat dowiaduje się mianowicie, że w Polsce dzieje się coś niebezpiecznego. To zaś dzieje się głównie w obcych *mass mediach* (...). Niektórzy korespondenci dostrzegają to również. W odróżnieniu od tych, którzy potrzebują czegoś innego. Bo to nie my straszymy świat. (...) To oni straszą fałszywymi informacjami i interpretacjami[2]". Nic więc dziwnego, że wydarzenia tego okresu w Polsce wywoływały w RFN tyleż podziwu, co i obaw o stabilność sytuacji w Europie oraz o kontynuację procesu odprężenia. Stereotyp nieodpowiedzialnego i skłonnego do anarchii Polaka odżył w świadomości części Niemców.

Z większym niepokojem wydarzeniom w Polsce lat 80-81 przyglądano się w NRD. W prasie i telewizji zaroiło się od artykułów, początkowo skierowanych przeciwko „elementom antykomunistycznym", a później również przeciw Polsce i Polakom jako narodowi. W szkołach, na uczelniach, w zakładach pracy, nawet w przedszkolach prowadzono „kampanię informacyjną" na temat wydarzeń w Polsce, której częścią były argumenty z arsenału starych haseł antypolskich, jak „polskie lenistwo" czy *polnische Wirtschaft*. Kampanii tej szły w sukurs *mass media*: „Kiedy obywatele NRD raz po raz słuchają o strajkach w Polsce (...), o spadku produkcji, to stawiają sobie niekiedy pytanie, czy pomoc dla naszego sąsiada nie wpada do beczki bez dna. My w NRD mamy to, co stworzyliśmy ciężką pracą. (...) Spożyć można tylko to, co się wypracowało. Żaden naród nie może żyć bez pracy, niezależnie od tego, jak ukształtowane są jego społeczeństwo i jego gospodarka. To nie jest antypolskie, lecz po prostu logiczne". (*Neues Deutschland*, 08.09.1981). Wydarzenia w Polsce stanowiły w oczach społeczeństwa wschod-

1. Należy zauważyć, że poświęcony w tej książce Polsce i Polakom dłuższy fragment wyraża sporo podziwu i sympatii dla polskiej walki narodowo-wyzwoleńczej.
2. Korzystałem z materiału niemieckojęzycznego.

nioniemieckiego zagrożenie dla dalszej poprawy stosunków wewnątrzniemieckich oraz oczekiwanych ułatwień paszportowych. Stąd też wprowadzenie stanu wojennego w Polsce uznano tam za powrót do stabilizacji.

W Niemczech Zachodnich na stan wojenny w Polsce zareagowano falą pomocy humanitarnej, głównie w postaci paczek żywnościowych, składek dla ludności i apeli solidarnościowych. Przebywający tam Polacy otrzymali czasowo prawo pobytu i prawo do pomocy socjalnej. Odnotowały to bardzo przychylnie *mass media*, a dzięki nim społeczeństwo RFN. Równocześnie napływający w coraz większej ilości przesiedleńcy z Polski, Rumunii i ZSSR, a obok nich również azylanci z Polski i całego świata, stali się dużym obciążeniem dla budżetów komunalnych, stwarzając ponadto niepożądaną konkurencję na rynku pracy i mieszkaniowym. Dotyczyło to w głównej mierze przybyszów z Polski, stanowiących wtedy większość, niezależnie od tego, czy przybywali tam jako przesiedleńcy czy jako azylanci. Dlatego właśnie oni stali się głównym celem kampanii prasowych przeciwko „fikcyjnym uciekinierom" oraz „rzekomym Niemcom" z Polski, o których jeden z członków berlińskiej CDU powiedział, że głównym dowodem ich niemieckiego pochodzenia jest „posiadanie w rodzinie owczarka alzackiego". W *mass mediach* niemieckich pojawiały się dziesiątki reportaży i artykułów na temat Polaków nadużywających pomocy socjalnej, fałszujących dokumenty w celu uzyskania obywatelstwa niemieckiego, kradnących w sklepach i pracujących „na czarno". Obraz ten rozpowszechniano — z różnym natężeniem — w zasadzie przez całą dekadę lat 80-tych, i jeszcze w roku 1990 w kontekście zarządzeń przeciwko „fałszywym azylantom" na pierwszym miejscu wymieniano Polaków, mimo że stanowili oni wtedy najmniejszą grupę osób starających się o azyl. Obok pism bulwarowych kpiły z Polaków, czy też przedstawiały ich w negatywnym świetle nawet poważne pisma jak *Der Spiegel*, czy zachodnioberliński *Der Tagesspiegel*. Np. dla *Spiegla* wiadomością godną przedrukowania okazał się opublikowany w małej gazecie regionalnej anons następującej treści: „Pilne! Polska rodzina z 3 dzieci w wieku 5/4/2 lata szuka osób, chcących ją zaadoptować (...)", (07.05.90), czy też krótka notka zatytułowana: „Polacy szmuglują nawet w Nepalu", zamieszczona w numerze 22 pisma w tym samym roku.

Obraz Polaków najlepiej oddawały same tytuły, często umieszczane na pierwszych stronach gazet, jak np.: „Polacy z fałszywymi dokumentami uznani za przesiedleńców: organizacje fałszerzy zaopatrywały tysiące osób w dowody niemieckiego pochodzenia" (30.03.88); „Automaty biletowe BVG jako punkty wymiany złotówek na dewizy" (16.3.89); „Dowody pochodzenia niemieckiego w postaci legitymacji SS" (14.09.89); „Wieloosobowa rodzina polska złapana na kradzieży" (03.03.89); „W Heiligensee aresztowano Polaków z kilogramem materiału wybuchowego" (06.03.89).

Dodać należy iż w tym czasie Berlin Zachodni przeżywał najazd setek tysięcy polskich handlarzy, którzy zamienili ulice i place miasta na nielegalne targowiska, a znajdujące się w ich pobliżu kwatery i trawniki w wysypiska śmieci, szalety oraz składowiska porzucanych tam po dokonanych zakupach wózków. Obraz ten uzupełniali pijący wprost z butelek wódkę, słaniający się na nogach lub zalegający w bramach okolicznych domów pijani i często agresywni przybysze z Polski. Po ulicach w pobliżu targowisk jeździły samochody policyjne, obwieszczające przez megafony po polsku i po niemiecku zakaz prowadzenia nielegalnego handlu, w sklepach zaś pojawiały się dwujęzyczne napisy ostrzegające przed próbą kradzieży. Stan ten wywołał niezwykle ostre protesty ludności. W ogólnoniemieckich programach telewizyjnych doniesienia na temat *Polenmarkt* stały się głównymi informacjami z Berlina. Jedynie berlińska prasa lewicowa próbowała znaleźć zrozumienie dla tych niespodziewanych przedstawicieli gospodarki „wolnorynkowej". Obok licznych powstających w tym czasie kawałów na temat Polaków interesujący jest pewien dowcip rysunkowy, zamieszczony w piśmie dla nauczycieli. Jeden z przedstawionych na rysunku nauczycieli, spełniając swój nowy obowiązek, donosi władzom szkolnym o zachowaniu się uczniów cudzoziemskich: „Kemal, mały Turek z 2c, wagarował; Ali, Libańczyk z 7a, odpisywał od sąsiada. A Jan, Polak z 8b, nasikał na korytarzu".

Negatywny obraz Polaków utrwalały i nadal utrwalają doniesienia niemieckich stacji telewizyjnych z Polski. Ponieważ temat ten jest niepopularny, a każda stacja zabiega o widzów, reportaże i informacje telewizyjne skupiały się głównie na najważniejszych wydarzeniach aktualnych, czyli przedstawiały sytuację trochę tendencyjnie i skrajnie. Na polityczny obraz Polski końca lat 80-tych i początku 90-tych składały się więc: nieprzejrzystość sytuacji, chaos, tendencje do radykalizmu, wstecznictwa czy wręcz anarchii oraz „tradycyjny u Polaków antysemityzm" połączony z religijnością, której formy uchodzą w Niemczech za zacofane. To samo odnosi się do sytuacji ekonomiczno-gospodarczej Polski: reportaże o zamierającej gospodarce, upadku zakładów, zatruciu środowiska ekologicznego, na tle chłopów polskich pracujących metodami stosowanymi w Niemczech sto lat temu umacniały poglądy na temat „polskiego bałaganu". By nie wywołać tego rodzaju skojarzeń, niektórzy komentatorzy telewizyjni czy prasowi starali się — czasami w sposób wręcz

groteskowy — unikać określenia *polnische Wirtschaft*, zastępując je formami jak *Wirtschaft Polens*, czy *Polens Wirtschaft* (gospodarka Polski). Natomiast rzadkością było ukazywanie obrazów pozytywnych. Jedynie pojedynczy, znający dobrze temat dziennikarze, jak np. Klaus Bednarz z pierwszego programu telewizji ogólnoniemieckiej, czy też pojedynczy dziennikarze i publicyści radiowi usiłowali dodać nieco barw do czarno-białego obrazu Polski na kolorowych ekranach telewizorów i w programach radiowych w Niemczech.

W odróżnieniu od telewizji i prasy brukowej, artykuły poważniejszych gazet i pism opiniotwórczych, jak *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, *Süddeutsche Zeitung* czy hamburski tygodnik *Die Zeit*, kierowane do bardziej wykształconych warstw społeczeństwa, przytaczały więcej pogłębionych i często rzetelnych, nawet jeśli bardzo krytycznych informacji. Wyjątkiem w tym względzie był wspomniany opiniotwórczy tygodnik *Der Spiegel*, znany ze swego specyficznego, sarkastycznego stylu. Pozytywne artykuły na temat Polski i Polaków, opublikowane na jego łamach, wyszły w większości spod pióra Polaków, na czele z Adamem Michnikiem, czy też udzielanych przez nich *Spieglowi* wywiadów. Mimo różnic w optyce i stylistyce, większość poważnej prasy w drugiej połowie lat 80-tych poruszała takie tematy jak: opór Polaków przeciwko reżimowi PZPR, sytuacja gospodarcza, rola Kościoła i kleru, stosunki polsko-sowieckie (ze szczególnym uwzględnieniem i akcentowaniem sprawy Katynia oraz rzekomej czy też rzeczywistej antyrosyjskości Polaków), dzień powszedni Polaków i patriarchalne struktury rodzinne (z podkreśleniem braku rzeczywistego równouprawnienia kobiet), polska emigracja ekonomiczna wraz z jej przedstawionymi już powyżej uwarunkowaniami oraz perspektywy rozwoju sytuacji w Polsce. Po odsunięciu od władzy komunistów zakres tematów poszerzył się o elementy „polskiej gry politycznej", tj. głównie chaosu życia politycznego i braku wykrystalizowanych programów i partii politycznych, regresu w sytuacji polskich kobiet w aspekcie ustawy o aborcji, nieznanej w Niemczech klerykalizacji życia publicznego i szkolnictwa oraz nadal uważnie odnotowywanych objawów polskiego antysemityzmu. Tło tych artykułów stanowiła nadal stale pogarszająca się sytuacja ekonomiczna ludności.

Na osobne, choćby krótkie omówienie zasługuje prezentowany w *mass mediach* niemieckich obraz Polaka-antysemity. „Polacy i antysemityzm" (*Der Tagesspiegel*, 05.03.88), „Zaniepokojenie z powodu antysemityzmu: narodowa prawica w Polsce sieje wrogość" (tamże, 11.05.90) to dwa tytuły artykułów Gerta Baumgartena, niemieckiego korespondenta z Warszawy, jako symptomatyczne przykłady dla tej kwestii. W pierwszym z nich

Baumgarten przedstawił antysemityzm w Polsce ze strony i pod rządami komunistów od roku 1968-go, w drugim zaś ukazał przykłady tego zjawiska po odsunięciu komunistów od władzy, uwypuklając przy tym sprzeciw najbardziej światłych przedstawicieli kultury i inteligencji polskiej wobec tych tendencji, „korzystnych głównie dla polskiej prawicy narodowej, po której stronie występują tradycyjne refleksy antysemickie". Do tego — podkreślanego też w wielu innych artykułach na ten temat — rozróżnienia dochodzą przeważnie jeszcze tylko elementy historyczne, biograficzne oraz rola Kościoła katolickiego w Polsce w krzewieniu nietolerancji religijnej i obyczajowej. Elementem wspólnym dla poświęconych temu problemowi artykułów w prasie niemieckiej jest podkreślany w nich fenomen „antysemityzmu bez Żydów w Polsce", o którym pisali zarówno Polacy, jak np. historyk Włodzimierz Borodziej, jak Niemcy, wśród nich znana w Niemczech dziennikarka z najpoważniejszego tygodnika niemieckiego *Die Zeit*, Helga Hirsch, i żyjący w Niemczech Żydzi z Polski, na czele ze znakomitym publicystą, Henrykiem Broderem. Jednym z głównych wątków tych artykułów i publikacji jest ukazywanie sprzeczności pomiędzy obrazem wielowiekowego i współczesnego antysemityzmu polskiego. Wiele też pisze się o rozpowszechnionym w Polsce przekonaniu o „pomocy Żydom w czasie wojny ze strony Polaków". *Mass media* niemieckie potwierdzają ją tylko w pojedynczych przypadkach, np. laureata Pokojowej Nagrody Księgarzy Niemieckich, Władysława Bartoszewskiego.

Niezależnie od tego, w jakiej mierze przedstawiany w niemieckich środkach masowego przekazu obraz Polski i Polaków odpowiada rzeczywistości, w jakiej zaś spełnia tylko oczekiwania samych *mass mediów* i ich konsumentów, w omówionym powyżej okresie najjaśniejszym, a niekiedy nawet dominującym elementem jest polska kultura. Jej twórcom i propagatorom należy przede wszystkim zawdzięczać, iż nawet środki masowego przekazu w Niemczech nie zredukowały słów „Polska" i „Polacy" do zbioru cech budzących niechęć i brak poważania. Jak ważnym przy tym elementem dla zachowania poczucia własnej godności u żyjących w Niemczech Polaków jest polska kultura, oddaje skrótowo choćby tytuł dużego artykułu autorstwa Elisy Klapheck, zamieszczonego w poczytnej w całych Niemczech gazecie *Die Tageszeitung* (17.12.88): „Pewni siebie w muzeum, szeptający w kolejce metra / Kościół, kultura, elita, humor / Spojrzenie na sub(kulturę) polskich berlińczyków". Oto krótki cytat z wprowadzenia: „Oficjalnie w Berlinie żyje 16 tysięcy Polaków. Czyżby armia robotników na czarno? Kto spojrzy za kulisy, odkryje pełen poczucia humoru i kultury naród, który upaja się literaturą, teatrem i muzyką". Wydaje się, że właśnie

polska kultura, bardziej niż polityka, przynajmniej w krótkiej perspektywie ostatnich dziesięciu-dwudziestu lat, stanowi o innej, pozytywnej stronie obrazu Polski i Polaków w Niemczech.

Przedstawione wyżej omówienie wymaga krótkiego uzupełnienia w dwóch istotnych kwestiach. Po pierwsze, w odróżnieniu od minionych dziesięcioleci, kiedy główne nadzieje na zbliżenie polsko-niemieckie kierowane były w Niemczech Zachodnich w stronę narodów a pomijały ze względów doktrynalnych czynniki oficjalne, obecna sytuacja wykazuje duże zbliżenie na poziomie rządowym przy równoczesnej niechęci do Polski i Polaków ze strony znacznych odłamów społeczeństwa niemieckiego. Pierwszego dowodzą wypowiedzi tak zaangażowanych w ideę zbliżenia niemiecko-polskiego polityków jak prezydent Niemiec, Richard von Weizsäcker, kanclerz Helmut Kohl czy też były kanclerz Helmut Schmidt, który niezłomnie i przy każdej stosownej okazji honoruje wkład Polaków w historię Europy i powtarza, iż Polska jest obok Francji najważniejszym sąsiadem Niemiec. Drugiego zaś dowodzą choćby przedstawione na początku opracowania wyniki ankiet. W tym kontekście nie sposób zaprzeczyć, że *mass media* mają poważny wpływ na proces zbliżenia niemiecko-polskiego.

Drugie uzupełnienie dotyczy kwestii formalnej. W powyższym omówieniu uwzględnione zostały artykuły prasowe i programy telewizyjne głównie z lat 80-tych i początku lat 90-tych. Jak w każdym tego rodzaju opracowaniu syntetycznym, nieuniknione były — ze względu na ograniczoną objętość — skróty i ujęcia całościowe. Niemniej opiera się ono na archiwum, zawierającym ponad tysiąc artykułów, komentarzy, reportaży i wywiadów zamieszczonych w tym okresie w prasie niemieckiej, oraz na znacznej ilości pokazanych w różnych programach telewizji niemieckiej reportaży i doniesień. Niewykluczone, iż przedstawione omówienie obrazu Polski i Polaków w niemieckich środkach przekazu wyda się jednostronne, czy też w sposób opaczny uznane zostanie za negatywny wkład do zbliżenia polsko-niemieckiego. Wprawdzie ryzyko istnieje, ale jeszcze większą szkodą dla tego procesu byłoby przemilczanie przedstawionych problemów i faktu, iż w obliczu aktualnych nastrojów dużej części społeczeństwa niemieckiego szanse na szybkie zbliżenie obu narodów są obecnie niewielkie. Nie wiadomo tylko, kogo za to winić, czy polską rzeczywistość, czy jej obraz w niemieckich środkach masowego przekazu, na których temat wyraził się w przeprowadzonym przeze mnie 15.11.91 r. wywiadzie dla rozgłośni „Deutschlandfunk" znawca problemu, publicysta Adam Krzemiński: „Istnieje pewien stereotyp, który jest dyktowany może nie tyle przez złą wolę samych korespondentów, czy reporterów, ile przez pewien ociężały sposób widzenia Polski

przez kierownictwa telewizji, czy wielkich pism. Po prostu istnieje zamówienie na pewien obraz Polski. Ja wiem, że wielu kolegów, niemieckich korespondentów, użala się na to. Nie to, że ich ktoś cenzuruje, tylko po prostu inny typ relacji z Polski uchodzi albo za nudny, albo za nieprawdziwy. Niedawno we *Frankfurter Allegemeine* ukazał się duży tekst, bardzo negatywny, o stanie polskiej gospodarki. Wczoraj zaś rozmawiał ze mną jeden z ekonomistów, dobrych znawców naszej sytuacji gospodarczej. Napisał artykuł polemiczny, który ukaże się nie pod jego nazwiskiem, ponieważ jemu nie wolno pisać. On mówi, że sytuacja polskiej gospodarki jest w gruncie rzeczy dość optymistyczna. Tzn., jeśli oczywiście nie oczekuje się cudów. Tego, o czym mówił (...) ten mój znajomy, (...) zmiany struktury i odkrywania szans dla naszej gospodarki, prasa niemiecka nie chce dostrzegać. Nie chce. Po prostu nie wyciąga nawet wniosków z tego, że przecież konflikty społeczne w Polsce są o wiele słabsze, niż w dawnej NRD. (...) Tzn. społeczeństwo jest stabilne, a w gazetach ukazują się tytuły jak w *Spieglu*, „Weimar w Warszawie"..."[3]. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu deficyt pozytywnych informacji z Polski są w stanie wyrównać artykuły, podkreślające zasługi narodu polskiego i jego wkład do wspólnego dorobku europejskiego. W jednym z poświęconych temu, tak rzadkim w zalewie negatywnych informacji z prasy codziennej, komentarzu uhonorował to Christoph von Marshall („Polens Mitgift für Europa", *Der Tagesspiegel*, 12.04.91): „Również zainteresowanie, jakie wzbudzały kultura polska w Niemczech i niemiecka kultura w Polsce, każe przypuszczać, że istnieje grunt dla nowych stosunków. (...) Polacy uczestniczyli w losach Europy z namiętnością i nieomylnie (...) żaden inny naród w Europie środkowej, zanim jeszcze Gorbaczow doszedł do władzy, nie sprzeciwiał się z takim uporem odczuwanemu jako nienaturalny podziałowi i izolowaniu go od Europy. Rzym, Paryż i Londyn były wzorcami dla całych generacji Polaków. Pierwsza wydrukowana konstytucja Europy była konstytucją polską z 3-go maja 1791. Również Polska wnosi wkład do Europy".

Na początku stycznia w austriackim programie 3 SAT pokazano reportaż o polskiej gospodarce. Obok trudności odnotowano w nim rzeczywiste postępy, jak np. powstanie miliona nowych miejsc pracy.

Andrzej STACH

3. Zacytowane zostały fragmenty z wywiadu, który nie był autoryzowany.

Nowe Niemcy

Prawdę mówiąc, to nikt się z tym nie liczył. Ani rząd, ani opozycja, ani prasa i coraz bardziej wszechwładna i durna telewizja. Faktycznie dzisiaj nie ma już poważnej prasy, a jeśli się zdarza, jak na przykład *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, to nikt z polityków się z nią poważnie nie liczy. Dawniej *Times* czy *Kurier Poranny* mogły obalać gabinety, a teraz ważniejsze jest czy premier w wywiadzie telewizyjnym miał ładny krawat i czy był dobrze ogolony. W Niemczech minął okres euforycznych przepowiedni następnego cudu gospodarczego. Ze strony socjaldemokratów padały ostrzeżenia, że zjednoczenie będzie drożej kosztowało, niż to obiecują chadecy i liberałowie, ale nie było jednomyślności i trzech odpowiedzialnych polityków, Brandt, Vogel i Lafontaine, ciągnęło partię i zwolenników w trzech różnych kierunkach. Wszyscy trzej zapłacili za to w wyborach i dotychczas nie wiedzą, jak się podnieść z upadku. Nie bardzo sobie też radzi nowy wódz tej zasłużonej babci niemieckiej demokracji, Engholm. Zbyt gładki, zupełnie bez osobowości i poglądów, choć pochodzi z północy, gdzie często wieją zimne i siarczyste wiatry morskie.

Bonn wydała przed zjednoczeniem miliardy na badania sytuacji i przyszłości Niemiec Wschodnich. Wszystko pic na muchy. Z tysiąca książek, dysertacji, publicznych i tajnych opracowań nic się nie sprawdziło. Kompletna klapa również, zarówno u Niemców, jak na całym świecie, w tzw. sowietologii.

Nie ma zapowiadanego cudu gospodarczego, jest natomiast ogromne bezrobocie. Trzy miliony ludzi bez pracy to w warunkach niemieckich rzecz prawie straszna. To nie Włochy i nie Europa Wschodnia, że jakoś tam będzie. Niemcy zaczynają życie od tego, że już przy kołysce mamusia mówi, jaki wybrać zawód i jaka będzie emerytura. Stąd piekielna panika po wybuchu bezrobocia w Republice Weimarskiej i masowe przejście w szeregi Hitlera. Chyba nigdzie na świecie nie ma czegoś podobnego, aby ludzie otrzymujący wysokie zasiłki gwarantujące przyzwoite życie popełniali samobójstwo z powodu braku zajęcia. A to jest dzisiaj na porządku dziennym w Niemczech Wschodnich.

Cóż się więc stało? I to w Niemczech, gdzie nawet przy komunizmie istniał wysoki poziom uprzemysłowienia i techniki w porównaniu ze wschodnią Europą, gdzie panował porządek, a korupcja była minimalna? Okazuje się, że łatwiej jest naprawiać komunistyczny zawał gospodarki w krajach monosystemowych, jak

na Węgrzech czy w Czechosłowacji, a nawet w dawniej zacofanej Polsce, niż w warunkach fuzji dwóch odmiennych organizmów społeczno-ekonomicznych. Doświadczenia z okresu unifikacji Polski porozbiorowej są nieporównywalne — co najwyżej w kulturowo-regionalnym aspekcie — bo mimo wszystkich różnic ustrojowych, które dzieliły państwa zaborcze w podstawowych sprawach (z oczywistym minusem dla zaboru rosyjskiego) istniały te same podstawy: własność prywatna i rozmaite interesy poszczególnych grup społecznych. Scalanie Niemiec odbywa się w zupełnie odmiennych warunkach.

Nastąpiło zderzenie przeciwstawnych i nieprzystawalnych do siebie układów społeczno-ekonomicznych. Dziś niektórzy biadolą, że trzeba było wprowadzić jakiś okres przejściowy, coś w rodzaju konfederacji na czas stopniowego wprowadzania reform. Inni — słusznie — przypominają, że bez natychmiastowego zjednoczenia większość ludności wschodnioniemieckiej byłaby uciekła na Zachód i doprowadziła do katastrofy zarobkowo-mieszkaniowej. Nawet dziś, w okresie wyrównywania różnic w poziomie rozwojowym między Wschodem i Zachodem, siła robocza odpływa na Zachód, z tym że wyjeżdżają oczywiście jednostki najbardziej przedsiębiorcze, a na obszarach pogranicznych między starym i nowym kapitalizmem modna jest mieszana egzystencja. Mieszka się na Wschodzie, a pracuje na Zachodzie. Korzysta z tego przywileju ponad pół miliona ludzi. Ale jest to możliwe tylko w okolicach, gdzie blisko do prosperujących zakładów. Istnieją jednak regiony szczególnie zacofane i z nich zaczyna się już nowa, wewnętrzna migracja wschodnioniemiecka.

Druga strona medalu to import fachowców i urzędników z Niemiec zachodnich. Pogłębia to stare podziały i roznieca nowe resentymenty. Coraz częściej słychać zarzut o „kolonizatorach", chociaż zachodnie centrale partyjne i ministerialne twierdzą, że bez tej pomocy administracja wschodnioniemiecka leżałaby po dziś dzień odłogiem, a gospodarka nie ruszyłaby w ogóle z miejsca. Wszystkim zaś włada potężna machina pod nazwą *Treuhand* czyli urząd powierniczy, instytucja — jak kpią starsi enerdowcy — znana w czasach drugiej wojny światowej w wielu krajach okupowanych.

Wszystko to od początku stycznia zeszło na drugi plan. Obecnie istnieje tylko jeden temat: teczki *Stasi*, czyli dawnej enerdowskiej bezpieki z donosami zawodowych i nieformalnych szpiclów. W żadnym chyba państwie komunistycznym nie gromadzono donosów tak skrupulatnie, jak za nieboszczki NRD. I nigdzie po klęsce systemu nie udostępniono obywatelom wglądu do tych materiałów. A uzbierało się tego w sumie podobno do dwustu kilometrów. Zebrano w nich donosy na 6 milionów ludzi.

I teraz zaczęło się piekło, bo każdy może się dowiedzieć, kto go szpiclował i kto ze znajomych, przyjaciół, krewnych, przełożonych i podwładnych był szpiclem. W ten sposób powstają tragedie, kończą się przyjaźnie, zaczynają wrogości. W atmosferze polowania na czarownice toną lub grzęzną kariery polityczne. System komunistyczny mści się i w przedziwny sposób triumfuje pośmiertnie. Prasa już przestała się zajmować wykrywaniem źródeł i przyczyn czerwonego totalitaryzmu, dociekaniem winy i kary dla odpowiedzialnych za terror, prześladowania i katastrofę ekonomiczną. Ci zaś siedzą sobie w dawnych willach, otrzymują solidne emerytury, czasami i honoraria za wspomnienia z czasów budowania socjalizmu i nie bez uciechy obserwują wojnę między ofiarami donosicielstwa.

Psikusy historii sprawiły, że Niemcy są jedynym krajem w Europie, gdzie w ciągu jednego życia ludzkiego odbyła się dwukrotnie rozprawa z ustrojem zniewolenia: raz z brunatnym — własnego chowu — i po raz drugi z importowanym przez zwycięskie mocarstwo sowieckie. Za każdym razem dramat polityczny zamienił się w farsę. Hitleryzm zaraz po procesie norymberskim rozgrzeszono po cichu wraz z nadciągającą zimną wojną, a niemiecki stalinizm potraktowano jako obcą narośl, nie nadającą się do radykalnej operacji z uwagi na funkcjonowanie gospodarki. Wytoczono co prawda proces długoletniemu szefowi bezpieki enerdowskiej, Mielke, ale nie tytułem popełnionych zbrodni w okresie trzydziestoletniej działalności na tym stanowisku, lecz z powodu zabójstwa dwóch policjantów podczas potyczek ulicznych z komunistami i władzą u schyłku Republiki Weimarskiej. Do wielkiego prania brudów nie doszło. Tylko wykrywanie szpiclów trwa nadal ku uciesze niezaangażowanej publiczności i sprawców nieszczęścia. Następuje nowy rozdział demoralizacji historyczno-społecznej. Nic dziwnego, że z bagna szczerzy zęby nowy nacjonalizm, post-komunistycznego i bardzo prowincjonalnego chowu.

BERLIŃCZYK

Trudna budowa państwa ukraińskiego

Skończyły się dni narodowej euforii. Zaczął się trudny okres budowania państwa. Proces ten kroczy rozmaitymi drogami. Na jednych obszarach przebiega burzliwie i spontanicznie, na innych z zadyszką i z trudem. Brakuje praktycznych doświadczeń; te, które pochodzą z okresu „państwowości" sowieckiej są marne. Po „rozstrzelanym odrodzeniu" spontanicznych lat dwudziestych, Moskwa z żelazną konsekwencją tłumiła każdy przejaw tożsamości ukraińskiej. Pozostało więc ogromne rumowisko ze zniewolonym ludem, przestarzałym i zależnym od rosyjskich surowców przemysłem, zniszczonym rolnictwem i zatrutym środowiskiem. Nawet Galicja i Wołyń, Bukowina i Ukraina Zakarpacka, choć zostały zdobyte o dwadzieścia lat później, uległy również gruntownej dewastacji. Jeżdżąc po Ukrainie i patrząc na owoce nie tylko antyludzkiej, ale i niesprawnej doktryny i praktyki, łatwo zrozumieć głębię podwójnej zapaści cywilizacyjnej, gospodarczej i kulturalnej.

Wszystko trzeba budować od podstaw. Oczywiście, że w porównaniu ze spuścizną po Rosji carskiej w latach 1917–18 Ukraina posiada setki tysięcy inżynierów, techników i urzędników, ale jest to masa ludzi zbiurokratyzowanych, pozbawionych inicjatywy, wciąż jeszcze czekających na polecenia i instrukcje władzy, a potem wykonujących wszelkie dyrektywy i cyrkularze opieszale, spychając odpowiedzialność na dół, aż gdzieś tam przy końcu rozpływają się w nicość. Dotychczas każdy był śrubką w ledwie poruszającej się maszynie. Kiedy maszyna się rozleciała, a nowej jeszcze nie zbudowano, zapanowała powszechna inercja — zwłaszcza na prowincji.

Partia komunistyczna nie istnieje, a jej następczyni — pod fałszywym szyldem Partii Socjalistycznej — organizacyjnie jest tylko cieniem wszechpotężnego niegdyś pierwowzoru. Ale w terenie stara nomenklatura zadekowała się na solidnych pozycjach. Siedzi w administracji, naukowych instytutach, organizuje spółki akcyjne, giełdy. Reprywatyzacja i wyprzedaż nieruchomości państwowych dotychczas nie zostały nawet w szczątkowej formie zrealizowane. Opór konserwatywnych dawnych aparatczyków, sprawujących pod zmienionymi nazwami nadal władzę na prowincji, jest ogromny. Szczególnie źle wyglądają sprawy na wsi. Istnieje potężny blok przewodniczących kołchozów, który bez przeszkód od dwóch lat paraliżuje reformę rolną. Kilku chło-

pów, którzy odważyli się podjąć walkę o rozparcelowanie ziemi, poszło już z torbami. Blok kołchozowy zniszczył ich podatkami, bojkotem i cenami na maszyny rolne i nawozy. Dopiero na początku nowego roku udało się zwolennikom prywatyzacji rolnictwa przeforsować w parlamencie projekt rozsądnej ustawy. Jednak tylko w pierwszym czytaniu i nie wiadomo, czy obrońcy własności kolektywnej nie zatopią tej ustawy w morzu wykrętnych przepisów.

Wiele winy za inercję społeczno-ekonomiczną ponoszą partie polityczne. Jest ich już ponad tuzin, ale większość tych stronnictw to czysto kanapowe towarzystwa wzajemnej adoracji. Są to twory intelektualistów kijowskich, kadzących sobie wzajemnie lub żrących się wzajemnie, stale w tym samym składzie osobowym i stale w stolicy. Mało który przywódca wytyka nos poza rogatki kijowskie. Nic dziwnego, że ukraińska prowincja politycznie nadal śpi jak spała. Ożywiła się na krótko w okresie referendum i wyborów prezydenckich, aby znowu zapaść w sen zimowy.

Ale i triumf Krawczuka nie stał się ani podstawą, ani argumentem do powstania silnej władzy wykonawczej. Każda próba prezydenta, aby utworzyć nowy ośrodek rządów, spotyka się natychmiast z oporem parlamentu. Krawczukowi nie udało się ani zdobyć reprezentacyjnego gmachu dla swego urzędu, ani uformować solidnej ekipy dookoła siebie. Nie mając żadnego fundamentu pod nogami ani solidnego zaplecza partyjnego, prezydent Ukrainy nie był w stanie dokonać radykalnych zmian gabinetowych. Z braku siły i alternatywy pozostawił rząd Witolda Fokina w starym składzie, co się wnet okazało brzemienne w skutki. Pogłębiła się frustracja, a po podniesieniu cen w styczniu także przepaść między społeczeństwem i władzą.

Opozycja również spisuje się nienajlepiej. W akcji wyborczej o urząd prezydenta zdobyła się na jakiś rozsądny program alternatywny, ale odtąd wlecze się w ogonie ekipy Krawczuka, raz go chwaląc za ojczyźniany kurs wobec Rosji, raz ganiąc za opieszałość wobec dawnych aparatczyków. Z masowym ponadpartyjnym „Ruchem" dzieje się coś, co żywo przypomina losy polskiej „Solidarności": szybki uwiąd na górze i duże rozczarowanie na dołach. W przededniu 3-go Zjazdu, wyznaczonego na koniec lutego, zarysowała się już linia podziału na dwa obozy, jeden zachowawczy w sensie kontynuacji za wszelką cenę dotychczasowego kursu i drugi radykalny, dążący do wyjścia z impasu i utworzenia z istniejącego kapitału ideowego i ludzkiego masowej opozycyjnej partii politycznej.

A tymczasem szykuje się jeszcze jedna powtórka z niedawnej przeszłości polskiej. Prezydent Krawczuk przypomniał sobie epizod polskiego „okrągłego stołu" i postanowił przenieść ten

wynalazek na ukraiński grunt polityczny. Chodzi mu przypuszczalnie o zdobycie szerszej bazy społecznej dla ziszczenia ambitnych planów umocnienia systemu prezydenckiego. Wszystko to stwarza niebezpieczeństwo dalszego rozwodnienia pluralizmu politycznego i osłabienia i tak jeszcze nie bardzo okrzepłej struktury parlamentaryzmu.

Krawczukowski manewr utrwalenia niepodległości przez powołanie na miejsce imperium wspólnoty państw niepodległych spotkał się wnet z recydywą rosyjskich tęsknot do odzyskania panowania jeśli nie nad wszystkimi republikami, to przynajmniej nad Ukrainą. Coraz widoczniejszy staje się w nowej rosyjskiej klasie politycznej rozdźwięk pomiędzy gotowością do współpracy z dawnymi koloniami na zasadach równoprawności i nostalgią po potędze imperialnej. Moskwa Jelcyna, Popowych, Burbelisów, ale i generałów Szaposznikowych, Ruckich i wielu, wielu innych, liczyła najwidoczniej na to, że utrzyma nad Ukrainą — po ogłoszeniu przez nią niepodległości — gospodarczy i wojskowy protektorat. Na tym tle powstało całe pasmo konfliktów o interpretację nowych układów, o podział dawnego mienia imperium, a zwłaszcza o Krym i Flotę Czarnomorską. Czyżby miał się powtórzyć syndrom jugosłowiański w nowym, straszniejszym wydaniu? Chyba nie, bo w odróżnieniu od Jugosławii Związek Sowiecki został przed wybuchem sporu między Moskwą i Kijowem prawomocnie rozwiązany. Rosja i Ukraina zobowiązały się w umowach w Mińsku i Ałma Acie do respektowania swych granic, zawierając dwa układy międzypaństwowe z bilateralnymi gwarancjami podobnego typu; i w odróżnieniu od Serbii i Chorwacji w czasie drugiej wojny światowej nie walczyły przeciwko sobie. Obydwa państwa przystąpiły do systemu układów helsińskich, zakazujących użycia siły we wzajemnych stosunkach. Czy to wszystko wystarczy, aby się ustrzec przed rozlewem krwi i nie dopuścić do rychłego upadku nowej konstelacji międzypaństwowej na wschód od Polski w postaci Wspólnoty Państw Niepodległych? Powinno — ale nie musi.

Kijów 10 lutego 1992

Bohdan OSADCZUK

W sowieckiej prasie

Redaktor *Kultury* zatelefonował do mnie, aby mi przypomnieć, że zbliża się termin nadesłania przeglądu, i nieoczekiwanie zapytał, czy nie należałoby zmienić tytułu rubryki, skoro nie ma już Związku Sowieckiego. Pytanie mnie zdziwiło; nie myślałem o tym. Po zastanowieniu się odpowiedziałem, że na razie nie zamierzam zmieniać tytułu, bo wprawdzie nie ma już Związku Sowieckiego, ale wciąż istnieje władza sowiecka. Rady deputowanych ludowych wszystkich szczebli nadal trwają we wszystkich republikach, choć są to obecnie niezależne państwa. Myślę, że epoka rad minęła, że wkrótce zaczną znikać — co na ich miejsce powstanie, jeszcze nie wiadomo, ale coś powstanie. Na razie wszakże istnieją i są podstawową instancją władzy. W Moskwie co prawda obok rad działają prefektury, ale rady nie zostały zlikwidowane. Nadal też ukazują się gazety zatytułowane *Sowieckaja Rossija, Sowieckaja kultura, Sowiecki patriota* (organ zachodniego zgrupowania wojskowego, stacjonującego na Ukrainie).

Poza tym należałoby się zastanowić, na co zmienić tytuł „W sowieckiej prasie"? Byłemu Związkowi Sowieckiemu (BZS) nadano wymyśloną naprędce nazwę Wspólnota Niepodległych Państw, w skrócie WNP, po rosyjsku SNG. Brzmi to paskudnie, że nie wspomnę już o literze „g", przeciw której protestował akademik Lichaczow, przypominając, że w języku rosyjskim na „g" zaczynają się słowa, których w przyzwoitym towarzystwie używać nie przystoi. Mieszkańcy SNG wymawiają zresztą ten skrót SNIEG, można ich więc uważać za yeti z krainy wiecznego śniegu. Niewykluczone, że Wspólnota (a wraz z nią skrót) przetrwają — wtedy może nazwę kronikę „Śnieżną kroniką".

W ubiegłych latach podczas dwumiesięcznych przerw w przeglądach nawarstwiało się mnóstwo informacji i zmian. Tym razem główną nowością jest wprowadzenie nowych cen. Posunięcie to, nazwane „zwolnieniem cen", jest zwyczajną niebotyczną ich podwyżką. Inaczej zresztą być nie mogło. Ponieważ cała sieć handlowa pozostaje praktycznie w rękach państwa, odpowiedni organ skierował do wszystkich sklepów dyrektywę, o ile mają podnieść ceny towarów: dziesięciokrotnie, czterdziestokrotnie lub tylko ośmio i półkrotnie. Kierownicy sklepów zmienili etykietki, od tego jednak — na razie — towaru nie przybyło. Zaufanie do rubla spadło do zera. Nawiasem mówiąc ludzie przyznają, że to i owo można dziś w sklepach kupić, bo zmniejszyła się liczba nabywców: ludzie nie mają pieniędzy.

Powyżka cen to główna nowina. Natomiast najważniejszym wydarzeniem minionych dwóch miesięcy jest stopniowe, ale stosunkowo szybkie skupianie spuścizny po ZSSR w rękach Rosji. Przede wszystkim za granicą. Rosja zajęła miejsce ZSSR w Radzie Bezpieczeństwa, ambasady zwinęły czerwone sowieckie sztandary i wciągnęły na maszty trójbarwny sztandar rosyjski. Przeczytałem w *Prawdzie* zatrważającą wiadomość: w Zambii maszt poselstwa ZSSR jest pusty. Czerwoną flagę zdjęto, ale trójbarwnej nie wciągnięto, bo Zambia nie uznała Rosji. Można jednak ufać, że uzna i wówczas *Prawda* się uspokoi.

Przejęcie zagranicznej spuścizny po ZSSR przebiega bez przeszkód. Trudniej to zrobić wewnątrz Wspólnoty. Przejście od bratnich stosunków do przyjacielskich napotyka na przeszkody. Wiele mówi się i pisze o sporach między Rosją i Ukrainą. Przybierają one czasami dziwny charakter. Ukraina pragnie zachować czarnomorską flotę wojenną — 300 pływających jednostek. Jelcyn oświadcza gniewnie, że flota czarnomorska była, jest i będzie rosyjska. Następnie poprawia się i zapewnia, że flota będzie wspólną własnością WNP. Do sporu o flotę włączyła się rosyjska Rada Najwyższa, która zapoznała się ze sprawozdaniem komisji spraw zagranicznych: otóż komisja odkryła, że Nikita Chruszczow w 1954 r. popełnił czyn antykonstytucyjny, oddając Krym Ukrainie. Aluzja jest przejrzysta: jeśli Ukraińcy będą się upierać przy swoich prawach do czarnomorskich okrętów, my zaczniemy żądać zwrotu Krymu. Poważniejsze są jednak konflikty ekonomiczne. Jelcyn rozpoczął 2 stycznia reformę gospodarczą (podniósł ceny) wbrew zastrzeżeniom innych członków WNP. Jednak byłe republiki, obecnie niezależne państwa, znajdują się — czy chcą czy nie chcą — w strefie rubla, wobec tego też musiały u siebie podnieść ceny. W przeciwnym wypadku towary przeciekałyby do Rosji, gdzie ludzie płacą za nie drożej. Leonid Krawczuk wprowadził kupony (rosyjskie gazety nazywają to „kuponizacją"), ale Ukraińcy otrzymują w nich tylko część zapłaty. Resztę wypłaca się w rublach, za które na terenie państwa niczego nie mogą kupić. W ten sposób siłę nabywczą ludności ukraińskiej obniżono jednym zamachem o 60-70%.

Wprowadzenie czasu zimowego stało się prawdziwą manifestacją przyjacielskich uczuć. Moskwa wprowadziła go nie uprzedzając Kijowa, który odmówił przejścia na moskiewski czas. Uczucia narodowe triumfowały, ponieważ jednak transport wciąż jeszcze jest wspólny, podobnie jak telefony itd., chaos na terytorium sowieckim jeszcze wzrósł — o ile to w ogóle jest możliwe.

Stosunki między byłymi republikami sowieckimi można dziś uznać za zagadnienie polityki zagranicznej. O polityce wewnętrznej można powiedzieć za Lwem Tołstojem, że szczęśliwe rodziny są wszystkie do siebie podobne, natomiast nieszczęśliwe cierpią każda na swój sposób. Dziś za najnieszczęśliwszego członka dawnej sowieckiej rodziny można obiektywnie uznać Rosję. Nie tylko dlatego, że jej mieszkańcy żyją w nędzy — cały były Związek Sowiecki tak żyje. Ale do gospodarczego upadku Rosji należy dodać kryzys polityczny, społeczny i kulturalny. Popularny dziennikarz Anatol Strielanyj opisał niedawno w *Moskowskich nowostiach* swą podróż po Gruzji i Rosji i daremne poszukiwania szaletu publicznego, do którego można by wejść i nie utonąć natychmiast w nieczystościach.

Barwny reportaż Strielanego kończy się mroczną przepowiednią: stan szaletów nie poprawi się zapewne przez najbliższych trzysta lat, a dopóki ludzie nie zrozumieją, że *pieriestrojka* w tej dziedzinie jest niezbędna, wszystkie inne *pieriestrojki* są skazane na porażkę. Nawiasem mówiąc sprawozdanie Strielanego o stanie szaletów w roku 1992 nastroiło mnie raczej optymistycznie. Siedemdziesiąt lat temu Siergiej Jesienin pisał: kłóciłem się i będę kłócił przez jeszcze tysiąc lat, bo chcę wejść do klozetu, a klozetów w Rosji nie ma. Trzysta lat to jednak mniej niż tysiąc!

Nie wiem, czy przytoczone powyżej teksty można uznać za humorystyczne. Wydaje mi się, że raczej należy je traktować jako wyraz przepaści między powszednim, zwykłym życiem a życiem politycznym. Po niekończącym się wystawaniu w kolejkach obywatele wracają do nieogrzewanych mieszkań, a tam gazety, radio i telewizja informują ich o zażartej walce o władzę i o tym, że na miejsce obalonych instancji władzy wciąż jeszcze nie powstały nowe. W Rosji sytuacja jest szczególna. W pozostałych republikach władza przeszła w ręce byłych komunistycznych funkcjonariuszy, którzy w oszałamiającym tempie przefarbowali się na nacjonalistów. Wszyscy potrafili stosunkowo szybko ugruntować swą władzę, tzn. oprzeć ją na dawnych strukturach i wprowadzić nową terminologię (demokracja, rynek, wielopartyjność itp.). Sytuacja zmieniła się, bo partia jako fundament totalitarnej władzy przestała istnieć. Ale sytuacja pozostała taka sama, bo miejsce partii zajął klan oddanych wodzowi ludzi.

W Rosji jest inaczej, chociaż wszystko odbyło się tak samo. Pierwszy wicepremier Rosji, Genadij Barbulis, obrazowo opisał upadek totalitaryzmu. Były wykładowca marksizmu-leninizmu, obecnie jeden z najbliższych doradców Jelcyna, tłumaczy w wywiadzie dla *Literaturnoj gazety* (13.11.91): kiedy upadł główny zbiornik trucizny — KPZS — „jad... został przetoczony do wszystkich komórek państwa i społeczeństwa. Dziś wiadomo już dość dobrze, dokąd się przeniosła nomenklatura partyjna w krajach, obwodach, miastach i rejonach. Ogromna jej większość w ciągu miesiąca znalazła się w ogniwach państwowej władzy wykonawczej. Wielu pozostało w radach. Znaczna część... otwarcie rzuciła się do rodzących się gangsterskich interesów. Inna z kolei część starymi kanałami wróciła do administracyjno-nakazowej sieci zarządzania".

Barbulis dobrze zna truciznę, którą przez długie lata sączył w mózgi swoich studentów, i ma całkowitą rację co do transplantacji nomenklatury. Jej wynikiem jest chroniczny konflikt między „górą", która marzy o reformach, a „dołami", czyli aparatem wykonawczym, który żadnych reform nie chce. Ten konflikt przebiega znacznie ostrzej między Moskwą a rosyjską władzą terenową aniżeli w innych byłych republikach, chociażby dlatego, że ich rozmiary pozwalają nimi łatwiej rządzić. A jak rządzić gigantyczną — nawet po upadku imperium — Rosją?

Wraz z osłabieniem władzy pojawiają się nieuchronnie rywale. Boris Jelcyn, bezsporny przywódca Rosji w sierpniu 1991 r., pierwszy prezydent wybrany w głosowaniu bezpośrednim, powitał nowy rok pod gradem ataków nowych pretendentów do tronu.

Zarzuty padają z dwóch stron. Po pierwsze krytykują prezydenta i premiera byli przyjaciele: wiceprezydent Ruckoj, przewodniczący Rady Najwyższej Chazbułatow, burmistrz Petersburga Sobczak. Ich zarzuty mają charakter „filantropijny": zgadzają się, że reformy i rynek są konieczne, uważają jednak, że należy bardziej osłaniać ludność, która cierpi z powodu braku towarów i drożyzny. Najwymowniejszy z rywali Jelcyna w obozie demokratów, Anatolij Sobczak, wyliczył dla *International Herald Tribune* błędy Jelcyna:

Pierwszy błąd — nie przeprowadził prawdziwej reformy rolnej; drugi — polityka gospodarcza doprowadziła do tego, że obniżył poziom życia 90% obywateli; trzeci — pozwolił, aby wojskowi sami decydowali o tym, komu będą składali przysięgę (burmistrz Petersburga ma na myśli oddziały, stacjonujące poza terenem Rosji — A.K.) i w ten sposób zwiększył rolę armii, podczas gdy nie należy przyznawać jej funkcji politycznych. Istnieją też błędy czwarty i piąty, których naprawienia Anatol Sobczak ochoczo gotów się podjąć. Jest z zawodu prawnikiem, profesorem prawa, wiele podróżuje po świecie i uchodzi za pretendenta do tronu Rosji.

Politykę Jelcyna krytykuje się też z drugiej strony, którą najtrafniej chyba nazwać obozem konserwatywnym. Kiedy Anatol Sobczak tłumaczy amerykańskiemu dziennikarzowi słabość programu Jelcyna, straszy go zamieszkami, które mogą doprowadzić do władzy albo „czerwonych", tzn. komunistów, albo „brunatnych", czyli nacjonał-socjalistów bądź faszystów. Pozostawmy sumieniu polityków, czy należy grozić koszmarnymi perspektywami. Faktem jest, że skrajne ugrupowania, zażarci komuniści z grupy Niny Andriejewoj i zażarci naziści z „Pamiati", nie cieszą się — być może na razie — wielką popularnością. Zarazem ostatnimi czasy coraz wyraźniej kształtuje się ruch, który stawia sobie za zadanie zjednoczenie „wszystkich rosyjskich patriotów", od komunistów do monarchistów. Ludzie ci lubią też nazywać się państwowcami. Państwo, które mają na myśli, to rosyjskie imperium w dowolnej postaci: od Związku Sowieckiego do monarchii absolutnej. Poglądy „patriotów" propagują usilnie stare i nowe gazety i pisma: *Prawda, Sowieckaja Rossija, Dień* i inne. Na szczególną uwagę zasługuje *Dień*, który ukazuje się od stosunkowo niedawna. Jego naczelny redaktor, Aleksander Prochanow, jest autorem powieści politycznych, w których opiewał bohaterstwo sowieckich żołnierzy w Afganistanie, Kambodży, Angoli, Nikaragui. Wiele lat temu analizowałem twórczość Prochanowa i pisałem, że jest autorem „sowieckich powieści kolonialnych", sowieckim Kiplingiem (bez talentu), sławiącym „czasy człowieka sowieckiego", niosącego ludzkości idee komunizmu. Te same idee propaguje w *Dniu*.

Ruch „patriotów" czyli „państwowców" jest ciekawy nie tylko z uwagi na swój program, ale i ze względu na swoją bazę finansową.

Wszystkie główne organy prasowe „patriotów" finansuje wprost albo pośrednio firma „Zawidija". Andriej Fiodorowicz Zawidija przedstawia się skromnie: jestem komunistą i milionerem. W 1991 r. podczas wyborów prezydenta Rosji kandydował na stanowisko wiceprezydenta w drużynie kandydata na prezydenta Władimira Żyrynowskiego (rosyjski Tymiński). Po porażce, która była zwycięstwem, bo tandem Żyrynowski-Zawidija zajął trzecie miejsce i zebrał ok. 7 milionów głosów, Andriej Fiodorowicz udzielił wywiadu swojej gazecie *Dień*. Trzydziestodziewięcioletni komunista i milioner oświadczył, że pragnie zostać prezydentem Związku. Jego wypowiedź charakteryzuje go dość jasno: „Mam dość tego spektaklu, w którym na scenie politycznej starzy intryganci bezwstydnie walczą o władzę, spychając społeczeństwo w przepaść"; „Rządzeniem powinni zająć się nowi ludzie — młodzi, energiczni, odpowiedzialni za los ludzi... Są wśród nich giganci"; „Czy Gorbaczow albo Jelcyn może nauczyć choćby jednego prostego człowieka, jak odnieść sukces? Ja mogę tej sztuki nauczyć każdego"; „Dziesiątki wielkich zachodnich biznesmenów mówiło mi: jeśli pan zostanie prezydentem, setki miliardów dolarów spłyną do waszego kraju, konkretnie dla was". Program Zawidija wyłożony jest lakonicznie: „Nie będziemy unikać okrutnych posunięć, zwłaszcza w pierwszym okresie" (*Dień* nr 21, 1991). Dodam, że pamiętna wszystkim gazeta *Prawda*, obecnie w opozycji, jest blisko związana z Andriejem Zawidiją.

Jeden z ideologów „patriotów", filozof (tzn. specjalista od marksizmu-leninizmu), deputowany ludowy i przywódca grupy deputowanych „Rossija" Siergiej Baburin, tłumaczy teoretycznie, dlaczego ideologia „państwowców" musi zwyciężyć: w kraju brak bazy społecznej dla sił centrowych. Siergiej Baburin ma na myśli demokrację. „W społeczeństwie — tłumaczy — niesłychanie wzrosło przekonanie, że nie wyjdziemy z kryzysu poprzez przedstawicielskie organy władzy, tj. ludowładztwo... A skoro istnieje potrzeba silnej ręki, to znaczy, że w najbliższej przyszłości zacznie się bezprecedensowy proces wzmacniania władzy wykonawczej" (*Dień* nr 22, 1991).

Analiza Siergieja Baburina dotyczyła ostatnich dni władzy Gorbaczowa i pierwszych miesięcy władzy Jelcyna. Trzeba przyznać, że autor trafnie odczytał kierunek rozwoju. Powstaje pytanie: na kim może się oprzeć silna władza wykonawcza, jeśli jej organy dopiero się kształtują? Odpowiedź jest znana: na wojsku i KGB. Jest to odpowiedź banalna, ale słuszna. Widać już dziś, że rosyjska władza stara się zachować armię jako „wysoki konsolidujący zaczyn" (*Prawda* z 20. 1. 1992). O działalności KGB w ostatnich czasach opowiada Wadim Bakatin, niedawny przewodniczący „organów", który podał się do dymisji, kiedy *Prawda* 21. 1. 1992 oskarżyła go — praktycznie — o zdradę: chodziło o przekazanie amerykańskiemu ambasadorowi w Moskwie schematu rozmieszczenia aparatury podsłuchowej w nowym gmachu ambasady amerykańskiej na Krasnoj Presni. W wywiadzie dla *Komsomolskiej Prawdy* i gazety *Ściśle tajne* Bakatin tłumaczy, że KGB udało się wysadzić go z siodła przewodniczącego, bo starał się zreformować „organy". Były przewodniczący dodaje, że opinia, jakoby KGB stracił na znaczeniu, jest śmieszna. Wspomina m.in. wpływy KGB w tzw. prasie demokratycznej.

Pytania oczywiście pozostają. Pierwsze z nich brzmi: komu zechcą służyć KGB i armia? Borysowi Jelcynowi czy komuś innemu? Skąd pojawi się ten inny?

Po wszystkim, co przeczytałem, nie zdziwiła mnie wiadomość, że zmniejszono racje żywności dla kosmonautów, którzy wciąż jeszcze gdzieś krążą nad byłym Związkiem Sowieckim. Nic w tym dziwnego: na ziemi dzieje się tyle, że nikomu nie chce się nawet pomyśleć o kosmosie. Tym bardziej, że — jak tłumaczy na tytułowej stronie *Prawda* — „jesteśmy optymistami: będzie jeszcze gorzej".

4. 2. 1992

Adam KRUCZEK

Kronika litewska, białoruska i ukraińska

W dniach 14-15 i 21 grudnia odbył się III Zjazd Sajudisu. Podjęto decyzję, iż członkami Sajudisu nie mogą być osoby należące do Litewskiej Demokratycznej Partii Pracy (komuniści Brazauskasa) oraz byli współpracownicy KGB, członkowie dawnych kierownictw Komunistycznej Partii Litwy i KP Związku Sowieckiego stopnia rejonowego, miejskiego i republikańskiego. W ten sposób poza Sajudisem powinna się znaleźć większość jego twórców. Wprowadzono formalne członkostwo Ruchu, co oznacza, iż Sajudis przekształcił się w praktyce w partię polityczną. Vytautas Landsbergis został wybrany honorowym przewodniczącym Ruchu.

Zjazd potępił i odciął się od tych posłów Sajudisu, którzy przyłączyli się do liberalnego klubu parlamentarnego (eks-komuniści) i do klubu centrowego Sajudisu (socjaldemokraci i kolaboranci). Oba kluby występują razem z klubem lewicy (komuniści z LDDP A. Brazauskasa) przeciwko przewodniczącemu Rady Najwyższej V. Landsbergisowi i premierowi G. Vagnoriusowi.

Sajudis odciął się nie tylko od byłej premier K. Prunskiene (eks-komunistka), A. Juozatisa (ideolog Forum Przyszłości Litwy — LAF, rodzaju frontu ludowego Brazauskasa, Prunskiene i liberałów) oraz redaktora dawnego organu Ruchu, *Respubliki*, V. Tomkusa. Zjazd wyraził votum nieufności posłom socjaldemokratycznym z Wil-

na i Kłajpedy oraz liberałom, zarzucając wymienionym orientację prokomunistyczną i działalność destruktywną.

Zjazd przyjął także uchwałę o przywróceniu instytucji prezydenta państwa, nie potrafiono jednak uzgodnić trybu jego wyboru. Sajudis stał się więc organizacją bardziej jednorodną i zapleczem politycznym dla V. Landsbergisa.

W sprawie przyszłości okręgu królewieckiego zabrał głos R. Ozolas (nacjonałkomunista), który zaproponował, by obszar ten ogłosił niepodległość i przystąpił do Federacji Bałtyckiej razem z Litwą, Łotwą i Estonią. Tautininkowie (litewscy endecy) określili uznanie przez Litwę przynależności okręgu królewieckiego do Rosji jako „zdradę narodową". W organie Sajudisu kowieńskiego zaproponowano powiązanie okręgu z Litwą i Niemcami oraz jego systematyczną kolonizację przez Litwinów.

8 stycznia zwolniono na Litwie ceny na produkty rolnicze z wyjątkiem mleka.

Ministrowie obrony narodowej Litwy i RFN, Butkevicius i Stoltenberg, podpisali umowę o pomocy Bundeswehry przy formowaniu armii litewskiej (23 stycznia 1992).

W grudniu odbudowano tory kolejowe łączące litewską stację w Szesztokai z granicą polską; linia ta połączy Kowno i Wilno z Suwałkami. Tory po polskiej stronie granicy nie zostały po wojnie zdemontowane, jak uczyniono to po stronie litewskiej w 1946 roku, po odejściu ostatnich transportów repatriacyjnych.

W dniach 14-15 grudnia 1991 roku odbył się w Wilnie Zjazd Związku Polaków na Litwie. Jan Sienkiewicz ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Związku, a na jego miejsce wybrano Jana Mincewicza. Znacznie wzmocniło swą pozycję w Związku dawne skrzydło prosowieckie, gdyż do zarządu wybrano m.in. Aniceta Brodawskiego, byłego przewodniczącego Sowietu wileńskiego, który jeszcze w sierpniu 1991 roku szukał protekcji w Moskwie i Jana Ciechanowicza, wykładowcę komunizmu naukowego i przewodniczącego Polskiej Partii Praw Człowieka, który lansował utworzenie z terenów zamieszkałych przez Polaków na Litwie i Białorusi Polskiej Republiki Sowieckiej w składzie ZSSR. Zjazd przyjął jako podstawę do dyskusji z władzami litewskimi nowy projekt statusu okręgu autonomicznego; zrezygnowano z własnego sejmu i prokuratury.

13 stycznia Polska i Litwa podpisały „Deklarację o przyjaznych stosunkach i dobrosąsiedzkiej współpracy". Postanowiono w niej, że: „Obie strony dążyć będą do stworzenia mniejszościom polskiej na Litwie i litewskiej w Polsce możliwości pełnego zaspokojenia potrzeb językowych, kulturalnych, religijnych i oświatowych, włącznie z nauką w języku ojczystym, w tym kształcenia osób należących do mniejszości narodowych na wszystkich szczeblach nauczania". Władze litewskie nadal nie chcą jednak zarejestrować polskiego uniwersytetu, który działa nieformalnie (6 wydziałów).

Zobowiązano się też „do stworzenia gwarancji niedyskryminowania ich w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym, a także do umożliwienia im utrzymywania swobodnych kontaktów z drugim krajem". Tymczasem władze litewskie w dalszym ciągu odwlekają wyznaczenie daty nowych wyborów do rozwiązanych samorządów rejonu solecznickiego i wileńskiego.

Dalej czytamy: „Obie strony zobowiązują się wzajemnie do zapewnienia instytucjom i organizacjom mniejszości narodowych prawa do ubiegania się o dobrowolne dotacje oraz o pomoc. Oba państwa sprzyjać będą wymianie specjalistów w dziedzinie kultury, nauki i oświaty". Tymczasem wiceprezydent B. Kuzmickas stwierdził: „nie chcemy importu profesorów z Polski".

„Rzeczpospolita Polska i Republika Litewska zagwarantują prawo używania przez osoby należące do mniejszości narodowych ich imion i nazwisk w brzmieniu i pisowni języka ojczystego, zgodnie z dokumentami przyjętymi przez KBWE.

Zgodnie ze standardami międzynarodowymi, strony powstrzymają się od działań, które prowadziłyby do zmian narodowościowych na obszarach zamieszkałych przez mniejszości narodowe".

●

Zianon Paźniak na grudniowym sejmie Frontu Ludowego „Adradżennie" stwierdził, iż Białoruś powinna przyłączyć się do Europy. Ratyfikacja umowy o powołaniu Wspólnoty Niepodległych Państw była konieczna, gdyż tylko w ten sposób można było przekreślić umowę z 1922 roku i faktycznie zlikwidować ZSSR i jego organy. Był to jednak tylko pierwszy etap, gdyż „zawsze powinniśmy pamiętać czym jest Rosja... (i)... nigdy, w żadnych okolicznościach nie powinniśmy wstępować z Rosją w jakiekolwiek umowy polityczne, w żadne związki polityczne".

Na grudniowym sejmie Frontu zdecydowano w drodze referendum zmusić do dymisji rząd Kebicza oraz przewodniczącego Sowietu Szuszkiewicza do ustąpienia i rozpisania nowych wyborów parlamentarnych. Aby przeprowadzić referendum należy najpierw zebrać 350 tysięcy podpisów. Zdaniem Uładzimira Anculewicza, koordynatora grupy inicjatywnej d/s referendum, wymagana liczba podpisów zostanie zebrana w ciągu niecałych dwu miesięcy, tj. na początku marca br. Grupa posłów Frontu ma zaprzestać współpracy z Sowietem i zdystansować się od niego. Gdyby Sowiet Najwyższy Białorusi uniemożliwił przeprowadzenie referendum, zdaniem przewodniczącego Frontu Paźniaka, „Adradżennie" i opozycja uzyskają prawo moralne i polityczne do tworzenia paralelnych organów władzy państwowej. Front proponuje by wybrać 80 posłów w jednomandatowych okręgach liczących po 100 tys. wyborców oraz dalszych 80 w głosowaniu na listy partii politycznych, organizacji społecznych i grup obywateli.

Wszystkie partie polityczne związane z Frontem, z wyjątkiem Białoruskiej Hromady Socjal-Demokratycznej, poparły ideę referen-

dum. Hromada zajęła stanowisko dwuznaczne, po czym kierownictwo partii podjęło decyzję o stworzeniu bloku społeczno-politycznego „Nowaja Biełaruś", który miałby zjednoczyć wszystkie siły demokratyczne w Republice na gruncie obrony jej suwerenności i wypracować „realny" program wyjścia z kryzysu (18 stycznia 1992). Idea ta znalazła poparcie w kołach rządowych, np. ze strony ministra spraw zagranicznych Piotra Krauczanka i wśród tzw. postępowej części byłych komunistów, którzy otrzymają teraz możliwość wyjścia na scenę polityczną w demokratycznym przebraniu. Utworzenie drugiego centrum politycznego obok Frontu oznacza w praktyce rozłam w „Adradżenniu". Można założyć, iż utworzenie bloku „Nowa Białoruś" stworzy polityczne zaplecze dla zwolennika orientacji promoskiewskiej, przewodniczącego Sowietu, Szuszkiewicza. Jest to także znak, iż władze rozumieją, że dłużej nie będą mogły odwlekać wyborów, więc same podjęły przygotowania do nich, a po zawieszeniu kompartii nie dysponowały dotąd żadną organizacją polityczną. Socjaldemokraci byli indywidualnie członkami Frontu, można się więc spodziewać, iż w wyniku konfliktu i odejścia z „Adradżennia", będzie ono ewoluowało w prawo.

W końcu ub. roku inflacja na Białorusi wynosiła 20% dziennie.

Minister spraw zagranicznych Białorusi Piotr Krauczanka powiadomił, iż w szybkim czasie zostaną otwarte ambasady Białorusi w RFN, Polsce, Belgii, USA, Izraelu, Szwecji i Korei.

●

Sowiet Ukrainy ratyfikując umowę mińską zaopatrzył ją w wyjaśnienie, zgodnie z którym Ukraina odmawia Wspólnocie Niezależnych Państw prawa do przekształcenia się w twór państwowy z własnymi organami władzy, nadania jej statusu podmiotu prawa międzynarodowego, a jej ciała koordynacyjne nie mogą mieć charakteru władczego. Ukraina stworzy własną armię, zaś stacjonowanie na jej terytorium sił strategicznych WNP jest tymczasowe.

W czasie pobytu delegacji Ruchu w Wilnie (13 stycznia 1992) D. Pawłyczko stwierdził, iż Wspólnota Niepodległych Państw traktowana jest przez Ukrainę jedynie jako „etap przejściowy". Przewodniczący Ruchu I. Dracz zaproponował Litwie utworzenie Wspólnoty Bałtycko-Czarnomorskiej w składzie: Estonia, Łotwa, Litwa, Białoruś i Ukraina oraz te państwa środkowoeuropejskie, które zechcą do niej przystąpić.

Ukraińska Partia Republikańska oświadczyła, iż dalsze przebywanie Ukrainy w składzie Wspólnoty Niepodległych Państw uważa za niemożliwe z powodu antyukraińskiej histerii w Moskwie (15.01.92).

Prezydent Leonid Krawczuk stwierdził, że WNP mogłaby rozszerzyć się o niektóre państwa środkowoeuropejskie, np. „Bułgaria mogłaby przyłączyć się do niej natychmiast" (9.12.91).

Długotrwały konflikt o flotę czarnomorską, której w całości domagała się Rosja, zakończył się kompromisem; ta część floty, która nie jest wyposażona w broń strategiczno-nuklearną, przypadnie Ukrainie.

Sowiet Rosji skierował do komisji prawnej prośbę o rozpatrzenie czy decyzja przekazania Ukrainie Krymu w 1954 roku była zgodna z ówczesną konstytucją.

L. Krawczuk w telewizyjnym wystąpieniu bronił prawa Ukrainy do własnej armii, zarzucił Rosji łamanie umów i powołując się na Lenina skrytykował rosyjski imperializm (14.01.1992). Sukces nacjonałbolszewików sięgnął szczytu. Ukraińska Partia Republikańska zaproponowała utworzenie rządu zaufania narodowego na czele z prezydentem Krawczukiem (27.12.91). I. Dracz zapewnił, że Ruch i inne siły demokratyczne powinny zjednoczyć się wokół prezydenta Krawczuka i razem budować niepodległą Ukrainę (24.12.91). Poparcia Krawczukowi, „o ile będzie on realizował swój program", udzielili w imieniu Partii Demokratycznego Odrodzenia Ukrainy (komuniści-reformiści) jej przywódcy O. Jemieć i W. Fiłenko. I. Juchnowski (PDOU) ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Rady Ludowej, jak nazywa się klub opozycji w Sowiecie Ukrainy. Sama Rada ulega rozpadowi, gdyż dawna opozycja przechodzi na stronę Krawczuka, który jej zdaniem buduje ukraińską państwowość, a więc należy go popierać w myśl hasła „państwo za każdą cenę". Tymczasem Krawczuk nie przewiduje nowych wyborów parlamentarnych, gdyż jego zdaniem obecny komunistyczny Sowiet powinien dokończyć reformowania państwa, zaś o obietnicach powołania rządu koalicyjnego prezydent po prostu zapomniał.

Wydaje się, że część Ruchu i PDOU, czyli różne odcienie komunistów-reformatorów, przekształcą się w blok prezydencki przy co najmniej cichym poparciu UPR i w konsekwencji opozycja na Ukrainie przestanie istnieć.

Mają zostać usunięci komendanci okręgów wojskowych: kijowskiego, odeskiego i floty czarnomorskiej, którzy odmówili podporządkowania się Ukrainie. Od 3 stycznia Ukraina formalnie przejęła jurysdykcję nad jednostkami Armii Sowieckiej stacjonującymi na jej terenie; od 5 stycznia żołnierze i oficerowie zobowiązani są do złożenia przysięgi „na wierność ludowi Ukrainy". Do 19 stycznia przysięgę złożyło w okręgu kijowskim 90% składu osobowego, w karpackim — 80%, w odeskim — 70%. Gwardia Republikańska i Wojska Pograniczne złożyły przysięgę w pełnym składzie osobowym. Spośród marynarzy Floty Czarnomorskiej przysięgę złożyło 400 wojskowych, w tym połowa to oficerowie.

W szybkim tempie usuwana jest z Ukrainy do Rosji broń nuklearna; jej taktyczna część ma być wywieziona do połowy br.

W rejonie bołgradzkim 73% wyborców wypowiedziało się w referendum za stworzeniem autonomicznego okręgu narodowego w składzie Ukrainy. Region ten zamieszkały jest przez Bułgarów i Gagauzów.

Przy końcu 1991 roku na Ukrainie istniało już 3500 prywatnych gospodarstw rolnych. Zgodnie z ustawą można ubiegać się o wydzielenie ziemi o powierzchni do 50 ha, ale sabotaż ze strony kierownictw kołchozów często uniemożliwia realizację ustawy.

Poza Galicją język polski wykładany jest już w 70-ciu szkołach na terenie Ukrainy.

Józef DARSKI

PRENUMERATY „KULTURY" i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH" W POLSCE

Od 1 stycznia 1992 r. krajowe wydania KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH można zamawiać w prenumeracie w Oficynie Wydawniczej PoMOST (ul. Żwirki i Wigury 51/19; 02-091 WARSZAWA; tel. (0-22) 23 57 16).

Cena prenumeraty KULTURY za rok 1992 wynosi obecnie 125.000 zł (wraz z przesyłką). **Wydanie krajowe KULTURY może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.**

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Oficyna Wydawnicza PoMOST
WARSZAWSKI BANK ZACHODNI S.A.
N° 469995-202-136
z zaznaczeniem: prenumerata KULTURY.

Cena prenumeraty ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH wynosi: za dwa numery kwartalnika 97/1991 i 98/1991 zł 30.000 (wraz z przesyłką); za cztery numery, które ukażą się w 1992 roku zł 80.000 (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na WYŻEJ WYMIENIONE KONTO z zaznaczeniem: prenumerata ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Wydanie krajowe ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH może być sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Każdy prenumerator krajowego wydania KULTURY czy ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH otrzyma w pierwszej przesyłce w prezencie tom 466 „Biblioteki KULTURY" — „Dziwna wojna" Jakuba Karpińskiego.

Kronika kulturalna

W oprawie nieokreślonej całości

Dominique Ingres kochał grę na skrzypcach i bynajmniej nie był amatorem. Grywał w tuluskiej orkiestrze już we wczesnej młodości, jako drugie skrzypce. Zostało po tym znane powiedzenie. Był okres, kiedy malarstwo Ingresa zapadło w niepamięć, ale jakieś dwadzieścia lat temu znowu zaczęto się interesować jego talentem, uporem w uprawianiu pewnego zamkniętego stylu. W tej idealizacji form krągłych, ondulowanych, jest coś z dalekowschodniej kaligrafii. Wyczuwali to nawet współcześni. Krytyk Théophile Silvestre, zdecydowanie nieprzychylny artyście, pisał w „*L'apothéose de M. Ingres*", w związku z „Odaliską": to tak, jakby „malarz chiński spadł nagle między ruiny Aten, w samym środku XIX wieku". Potem jednak na Ingresa powoływał się sam Dégas, nie byłoby bez Ingresa Toulouse-Lautrec'a i Matisse'a. To nie był jakiś akademik, ów autor „Wielkiej odaliski" — osobowość zbijająca z tropu i złożona, a jego przywiązanie do konkretnego przedmiotu zaskarbiło mu sympatię pisarzy z grupy *Nouveau Roman*.

W muzeum jego, w Montauban, oglądałem te przysłowiowe skrzypce na starym fotelu, na drugim fotelu umieszczono paletę. Gdy Ingres sprawował urząd dyrektora filii Akademii w Rzymie, odwiedził go Stendhal i wyraził w rozmowie zdanie, że Beethovenowi brak melodyjności. Malarz wskazał gościa odźwiernemu i zapowiedział, żeby pana Henri Beyle'a nie wpuszczać tu nigdy więcej. Mistrz jego, David, (któremu zresztą przeciwstawiał się, nie uznając jego doktryny, tzw. *beau idéal*) okazywał w tej dziedzinie jeszcze więcej wrażliwości. Można było dowolnie krytykować jego malarstwo, ale wściekał się, gdy ktoś źle się wyraził o jego grze na skrzypcach. Ale to skrzypce Ingresa, paradoksalnie, a nie Davida, zrobiły karierę w słowniku frazeologicznym.

Le violon d'Ingres! Niech to będzie motto mego szkicu o wielostronnych zainteresowaniach twórczych.

I u nas był malarz z Bożej łaski, Wojciech Weiss, również z paletą i skrzypcami. Ten instrument zabierał wiele miejsca w pracowitym żywocie Weissa. Syn, Stanisław, jest zdania, że „cudowna gra ojca była tym samym, co malowanie obrazów, tylko przy pomocy pędzla, i że kto chce to malarstwo pojąć, nie może być głuchym na muzykę". Zdawałoby się, że muzyka nie jest kluczem do tego urzekającego pod każdym względem, pełnowymiarowego malarstwa. Chociaż kto wie? Niektóre pejzaże, te z Kalwarii Zebrzydowskiej na przykład, powłóczyste i z pewnym przebijającym od wewnątrz srebrzystym tonem — można dołączyć do strefy skrzypiec. „Świat form, kolorów, dźwięków była dla mego ojca integralną jednością i syntezą harmonii, która tkwiła w nim samym". To twierdzenie Stanisława Weissa najlepiej pasuje do zamiarów, z jakimi noszę się w tym szkicu.

Pewnych przykładów lepiej nie tykać. Od olśniewającej polifonii talentów Leonarda, Michała Anioła, Brunelleschiego, Albertiego, Rafaela lepiej się odsunąć na dystans: tego wielostronnego zjawiska współczesny człowiek nie jest w stanie zrozumieć, bo mu w tym przeszkadza skaza specjalizacji. Odrodzenie wytworzyło ideał człowieka wszechstronnie czynnego. Ciekawość ludzka, niespożyta siła, zaczęła wtedy chłonąć pożywki ze wszystkich stron. Zajęto się gorliwie usuwaniem Boga z przestrzeni, którą dotąd szczelnie wypełniał, bo człowiekowi nawet z Bogiem było za ciasno. Da Vinci współpracował z anatomem Marcantanio della Torre, aby nauczyć się tego, czego potrzebował do swoich studiów figuralnych i psychologicznych. Interesował się wszechstronnie technologią, sam był hydraulikiem, aeromechanikiem i konstruktorem. Bez wahania można rzec, że Renesans wyprzedził nas w dzisiejszej tendencji do jawnego łączenia sztuki z nauką i techniką. Ówczesnym ludziom najwyraźniej brakowało zarówno greckiej skłonności do wynoszenia czystej myśli ponad rzemiosło (czyli technikę), jak i naszej fatalnej tendencji do gloryfikowania wiedzy specjalistycznej.

Dlaczego w ogóle wdałem się w tę analogię twórczości hybrydycznej? Już mi kiedyś postawiono to pytanie, gdy tekst ten służył za podstawę odczytu. Po raz drugi nie chciałbym dać się zaskoczyć. Do czego te przykłady zmierzają? — zapytano wtedy, a nie wypadało odpowiedzieć po prostu, że sprawiają przyjemność. Więc narzuciłem sobie pożyteczny przymus — ekstrahowanie głębszego sensu z przypadku „skrzypiec pana Ingresa". Robię to w marszu, niejasno widząc horyzont. Ale duch ludzki jest z natury wielowymiarowy. Ze wszech stron syci się

skojarzeniami i przegląda się w wielobocznym lustrze mnóstwa odniesień. Przerabia to w sobie w delikatną a mocną strukturę pojęciową. Tej tendencji umysłu do funkcjonowania wieloma punktami jednej organicznej całości należałoby strzec jak oka w głowie, a nie wpychać w pułapkę autoredukcji. Bo co z tym zrobiliśmy najlepszego? Wymieniliśmy wielowymiarowość na etos specjalizacji, który nazywam pułapką. Jest on naśladowaniem życia mrówek czy pszczół. Predyspozycje ludzkie są inne. Człowiek jest w mniejszym stopniu produktem genów, co tworem kultury, a raczej wielu miejscowych kultur, jest istotą empiryczną, o dynamicznej potrzebie samokształtowania i znajdywania wciąż nowych środków wyrazu. Nie wiem, jak to zrobić, ale chciałbym agitować na rzecz mentalności poligloty. Czy człowiek mówiący jednym językiem może — pod względem różnorodności doświadczeń — równać się z poliglotą, komunikującym się ze światem na kilka sposobów? Nie zapuszczam się na obcy mi teren filozofii języka, to tylko metafora, ale jaka płodna!

Wśród językoznawców są moraliści, jak Noam Chomsky, jak George Steiner, którzy kładą nacisk na przyrodzone człowiekowi zdolności transformacyjne, na istnienie między ludźmi „więzi powszechnej gramatyki", dzięki czemu Conrad, Nabokov, Beckett i inni umieli przezwyciężyć rozmaite odmiany wygnania z własnego języka i przyswoić sobie nowe. Steiner wymienia liczne powody, które każą mu obawiać się nowej Wieży Babel i popierać człowieka wielojęzycznego — na drodze do pełnego uniwersalizmu. Twórca wielostronny to rodzaj poligloty. Polimorficzna twórczość jednego człowieka wydaje się dziś do tego stopnia intrygująca, że aż nienaturalna. Ale to my staliśmy się nienaturalni, utraciwszy swoją tożsamość uniwersalną. Wybraliśmy rodzaj twórczej monogamii: całe życie z jedną formą! Tak się przedstawia moje założenie, pełne nad wyraz dyskusyjnych treści. O to zresztą chodzi. Utrata wiary w dyskusję jest częściowo utratą wiary w sens samego życia.

William Blake to, naturalnie, klasyk w tej sferze. Jest faworytem Miłosza: „Nazwisko Blake'a pojawia się pod piórem spadkobiercy polskich romantyków, Stanisława Brzozowskiego, który chyba samą tylko intuicją uchwycił istotę powołania Blake'a, jego e n e r g i ę". Miłosz i Herbert to dwaj poeci, którzy mają dużo do powiedzenia o sztukach pięknych. Ale nie mogę sobie przypomnieć czy Miłosz szerzej pisał o grafice i malarstwie Blake'a. Był on geniuszem wyizolowanym, a jego wpływ szedł pionowo, w głąb a nie wszerz. Karmił się dziełami Swedenborga, miewał wizje, precyzyjne i konkretne, jak zapewniał, komunikował się z istotami nadprzyrodzonymi, pisał i rysował pod ich dyktando. Sekretna potężna interwencja, niemal poufała obecność w nim

Nadprzyrodzonego — dawała dziełu temu nigdzie niespotykaną, jakby konwulsyjną siłę wyrazu. Ilekroć o Blake'u myślę, posługując się swoimi całkowicie świeckimi kategoriami, wpadam w nastrój zadziwienia.

Wszystko świadczy, że żył tylko tym, co tworzył. Pewien wpływ na technikę jego rysowania wywarł znakomity rysownik, antykizujący rzeźbiarz Flaxman. Z drugiej strony także Füssli, podziałały też reprodukcje dzieł Michała Anioła. Od niego pewnie wziął przesadną muskulaturę swoich nagich mężczyzn. Bywał w młodości w Westminster Abbey, w innych gotyckich świątyniach, gdzie studiował rzeźbę średniowieczną; stamtąd wywodzi się częściowo sztywna stylizacja udrapowań. W obrazach Blake'a brak cieni, nie ma tradycyjnej perspektywy przestrzennej. Faktura szeroka, silne barwy i burzliwa ekspresja. W 1788 duch jego brata, Roberta, objawił mu sposób na opublikowanie tego, co stworzył. Grawerował najpierw tekst i rysunki, po czym pokrywał je farbami. Rzecz niepowtarzalna — książka pisana, drukowana i ilustrowana przez tego samego człowieka. Tekst i ilustracje przystają harmonijnie do siebie, na podobieństwo iluminowanych manuskryptów średniowiecznych. Wynalazł szyfr, własny słownik, „gramatykę symbolów". Ilustrował Biblię, Miltona, Szekspira i „Boską Komedię", tej już nie skończył. Przepiękne są akwarele do własnych poematów, „Songs of Innocence" i „Songs of Experience", zaliczanych do arcydzieł angielskiej liryki. Większość specyficznych dla Blake'a deformacji, wydłużenie ciał, skręt korpusu, oznacza ruch, który nie został przerwany, figurę jeszcze nie zakończoną. Z patosem deformowany rysunek był rezultatem woli wyrażenia spraw niewyrażalnych. Może to w tym dziele najistotniejsze, o tym myśleli Brzozowski i Miłosz wymieniając energię jako czynnik u Blake'a decydujący. Formy widzialne miały dla niego drugi ukryty sens; nie pojmie się go w ogóle bez pewnego rodzaju filozoficznej inicjacji. „Tylko jedna cecha czyni człowieka poetą: wyobraźnia, boska wizja" — pisał. Szkoły nie zostawił, ale nie był w chwili śmierci zupełnie sam, weszli w jego ślady, w ograniczonym zakresie, Calvert inspirujący się Biblią i Palmer, autor akwafort i akwarel.

Miłosz napisał: „Podobnie jak u millenarystów francuskich i polskich, bieżąca polityka i religia związane są w jego malarstwie i poezji w jeden węzeł". Ale jak zrozumieć zdanie Miłosza o „wrogim stosunku Blake'a do Natury, która jawi mu się jak katastrofa poprzedzająca akt stworzenia"? Oto, co Blake pisał w liście z 23 sierpnia 1799 do wielebnego Johna Trustera:

„Drzewo, które pewnym osobom wyciska łzy z oczu, dla innych jest tylko przedmiotem zagradzającym drogę. W oczach niektórych ludzi natura jest czymś śmiesznym i bezforemnym, ale

ja swoich proporcji nie będę układał według tego punktu widzenia; są i tacy, którzy natury prawie nie dostrzegają. Jednak w oczach człowieka przepełnionego wyobraźnią natura jest zgodna z jego wyobraźnią. Człowiek widzi zależnie od tego, kim jest. Potęga oka jest funkcją wykształcenia oka. Ksiądz myli się zepewne twierdząc, że w tym świecie nie można doznawać wizji fantastycznych. Dla mnie cały ten świat jest jedną ciągłą wizją poczętą z marzeń i wyobraźni".

(przekład mój — Z.F.)

Z czasów nam znacznie bliższych — mało kto zna interesujący przypadek, jakim był Litwin Mykolas Konstantas Čiurlionis, urodzony w 1875 w Druskiennikach (które tak dobrze pamiętam). Był Litwinem w znaczeniu obowiązującym w końcu tamtego wieku, więc wykształconym na polskiej substancji kulturalnej. Gdyby do zajęć muzycznych i malarskich dorzucił literackie, prawdopodobnie pisałby po polsku. Druskienniki leżą wśród lasów sosnowych, nad Niemnem, przy ujściu Rotniczanki. W tutejszych borach pełno pamiątek roku 1863, kiedyś ludność pokazywała tzw. Tryby Kozackie, długie i szerokie przesieki rąbane na rozkaz Murawiewa i obstawiane kozakami, by powstańcy nie mogli się ze sobą komunikować. Wioskowi ludzie pokazywali przed wojną, gdzie chadzał straszny Narbutas (Ludwik Narbutt), gdzie Wawer, gdzie Lenkiewicz i inni. Przez most nad Niemnem pod Druskiennikami przerwali się we wrześniu 1920 żołnierze Piłsudskiego. On sam fotografował się niezliczoną ilość razy w tej okolicy i przed swoją drewnianą willą. Opowiadał mi stary kelner, pan Gołębiowski, który tam kiedyś pracował, jak to razu pewnego nad ranem adiutanci nie znaleźli Marszałka w domu. Na próżno szukano wszędzie. Popłoch! Pod wieczór pojawił się i gniewał, że tyle się robi hałasu. — Co to, czy już nie mogę oddalić się na parę godzin? Wziąłem łódkę i popłynąłem na m o j ą Litwę. — Z takiej ziemi pochodził najdziwniejszy artysta, Čiurlionis. Tamta dygresja (której nie mogłem się oprzeć), jest tylko dygresją, bez aluzji. Nic mi nie wiadomo o politycznych zapatrywaniach Čiurlionisa.

Najpierw zdobył wykształcenie muzyczne, w Warszawie i w Lipsku, dzięki wsparciu księcia Michała Ogińskiego. Mając lat 27, więc późno, zabrał się do studiowania malarstwa w Warszawie, w klasie rysunkowej Kauzika, a potem w Szkole Sztuk Pięknych kierowanej przez S. Stabrowskiego. To nie znaczy, że rzucił muzykę dla malarstwa. Być może odczuł wtedy potrzebę uzupełnienia siebie samego. Jeżeli źródło energii, którą się nazywa koniecznością wypowiedzi, jest u podłoża jedno i to samo — zanim przebije poszczególne kanały na zewnątrz — to niewykluczone, że Čiurlionis ujrzał jakieś niedostatki swej twórczej

potencji i w drodze procesów kompensacyjnych, o których nic ścisłego nie wiemy, w wyniku wyrównywania jakichś rachunków — dobrał sobie do muzyki drugiego partnera, malarstwo. W wieku 36 lat umiera w podwarszawskiej klinice dr. Olechnowicza. Grób na wileńskiej Rossie. Aleksy Rannit w „Abstrakte Kunst" dowodził, że nie Kandinsky a Čiurlionis był pierwszym abstrakcjonistą, Romain Rolland zamierzał pisać o nim książkę. Co nie przeszkodziło autorom najbardziej renomowanych słowników malarstwa nowoczesnego, jak Seuphor, jak Michel Laclotte (odpowiedzialny za „Petit Larousse de la Peinture" 1979) nie dostrzegać tego nazwiska. Słyszał on w sobie — tak to chyba można zrekonstruować — wielkie muzyczne napięcia, skomplikowane utwory orkiestrowe, z czego pragnął zdać sobie i innym sprawę, ale rozumował (wyczuwał), że te formy dźwiękowe potencjalnie istnieją także w domenie plastyki. Interesował go świat w postaci ogromniejszej niż Ziemia, co powodowało niezmierne trudności malarskie: jak te echa kosmogoniczne pomieścić w partyturze olejno wykonanej, na płótnie?

Malarz i krytyk Jacek A. Zieliński próbował określić zadania stawiane sobie przez Čiurlionisa: — W obrazach takich, jak „Sonata Gwiazd" lub „Rex" ukazywał zjawisko zakrzywiania się przestrzeni, wzajemnego przenikania jej sfer. — Tak, kto wie, czy matematyka nie była tym czynnikiem, który pomagał mu w powiązaniu jednego z drugim, matematyki jest dużo w muzyce. John Dewey uważał, że tego rodzaju wspólne obszary między różnymi sztukami na pewno istnieją, a cechy jednej sztuki można rozeznać w innych. Dostrzega, na przykład, zgodność między pierwszymi taktami beethovenowskiej „Piątej Symfonii' a szeregowym układem ciężkich plam i brył w „Karciarzach" Cézanne'a, z Luwru. W obu dziełach widzi tę samą moc i solidność — układy dźwiękowe wytwarzają to samo wrażenie, co układy kolorowych plam. Czy fakt, że tych podobieństw, o jakich mówi Amerykanin, nie można dowieść logicznie, w żadnych fizycznych parametrach — umniejsza wagę jego teorii, jego osobistego doświadczenia? Nie. Wszystko co sztuki dotyczy pozostaje w sferze subiektywnej, ważnej nieważkości i tak jest doskonale. Nazwisko Čiurlionisa zostało wymienione gdzieś pod kołem biegunowym, w tej wojnie, i to był wzruszający przyczynek do jego wciąż niezałatwionej sprawy. Profesor Stanisław Kościałkowski, człowiek w całym znaczeniu słowa niezwykły, pisał w łagrach notatki, które zwał „Raptularzem". Nie wiem, czy zostały wydane. Jest tam mowa o pogadankach oświatowych organizowanych w łagrze, wbrew surowemu zakazowi wszelkich zebrań, który i po tzw. „amnestii" nie przestał obowiązywać. Wspomina o tym także inny więzień, Bohdan Kawecki: „Wieczorami, po skończonej pracy, zbieraliśmy się w tajemnicy w naszej izbie i przez godzinę, dwie zapominaliśmy o ponurej rzeczywistości (...) Jednego dnia urządziliśmy obchód polsko-litewski ku czci Čiurlionisa, odczyty mieli Profesor Kościałkowski i Litwin Bicunas".

A na tamtym moim odczycie dobrano się do prelegenta z jeszcze innej strony, mniej więcej tak: wszystko to bardzo piękne, modele tej rozgałęziającej się twórczości są godne pozazdroszczenia, tylko co ma z tego dla nas wyniknąć? Predyspozycje do tego typu łącznych uzdolnień albo są w człowieku, albo ich nie ma. Nie można go przecież zaprogramować, jak komputer... Zgoda, odparłem. Niech jednak to poprawne wnioskowanie na tym się nie kończy, proponuję je dalej rozwijać. Potencjalne zdolności można w człowieku pielęgnować, ale nie za pośrednictwem złowrogiej inżynierii genetycznej. Tak urodzajny w talenty Renesans imponuje nam, ale jego zagadkowość nie jest nieprzenikniona. Wolno sądzić, że o jego potędze twórczej rozstrzygał organiczny dla tego okresu humanizm. To znaczy akurat ten człon cywilizacyjny, jakiego nam brakuje. Przypadki genialności zależą od aury i potencji danej kultury, od rodzaju wychowania i wykształcenia, od celów stawianych sobie przez cywilizację. Człowiek ma szansę być autorem swojej genialności, w tym znaczeniu, że może wytworzyć życiodajny dla niej kontekst społeczny. Brakło tego kontekstu w specjalistycznej cywilizacji przemysłowej. Za to cywilizacja post-przemysłowa — która już gdzieniegdzie zaczyna się zbliżać — ze swoimi otwierającymi się zasobami czasu, z rozszerzającym się miejscem do refleksji, rokuje nadzieję. Może to nowa utopia. Były kiedyś bardzo emocjonalne raporty zespołów naukowych składane prezydentowi USA. Jeżeli są szanse, to zależą one od znalezienia sposobu na wykorzystanie czasu. Poprzez oddziaływanie, przede wszystkim na etykę i intelekt — aby odsłoniła się w większej mierze fascynująca moc prawdy, o którą dotąd nie dbano. Ze zrozumiałych względów lepiej dobierać słowa mniej retoryczne. Chodzi o zbudowanie właściwego środowiska, o potrójną straż ekologiczną, moralną, intelektualną, ale także materialną. Tyle zależy od form, jakimi się otacza człowiek. Trzeba, aby to były formy z charakterem i indywidualnością, wzbogacone przez ludzkie obcowanie i ludzki wybór. Tylko tak można pojmować estetykę otoczenia, które będzie się rządzić porządkiem organizacyjnym, a nie kumulacyjnym, z charakterystycznym dla tego ostatniego pośpiechem i kultem liczebności.

Może się uda powrócić do właściwej człowiekowi skali życia. Skali architektury, parametrów socjalnych i przyrodniczych, co zaowocuje innymi stanami ducha. Piękna idea Lewisa Mumforda o Nowym Mieście, sama w sobie żywa i realna, niesie

w sobie obszerniejszą metaforę, całościowy obraz zhumanizowanych aspiracji istnienia, w pewnym sensie powrotu do najżywotniejszego wątku Renesansu.

Już dziś obserwuje się inny rodzaj równowagi w społecznym oddziaływaniu sztuki i poszczególnych sztuk. Amerykański psycholog sztuki, Rudolf Arnheim, pierwszy określił integrującą rolę filmu. Trzeba do tego dodać domową wersję filmu, telewizję. Film działa sumująco i koncentrycznie. Ten nowy gatunek z pogranicza techniki i sztuki, typowo hybrydyczny, urzeczywistnił coraz głośniej reklamowaną integrację sztuk naczelnych, ruchu, dźwięku, obrazu i słowa, więc literatury, malarstwa, muzyki, teatru i tańca. Jako wielowątkowo płynna techno-sztuka może się przyczynić do zainspirowania nowej wielotorowej wrażliwości twórczej. Oczywiście film i telewizja to również bestia o trującym oddechu. Trzeba skalkulować ile czyni zła swoją pop-kulturą z charakterystycznym dla niej infantylizmem. Ale w działaniu filmu dużo jeszcze zostaje tego, co McLuhan — w innym kontekście — zwał „energią hybrydyczną", po której wiele się można spodziewać, na przykład rozwinięcia w człowieku jakiejś bardziej wszechstronnej muzykalności — reagującej na życie w jego najlepszej skali.

Ten sam Rudolf Arnheim, z Sarah Lawrence University, w zakończeniu artykułu o „Formie, jakiej szukamy" (ogłoszonego w *Craft Horizons*, 1961) wyraził rozważną nadzieję: „poszukiwanie idei powinno się toczyć na wielu frontach ludzkich zdolności i rzeczywiście mamy powody uważać, że ludzkie istoty myślą esencjonalnie i coraz skuteczniej (...). Idee przekształcają się metabolicznie w potencjalne układy, które domagają się dostępu do istnienia materialnego; i właśnie ten apel struktur jeszcze nie narodzonych zawiedzie nas do formy, jakiej szukamy".

Używając tylko jednego kanału ekspresji, człowiek czerpie tylko część ze złóż możliwości, zakodowanych prawdopodobnie w jego naturze. Nazwać tego dokładniej nie można, jednak to się wyczuwa w pewnych chwilach, w stanie wzmożonej czujności, kiedy świadomość (by sparafrazować Bergsona) dysponuje tylko pośrednimi danymi. Wyspiański! Z naszego ogrójca to przykład wręcz podręcznikowy. W tym samym stopniu żył poezją, dramatem co malarstwem. Wciąż za granicą nieznany, niedostępny polski idiom nawet teraz jest nie rozszyfrowany, gdy tłumaczy się Witkacego, Schulza, Gombrowicza i wielu współczesnych, kiedy zbierał laury Kantor — dzięki czemu został raz jeszcze sprawdzony obraz tzw. prowincjonalizmu Polski. W 1956 pewien Belg dużej kultury, Maurice Lambilliotte, wydawca i redaktor miesięcznika *Synthèses*, oglądał w moim towarzystwie trzy krakowskie spektakle, „Hamleta", „Dwa teatry" Szaniawskiego i „Wesele". Potem powiedział mi: Tyle widziałem „Hamletów", ten krakowski nie wydaje mi się gorszy — za to olśniony jestem „Weselem" i „Dwoma teatrami"! Zabrał do walizki tekst „Wesela", szukał kontaktu z Szaniawskim w Zegrzynku, prosił o pilne nadesłanie tekstu sztuki. Nieprzewidziana jego śmierć ucięła obiecujący tok tej sprawy.

Oba rodzaje twórczości Wyspiańskiego miały prawie identyczny charakter formalny, choć forma w plastyce i forma w literaturze technicznie nie mogą się pokrywać. W warsztacie Wyspiańskiego, niezbyt skomplikowanym (choć delikatnym) te dwa nurty wyrazu łatwiej niż u innych znajdywały wspólną płaszczyznę. Wers jego krótki, prosty w doborze wyrazów i tylko w swojej warstwie nastrojowej unerwiony i rozbudowany, jakby spiralnie wznoszący się w miarę akcji — dość dobrze odpowiada niewyszukanej, secesyjnie podkręconej kresce pastelowych portretów i widoków z okna. Dramaty i rapsody są kontrapunktem formalnym witraży i polichromii. „Wesele" zostało napisane pastelami. Z natury swojej materialnej pastel jest techniką miękką i minoderyjną, jakby sądzić z upodobania do niej rozmaitych rokokowych Francuzów malujących podobizny osób z towarzystwa, jak choćby Quentin de Latour. Ale taka zredukowana opinia byłaby krzywdą dla tej niesłychanie giętkiej, tłustej kredki. Wbrew etymologii słowa („pasta"), która wskazywałaby na pochodzenie włoskie, pastel, jak się zdaje, był rodem z Francji. W pewnym tekście Leonarda da Vinci widnieje informacja, że technikę pastelową (zwie ją „sposobem kolorowania na sucho") odkrył mu artysta francuski, Jean Perréal, który w 1499 przybył do Mediolanu w świcie Ludwika XII. Nawet u Dégasa czy Toulouse-Lautrec'a, a u nas u Wyczółkowskiego, pastel nie stracił wiele z wrodzonej ozdobności i pogody. Wyspiański zaprzęgł go do ciężkiej roboty. „Wesele", na początku lekki obrazek towarzyskiej uroczystości, ma zewnętrzny strój pastelu, dopiero w głębszej warstwie autor prowadzi do kulminacji narodowej dramy. Jest to więc zasadzka formalna, *suspense*, w czym pastel Wyspiańskiemu przysłużył się doskonale.

„Wyspiański, smutna sztuka, Homer rachityczny" — mówił o nim Wyczółkowski. W tych rzeczach Wyczół był niesłychanie bystry, nieomylny. Istotnie, zdaje się, że generalnym niedostatkiem Wyspiańskiego była jego obojętność na zagadnienie materiału i formy, tak samo w plastyce jak w utworach literackich. U niego o wszystkim decydowała idea — za nią szedł namiętnie, ślepo, z pośpiechem, i czasu mu nie stawało, żeby dopracować formę. Zaczerpnę jeszcze z uwag Wyczółkowskiego: — W mojej działalności malarskiej istniało zawsze zmaganie się ze środkami technicznymi, ażeby doprowadzić do najlepszych rezultatów. Ktoś

postawił mi zarzut: gdybym miał myśli Wyspiańskiego, to bym był najgenialniejszym malarzem Polski. Jeden ma to, drugi ma owo. Dla mnie było rozkoszą zmaganie się z samą formą, a nie to, co miał Wyspiański — literackie pomysły bez walorów formalnych.

To właśnie: dysonanse! — tak silnie wyczuwa się je, w trakcie obcowania z wstrząsającym, jednak, dziełem Wyspiańskiego. Dekorując kościół Mariacki naruszył równowagę ścian, jego secesyjnie stylizowane lilie czy bratki działają na płaszczyznę dywersyjnie. Jako plastyk był fragmentaryczny, wielkie kompozycje nie są często rozstrzygnięte do końca, co powtarza się w jego teatrze. W „Legionie" jest olbrzymie rozpięcie idei, obrazy zatłoczone i źle skomponowane. Jego geniuszowi zabrakło konstrukcji, formy i rzemiosła, nie dbał o zasadę wyrażaną przez André Gide'a: — *L'art vit de contrainte et meurt de liberté*. Sztuka naprawdę żywi się przymusem rozwiązywania trudności, a staje się rachityczna, gdy tego nie podejmuje. Jednak nas tutaj co innego zajmuje: czy oba nurty komunikowały się ze sobą w tym dziele, czy do siebie pasowały — na co trzeba odpowiedzieć twierdząco. Przylegały także do siebie w niedowierzaniu. W witrażach, jak „Święty Franciszek", „Salomea", „Bóg Ojciec" są kapitalne postacie i artysta wyszedł zwycięsko ze wszystkich problemów. Odpowiadają wielkim partiom „Wyzwolenia", tak jak pejzaże z okna i głowy matek i dzieci nastrojem, rzewną tonacją barw łączą się z nutą „Wesela" czy „Warszawianki", czemu patos sceniczny nie przeszkadza. Witraże „Henryk Pobożny", „Kazimierz Wielki", potężne w pomyśle, źle się przystosowują do katedry — i podobnie łamią się zarysy jego wielu dramatów.

Pozostańmy zatem przy Wyczółkowskim. Gdy się zważy jego artystyczny życiorys, to sprawdza się tam hipoteza Lévi-Straussa, że „język to pewien ludzki rozum, który ma swoje racje a człowiek ich w gruncie rzeczy nie zna". Jeżeli założymy, zgodnie z tezą Wölfflina, że „sztuki piękne też mają swój język", choć niektórzy — np. Białostocki — uważają, że to tylko przenośnia, w takim razie uwaga Lévi-Straussa dobrze się zgadza z temperamentem Wyczółkowskiego. Jest on przykładem interesującego *continuum*, utworzonego z kolejnych przeciwieństw. Maluje całe życie w seriach reakcyjnych eksplozji, za każdym razem inaczej niż poprzednio, w końcu r z u c a malarstwo dla grafiki. Zupełnie niesłychana rzecz u malarza tak kompletnego, z takim pikturalnym czuciem, taką muzykalnością w kolorze. Rzuca malarstwo — tak jakby szedł niewolniczo za usamodzielnionym rozumem swego niecierpliwego języka. W pogoni za nowym gatunkiem protein, kierując się własną inteligencją, sztuka Wyczółkowskiego prowadziła go na coraz odleglejsze

pastwiska. Aż doszło do tej zaskakującej decyzji porzucenia barwy na korzyść dwutonowej grafiki. Było to radykalne, po prostu fanatyczne. Cieszył się, jeśli jakiegoś malarza udało mu się nawrócić na swoją nową wiarę, którą traktował jak wieszcze powołanie: — Marzeniem moim jest, żeby te malowidła znikły z sal wystawowych, żeby ściany zawieszone były w y r a z e m c z a r n o - b i a ł y m, w którym myśl plastyczna wypowiadałaby się bez ograniczeń. — Niewiarygodne! Nikt by nie przypuszczał, że i w tej dziedzinie może rozkwitnąć fanatyczny redukcjonizm. Czy taki Wyczółkowski, gdyby mu życia starczyło, nie mógłby dalej ewoluować przerzucając się np. na muzykę? Przypuszczenie ekstrawaganckie, ale możliwości transformacyjne w obrębie rodziny sztuk wydają się nieograniczone.

Nie można w tym przeglądzie pominąć dwójcy ze sobą ciasno sprzężonej: Stanisława Witkiewicza i syna, Stanisława Ignacego. Ojciec był banalnym malarzem, brakło mu siły wyrazu i polotu. Ale pisarz to znakomity i czarujący, o czystym profilu humanisty. U Norwida było podobnie z rozłożeniem energii twórczej i talentów, jego akademickiego rysowania nie można w ogóle porównywać z poezją, choć ta sama ręka ją zapisywała. Tak samo rzeczy się miały u Brunona Schulza, autora naiwnych a czasem wręcz nieudolnych rysunków. Nie ma tych wątpliwości w stosunku do podwójnego czy potrójnego dzieła Witkacego.

Należał do tragicznych twórców niesympatycznych. Żachną się niektórzy na takie postawienie kwestii. Bo cóż ma sympatia albo antypatia do oceny talentu? Po prostu: być sympatycznym czy nie — to ludzka rzecz. Nie żałuję sobie mieszania kryteriów. Człowiek jest kompozycją nieobliczalną jak kakofonia, kaduczną, należy mu przyznać z góry trochę for na jego niezgulstwo, samolubstwo, głupotę czy złośliwość i inne narowy — które nieraz sąsiadują z genialnością. Witkacemu stale przyznaje się ulgi w ocenie jego brzydkich postępków. O własnym ojcu, który go traktował jak źrenicę oka, mówił (przyjacielowi Jerzemu Płomieńskiemu), że nie był artystą ani myślicielem, że naciągał głupców na patos, w którego szczerość należy wątpić. Zniszczył swoje listy do ojca i radził się psychoanalityka, dr. Beaurain, który odkrył w nim „kompleks embriona", z czego pacjent był na pewno szczerze zadowolony. Zuchwałe powieści i dramaty Witkacego, nie mniej zuchwała filozofia (której Tatarkiewicz, a zwłaszcza Kotarbiński zarzucali brak rudymentów), wreszcie jego estetyka, „Czysta Forma" — to wszystko z osobna, a jeszcze bardziej razem, jest piekielnie ciekawe. A malarstwo — z tą literaturą identyczne. Mózgowiec uzupełniał się wzajemnie malarzem i portrecistą. Nie można lekceważyć jednego wspólnego mianownika tej osobowości i tej nieustannej

pracy, a był nim — infantylizm. Dziecko, całe życie rozrabiające wewnątrz zwalistego mężczyzny, który ma głowę pełną pomysłów: to dziki obrazek, ale trafny, z tego ta twórczość pełna ostrych ingrediencji wytryskiwała. Zofia Kozarynowa pisała kiedyś w Londynie (gdy jeszcze wychodziły *Wiadomości*), że Witkacy do końca pozostał „cudownym dzieckiem". Racja. I tak samo prowadził walkę z każdym obrazem, jak się szamotał w labiryntach swoich powieści. Intensywność i nienasycenie formą (wyrażenie Ireny Jakimowicz) w obu dziedzinach przekraczało granice gatunków — a całość ta, niepospolita, znalazła kulminację w patologicznej formie samobójstwa. Za to stosowana przez niego technika ekshibicjonizmu artystycznego — przy pomocy narkotyków — nie wzbudza we mnie należytego entuzjazmu. Nie można zapomnieć, że Witkacy był jednym z pierwszych w tych eksperymentach. Podobnie postępował Henri Michaux, próbujący doświadczeń z meskaliną, która wytwarza omamy wzrokowe.

Używanie narkotyków było osobistym sposobem Michaux, ale nie stanowiło warunku osiągnięcia zamierzonego celu: pełnej, w sensie szczelności, totalnej poezji zbudowanej z wymiennych, uzupełniających się środków malarskich i literackich. Szukał tego, czego nie było na obszarze literatury — innego języka opartego na wymyślonych, własnych znakach, o własnym tempie. Był nade wszystko poetą i pozostał nim w swojej działalności malarskiej i graficznej, usiłując przy ich pomocy oddać tzw. „przestrzeń wewnętrzną". Rysunek jest u niego inną postacią pisma. Zasadnicze miejsce zajmuje tam nerwowy, podobny do ideogramów znak, przywodzący na myśl orientalną kaligrafię. Rola narkotyków była w tym wszystkim zapewne mniejsza niż wynikało z sensacji dziennikarskich. Cocteau pisał, że trzeba skończyć z mitem wizji po zażyciu opium. A rysunek Michaux, nawet spowodowany narkotykiem, „aby zaistnieć musi być przede wszystkim dziełem Michaux: narkotyk jako motoryczne natchnienie, to legenda".

Ciekawym zjawiskiem jest Günter Grass. Nawet jego poglądy polityczne są osobliwe: inspirowany prosowieckim pacyfizmem, potrafił w czasie największego załgania obrzucać Amerykanów obelgami. Na 48 Międzynarodowym Kongresie PEN-Clubu w Nowym Jorku, w styczniu 1986, zwrócił na siebie uwagę inwektywami pod adresem Saula Bellowa, który ośmielił się uważać swój kraj za nie całkiem reakcyjny. Kiedy Grass uznał, że jako pisarz jest dostatecznie sławny, by móc stracić głowę w polityce, jął propagować „opór wobec *leadership* amerykańskiego, w perspektywie grożącego ludobójstwem". Lecz dajmy pokój polityce, która mąci wzrok nie gorzej, albo i lepiej od meskaliny.

Wielostronność twórcza Grassa zasługuje na uwagę. Mówi o sobie, że ma dwa zawody, pisarstwo i rysunek, oba popłatne. Odbył drogę niełatwą i awanturniczą, pracował w kopalniach potasu, wziął się następnie do praktycznej rzeźby cmentarnej, wreszcie wstąpił do szkoły sztuk pięknych w Düsseldorfie, potem w Berlinie, do pracowni rzeźbiarza Karla Hartunga. Nie zdobył wykształcenia ogólnego. Pisywał powieści, których nie kończył. Wtedy to, aby m ó c d a l e j p i s y w a ć, dokonał wyboru między rzeźbą i rysunkiem. Rysowanie nie pochłania tyle czasu. Ciasnota wspólnego pomieszczenia, jakim jest czas, rodzi czasem konflikty między sąsiadującymi łokieć w łokieć sztukami. Mogą się wzajem sycić, ale zdarza się, że wchodzą sobie w drogę. Skłonności rzeźbiarskie Grassa nie zmarnowały się, przekształcone weszły do jego rzemiosła pisarskiego. Pisarz dobiera się do swego tematu powieściowego ze wszystkich stron naraz, jak rzeźbiarz chodzący koło bryły gliny. Za to w rysunkach — inne tempo, pajęcze snucie, miniaturyzacja i zagadkowość.

O rzeźbie mówi Paolo w dialogu Brzozowskiego pt. „Fryderyk Nietzsche": — Ona jedna (wśród sztuk) nie obiecuje nic więcej ponad to, czym jest, a więc uczy szczerości. Tylko rzeźba mówi: jestem czym jestem... Jest to jedyna sztuka ludzka: tamte inne, malarstwo, muzyka, mają w sobie jakieś „gdyby"... Gdybym nie był tym, czym jestem — jest ich duszą. — Rysunki Grassa wyrażają właśnie tę ambicję i szaleństwo (w postaci przyciszonej) bycia czym innym, niż są. Powtarza się tam znak ślimaka — może jakaś filozoficzno-polityczna przenośnia, może to znak autokontroli i ostrzeżenia pod własnym adresem, pod adresem Grassa rozpolitykowanego. Spirala zbroi tego stworzonka jest chyba nadużywana w literackiej kabalistyce. Ale oto co powiada Grass, zaskakując nas swoim rozsądkiem: — Trzeba chronić sztukę przed wielkim brzuchem polityki, która by wszystko chętnie połknęła. Ochrona rzeczywistości imaginacyjnej jest bardzo ważną sprawą ludzkiego życia. — Brawo. Dowiadujemy się także, że gdy przestaje pisać, to rysuje. Podobno taka jest niemiecka tradycja. Gdy książka skończona, rysowanie staje się instrumentem obrony przed niemiłym poczuciem obowiązku, które każe zabrać się do następnej książki. Wtedy rysuje na marginesach rękopisu. Jest całkowicie przekonany o autentyczności swoich podwójnych impulsów, twierdzi, że o k o które pisze, jest tym samym okiem, które rysuje... — Gdy patrzę na grzyb, zawsze widzę w nim coś więcej, niż grzyb. Rzeczywistość tryska myślami, które wystarczy zebrać do naczynia. Jeden kształt prowokuje drugi, a obraz ześlizguje się w kolejny obraz. Jednak bardzo ważne, aby mnożąc te przeobrażenia ani na chwilę nie zapomnieć o rzeczywistości samego grzyba!

Coś niesłychanie podobnego mówił Picasso do swego przyjaciela i fotografa, Brassaï, pokazując mu w pracowni dziwaczną głowę byka o długich rogach skonstruowaną ze starego siodełka rowerowego i zardzewiałej kierownicy. — Pomysł głowy byka zaskoczył mnie jakby bez mego udziału. Pozostawało to tylko spoić ze sobą. (...) Jednak kryje się w tym niebezpieczeństwo. Jeżeli dostrzega się tu tylko głowę byka, nie pamiętając o siodełku i kierownicy, z których została zmontowana — wtedy cała rzeźba traci swoje istotne znaczenie. — Mamy tu do czynienia z innym przypadkiem hybrydyzmu, tym razem ograniczonego do samego konceptu. Uwaga Grassa, że metafora grzyba nie powinna przesłonić samego grzyba, zastrzeżenie Picassa, że głowa byka powinna zostać siodełkiem i kierownicą rowerową, utrzymują nas w tej samej wieloznacznej strefie skojarzeń wymiennych. Z tego punktu widzenia horyzont rzeczy, które chcą i mogą być czymś innym niż są — odsuwa się jeszcze dalej.

Granice świata metabolizmu i mutacji są coraz dalej. Wpłynęło to na praktyczną stronę języka, od którego żąda się coraz więcej, by móc sprostać gęstwie nowych znaczeń, jakimi owocują udane sąsiedztwa. Wiele słów ukształtowanych w muzyce znajduje zastosowanie w plastyce. Kolor bywa dźwięczny albo głuchy (a muzycy rewanżują się mówiąc o barwie dźwięku). Rene Huyghe wspomina o „mistrzostwie kontrapunktu u Ghirlandaja i o mistrzostwie harmonii u Velasqueza". Znowu John Dewey dowodzi, że „dźwięki jak kolory kurczą się i rozprzestrzeniają, a kolory jak dźwięki wznoszą się i opadają". To podsuwa myśl o ruchu w różnych jego znaczeniach, nie tylko w pojęciu mechaniki i dynamiki, o ruchu subiektywnym, który nie istnieje bez udziału czytelnika, słuchacza, widza. Wszystko się supła, przenika, zmienia sens i materię, w niezliczonych wymiennych układach obnażając charakterystyczną predylekcję sztuki, której dzieła chcą być czymś innym, niż są. Bez wahania akceptujemy informację o „objętościowej jakości dźwięków — wysokich, niskich, długich i krótkich, cienkich i grubych". Baudelaire radził płótna Delacroix oglądać z daleka, tak, aby nie dostrzegać ani tematu, ani linii i móc tylko podziwiać „melodię". Naukowcy odkryli zjawisko zwane „słyszeniem kolorowym". Mnożą się próby stowarzyszenia dźwięku z barwą, młodzież z pełnym zaufaniem do tych eksperymentów synchronizuje ryk głośników z barwnymi migaczami. Zresztą — już w 1913 Skriabin wykonał poemat symfoniczny „Prometeusz" na kilka instrumentów z towarzyszeniem barwnych świateł. Kandinsky szukał dowodów na swego rodzaju przemianę materii barwnej w muzyczną i odwrotnie...

Wywody moje — w sumie chaotyczne — sa tylko próbą wytworzenia nastroju wokół zagadnienia. Jesienią 1977 odbyło się w Nieborowie sympozjum poświęcone słowu i obrazowi, któremu prezydował jeszcze Jan Białostocki. W dyskusji zabrał głos Jacek Woźniakowski i kończąc swoje uwagi powiedział: — Wśród pól, których zupełnieśmy nie ostrzelali (...) są obrazy twórców obosiecznych, malarzy-poetów, takich jak Blake. — I zaproponował to jako jeden z tematów następnej konferencji. Więc nie mylę się: to zagadnienie istnieje i kusi. Czy teraz przeważa dążność do segregowania ludzkich działań, czy odwrotnie — a dużo na to wskazuje — do łączenia ich ze sobą w dalekiej horyzontalnej intencji ukształtowania człowieka polifonicznego, o wielopostaciowej treści? Czy uda się człowiekowi uleczyć siebie z kalectwa specjalizacji? Stanisław Witkiewicz propagował, zwłaszcza w swoich wysiłkach pedagogicznych względem syna, ideę dyletanctwa jako obrony przed specjalizacją, to znaczy wynaturzeniem, to znaczy zredukowaniem samego siebie. Termin dyletantyzm, dziś pogardliwy, pochodzi z włoskiego *dilettare*, które znaczyło „sprawiać przyjemność, rozkosz". Weszło do francuskiego w 1740, w formie *dilettante* czyli „miłośnik muzyki włoskiej". Stary Witkiewicz był pierwszym kontestatorem uniwersyteckim. Błagał swego Stasia, aby nie zapisywał się do Akademii Sztuk Pięknych. Więc naturalnie Staś się od razu zapisał.

John Dewey pisze o ludzkim przyzwyczajeniu a nawet przywiązaniu do faktu, że wszystkie bez wyjątku przedmioty fizykalne posiadają ograniczające je krawędzie. Tę abstrakcję przenosimy następnie na pojmowanie samego doświadczenia. Skłonni jesteśmy przysiąc, że i ono ma swoje granice. To nieprawda. Wszelkie doświadczenie, nawet najrozleglejsze, występuje „w oprawie nieokreślonej całości". Nieokreślonej, ale — całości, czyli formy. Dzieła fenomenów, jak Blake czy Ciurlionis, można pojmować jako rozpoznanie tej formy. Wszystkie zjawiska, o których tu mowa, są w różnym stopniu wymacywaniem tej zagadkowej formy, w intencji jej ujawnienia. Inteligencja i świadomość winny mieć sens i kształt uniwersalny. — *And why not? The mind of man is capable of anything — because everything is in it, all the past as well the future.* — Co pięknie przetłumaczyła Aniela Zagórska: — I dlaczego by nie? Umysł ludzki jest zdolny do wszystkiego — ponieważ zawiera w sobie wszystko, zarówno przeszłość jak przyszłość. — Tę zachętę wypowiada Marlow w środku najposępniejszej opowieści, w „Jądrze ciemności" , słowa jego świecą tam jak latarki jakiegoś patrolu w mroku.

Zbigniew FLORCZAK

Cywilizacja postkomunizmu*

OD AUTORA — CZYLI: CÓŻ TO TAKIEGO CYWILIZACJA POSTKOMUNIZMU

Praca ta nie ma ambicji naukowych. Wiem doskonale, iż wobec ukazywanych zjawisk nie zdołam zachować właściwego dystansu, przeto świadomie odrzucam łaskę obiektywizmu, decydując się na wszystkie tego konsekwencje, z ewentualnym potępieniem włącznie.

Moje ambicje są bardzo skromne: chcę przedstawić — „mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melankolikom dla rozrywki" — podstawowe etapy i reguły życia w Rzeczypospolitej. Jeżeli rezygnuję z pomocy narzędzi socjologicznych, to przede wszystkim dlatego, iż socjologia na razie nadziwić się nie może, że przyszło jej zmierzyć się ze zjawiskami osobliwymi, dotychczas nie odnotowywanymi w pismach klasyków; zanim wypracuje właściwy aparat pojęć i metodę analizy sporo czasu upłynie.

Głównym źródłem materiałów jest dla mnie obserwacja własna. Zdaję sobie sprawę z zawodności tego źródła, niestety innym nie dysponuję. Przyjętą przeze mnie metodą postępowania jest samodzielna praca myślowa, zawodna to metoda, ale nie znaczy to wcale, iż nieużyteczna. Natomiast podstawowym przewodnikiem tej penetracji rzeczywistości jest książka Leopolda Tyrmanda pt. *Cywilizacja komunizmu*. I to wcale nie dlatego, iż zawsze czułem osobliwą słabość do tego pisarza.

Cywilizacja komunizmu miała być w zamierzeniu autora pamfletem, „przejaskrawieniem istniejącej rzeczywistości". Ale dla mnie, dla człowieka trzydzieści z górą lat żyjącego w przedstawionej tam rzeczywistości, kategoria pamfletu była całkowicie niestosowna. Otóż ta książka służyła mi przede wszystkim jako vademecum, ułatwiające sprostanie trudnym wymaganiom życia, nie zaś jako pomoc w powszechnym zniesławianiu ustroju socjalistycznego. Niestety, tym razem rzeczywistość zdecydowanie odniosła triumf nad niechętną jej wyobraźnią pisarską. Zresztą nie tylko tym razem przecież, nieprzypadkowo w potocznej polszczyźnie funkcjonował zwrot: „Mrożek by tego nie wymyślił", używany dla rangi absurdu i bzdury spotykanych co dzień. I Tyrmand, i Mrożek byli zatem kronikarzami naszej rzeczywistości,

* Wstęp i fragment książki.

wymyślać niczego nie musieli. Codzienność, której elementem konstytutywnym jest absurd — to chyba jednak marne tworzywo dla pamfletu, zresztą doskonale zdawał sobie z tego sprawę Tyrmand. Ale to już kwestia przeszłości.

Dnia 28 października 1989 roku znana aktorka scen warszawskich — Joanna Szczepkowska — inteligentnie chichocąc i porozumiewawczo krygując się w głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego oświadczyła: „czwartego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiętego dziewiątego roku skończył się u nas komunizm". Przypomnijmy, iż generał Wojciech Jaruzelski został „Prezydentem wszystkich Polaków" dzięki przewadze jednego głosu — inny znany aktor scen warszawskich, Andrzej Szczepkowski, pełniący obowiązki senatora, akurat tego dnia nie mógł opuścić planu zdjęciowego we Francji, gdzie współkreował arcydzieło kinematografii światowej.

Skłonny jestem przyznać rację Tyrmandowi, który pisał: „Uważam komunizm za najgorszą plagę, jako spotkała ludzkość [...]". Chciałbym, by ta plaga należała od bezpowrotnej minionej, dalekiej przeszłości. Ale u licha wiem, że tak nie jest i długo jeszcze nie będzie; wszak nawet członkowie tej samej rodziny zachowywali się i zachowują nadal osobliwie.

Wkraczamy podobno, z większym czy mniejszym przyspieszeniem, w kolejny okres przejściowy. Na pewno nie jest to pierwszy okres przejściowy w moim życiu, żywię szczere obawy, że nie ostatni. Coraz częściej usłyszeć można w Polsce, że w tym kraju nie było nigdy komunizmu, byli tylko komuniści, którzy chcieli dobrze, tylko im rozmaite mroczne siły stawały na przeszkodzie. Może za jakiś czas historycy zdołają się uporać ze zmianami zachodzącymi obecnie w Europie wschodniej i w Związku Sowieckim. Na razie, sądzę, ważne jest rejestrowanie rozmaitych faktów na bieżąco.

„Postkomunizm" to dla mnie termin czysto umowny, bo jakoś wypada przecież nazwać epokę zbiorowego udawania, iż komunizmu w Polsce nigdy nie było, zaś droga do kapitalizmu (znanego przede wszystkim z kilku wyjątkowo głupich seriali amerykańskich) stoi przed społeczeństwem polskim otwarta. „Cywilizacja" — to jest to wszystko, co składa się na nasze życie codzienne. Powiadam: „nasze", gdyż niewiele wiem — dzięki niekompetencji większości dziennikarzy — o życiu codziennym innych społeczeństw postkomunistycznych, np. czeskiego, słowackiego, enerdowskiego, węgierskiego, estońskiego, ukraińskiego czy jakiegokolwiek innego.

Nie tylko dzięki cennej, a przywoływanej już kilkakrotnie pracy Leopolda Tyrmanda przekonany jestem, iż najlepszym sposobem ukazania „polskiej cywilizacji postkomunizmu" będzie ukazywanie kolejnych etapów ludzkiego życia.

A jeżeli mi ktoś powie, żem zapiekły, zajadły czy niesprawiedliwy, odrzec mu mogę cytatem:

Chłopcy, przestańcie, bo źle się bawicie!
Dla was to jest igraszką, nam idzie o życie.

Idzie o moje życie, którego nie ma prawa marnować żaden z domorosłych polityków i politykierów, uzurpujący sobie prawo do bycia mężem opatrznościowym. Po prostu — parafrazując raz jeszcze Tyrmanda: mój stosunek do postkomunizmu jest prostym wynikiem mego życia w postkomunizmie. W ciągu zaledwie kilku lat życia w postkomunizmie nauczyłem się nienawidzieć tej hybrydalnej formacji za zawarte w niej głupotę i zło. A także bać się jej ze względu na istotnie metafizyczną zdolność do zawierania w sobie coraz większej i coraz więcej głupoty i zła.

Nie wiem czy zawarte tutaj dobre rady zdołają komukolwiek pomóc, ale spróbować chyba nie zawadzi. Ewentualne korzyści czysto praktyczne (niestety, niektóre rady nie dadzą się jednak zrealizować) nie powinny przysłaniać ambicji czysto poznawczych.

VIII. JAK KOCHAĆ PAŃSTWO

Każdemu dzisiaj w Polsce jest ciężko. Może tylko z wyjątkiem tych, którym jest nieco lżej niż innym. Kierując się elementarną logiką i zasadami zdrowego rozsądku powiedzieć by można, iż niektórym ludziom w Polsce powodzi się bardzo dobrze, innym ludziom nieco gorzej, innym całkiem marnie, są też i ludzie, którzy już dawno przekroczyli próg nędzy. Żebraków na ulicach miast polskich, i to rodzimych żebraków, zmuszonych do tego upokorzenia chociażby z powodu nieuleczalnej choroby (AIDS w Polsce jest nie tylko chorobą, ale osobliwym piętnem szatana, więc rodziny wyrzekają się swych bliskich) jest bardzo dużo, coraz więcej. Ale wsłuchawszy się w wypowiedzi polityków, przejrzawszy gazety codzienne czy rozmaitej orientacji tygodniki, obejrzawszy niegdysiejszy Dziennik Telewizyjny przemianowany w programie pierwszym na Wiadomości, uświadomić sobie można bardzo szybko, iż nie o ludzi w tym wszystkim chodzi. Ludzie istnieją — temu nie da się zaprzeczyć, ale to nie oni są ważni obecnie. Też nie ludzie będą ważni w najbliższej przyszłości. Co więcej, ludzie, jeżeli występują w sposób zorganizowany, zyskują miano grupy zawodowej i społecznej, stają się zjawiskiem wyjątkowo negatywnym, posiadają znaczenie o tyle, o ile utrudniają proces reform.

Otóż nie ludzie są ważni w Rzeczypospolitej Polskiej, ale

żmudny proces reform. Żmudny proces reform jest przeprowadzany w Rzeczypospolitej Polskiej bynajmniej nie po to, by ludziom żyło się lepiej czy chociażby znośnie. Wszyscy przecież doskonale wiemy, że hasłem: „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej" posługiwała się ekipa Edwarda Gierka, niegdyś Pierwszego Sekretarza PZPR, obecnie literata, utrzymującego — jak na człowieka pióra przystało — poprawne stosunki z innymi ludźmi, trudniącymi się także literaturą. Zresztą nie jest to jedyne hasło, jakim posługiwała się władza komunistyczna dla wyrażenia swej pozornej troski o dobro człowieka. Ostatecznie to pisarz komunistyczny, którego autorytet posłużył m.in. stalinizmowi, sformułował zdanie — później wielokrotnie przecież cytowane przez przedstawicieli totalitaryzmu: *czełowiek — eto zwuczit gordo*. Sam fakt, iż zdanie to zostało sformułowane po rosyjsku, wystarczająco chyba powinien obnażyć jego fałsz i zakłamanie. Przynajmniej dla sporej grupy Polaków samo mówienie o literaturze rosyjskiej czy sowieckiej jest już grubą nieprzyzwoitością, a cóż dopiero sięganie po pisarza zaprzedanego komunizmowi. Jednak nie chodzi tu o przejawy niechęci wobec Rosji czy Sowietów.

Otóż jeżeli komuniści na wszelkie możliwe sposoby odmieniali słowo „człowiek" (ideałem komunizmu był „człowiek radziecki"), to zrozumiałe, iż obecnie słowo to zostało wyeliminowane z języka publicznego. Tak samo wyeliminowany został — ze względu na swą komunistyczą proweniencję — zwrot: „troska o człowieka". Hasło: „naszym celem jest człowiek" w czasach stanu wojennego nabrało wyjątkowo ponurego sensu. Poza tym, przynajmniej obecnie, jest chyba za wcześnie, by zastanawiać się nad znaczeniem słowa „człowiek". Wyjąwszy, oczywiście, kościelną i świecką homiletykę tudzież moralizatorstwo.

W Polsce obecnie służba zdrowia znajduje się na pograniczu zapaści. Oświata i szkolnictwo znalazły się w sytuacji kryzysowej. Gospodarka, przemysł ciężki i lekki oraz okrętowy, rolnictwo i przemysł przetwórczy — dogorywają. Biblioteki publiczne i muzea — umierają. System bankowy dorzyna drobne przedsiębiorstwa i usługi. Dogorywa górnictwo i hutnictwo. Giną kolejne przedsiębiorstwa państwowe, mrą zakłady produkcyjne, policja w dalszym ciągu cierpi na paraliż. Chyba nic już nie zdoła uzdrowić telekomunikacji — pora już przerwać to wyliczanie metafor, które na dobre weszły do naszej świadomości, utraciły swój walor ekspresywny, stały się kliszami językowymi.

Otóż wszystkie te metafory sumują się w jedną: „zagrożony jest byt państwa". Kolejni premierzy, posłowie, publicyści i wreszcie przeciętni ludzie w potocznej rozmowie posługują się tym zwrotem. A przecież państwo jest albo go nie ma, status osobnego bytu mu nie przysługuje. Wiem, że nie ma sensu spierać

się o metafory, chyba że te metafory stają się argumentami w rozumowaniu. O ile wiem, istnienie państwa ma sens wówczas, gdy państwo zapewnia swoim obywatelom bezpieczeństwo, oświatę, gdy jest instytucją świadczącą niezbędne usługi na rzecz obywateli. Bez obywateli, tj. bez ludzi, istnienie państwa może być co najmniej wątpliwe, jeżeli nie po prostu nonsensowne.

W polskiej cywilizacji postkomunistycznej nastąpiła niesłychana alienacja — proszę mi darować ten termin *quasi*-marksistowski, ale to nie Marks wymyślił alienację czyli wyobcowanie — pojęcia „państwa". Nie ma chyba łajdaka, który by publicznie w ostatnim czasie nie deklarował się ze swoją troską o los państwa. Nie było chyba afery finansowej, w której nie doszukiwano by się zagrożenia dla losu państwa. Nie ma bzdury, której by w Sejmie X kadencji nie utożsamiano z racją państwa, pomijam tu epitety, jakie stosowano w odniesieniu do tego rzeczownika. Nie było chyba problemu (jak chociażby cena kwintala rzepaku), którego by nie utożsamiano z państwem. Na skutek tego samo pojęcie państwa uzyskało status bytu idealnego, godnego rozważań Platona, nie zaś analizy politycznej.

W związku z tym wszystko, co służy (albo też służyć może, albo za służące uznać trzeba) tak rozumianemu państwu nabrało charakteru bez mała posługi kapłańskiej. Najwyższym kapłanem jest oczywiście Prezydent, później idą kapłani pomniejsi, diakoni i subdiakoni, przemykają cichcem niewyświęceni, rozmaite misteria odprawiają szamani. Wszyscy ludzie którym los, Bóg i wyborcy powierzyli władzę, są męczennikami państwa. Każdy z nich przyjmuje na siebie ten ciężar z całą świadomością, iż kompletnie do tego się nie nadaje, nie ma żadnych kwalifikacji, z przyjemnością zajmowałby się czymś zupełnie innym, a jednak musi. Gdyż został powołany. Paradoksalne, że jedyny człowiek, który nie krył się ze swoimi doświadczeniami mistycznymi — Stanisław Tymiński — został uznany za niegodnego, bez mała za fałszywego proroka. Już znacznie łatwiej uwierzyć, iż łaski objawienia dostąpili Miller czy Kwaśniewski. Zresztą w ich przypadku mówić raczej należy o konwersji, która dokonała się bez szczególnych zmagań duchowych, ot, prawie mechanicznie. Jednak i oni państwo pojmują w porządku metafizycznym, nie zaś materialistycznym.

Zadziwiające, z jakim upodobaniem owi kapłani wszystkich szczebli i rang mówić zwykli, iż są praktycznie bezradni. Chyba w żadnym kraju cywilizowanym nie organizuje się wyborów po to, by wyborcy usłyszeć mogli od swoich reprezentantów, iż ci są praktycznie bezradni. Może właśnie wybory, wybory kapłanów — reprezentantów społeczeństwa — są tym rytuałem, czy obrzędem, który poświadcza istnienie państwa. Im częściej owe wybory są przeprowadzane, im większa towarzyszy im histeria, tym bardziej ten obrzęd poświadcza istnienie państwa. Później już wyłonieni w wyborach z czystym sumieniem mogą oświadczyć, iż praktycznie są bezradni — chodzi o to, by powtórzyć obrzęd, to znaczy — potwierdzić istnienie państwa.

W zasadzie nie wiadomo, jakie związki łączą ów idealny byt — państwo — z takimi, nie mniej przecież enigmatycznymi zjawiskami, jak gospodarka, rolnictwo, oświata, przemysł ciężki, przemysł okrętowy, policja etc. Sprawa się komplikuje, gdy przechodzimy na kolejny stopień abstrakcji: państwo — prezydent, państwo — emeryci, państwo — studenci. Przecież przedstawiciele państwa w trosce o istnienie państwa dokonują likwidacji odpowiednich przejawów aktywności pozapaństwowej. Minister oświaty i szkolnictwa wyższego likwiduje oświatę. Minister kultury likwiduje kulturę. Minister zdrowia likwiduje służbę zdrowia. Minister pracy i opieki społecznej ma niebagatelne kłopoty z grupami społecznymi, trudno jednak zlikwidować emerytów, pracowników sfery budżetowej, etc. Natomiast minister budownictwa zdołał praktycznie zlikwidować budownictwo mieszkaniowe. Przeto z dużym niepokojem myślę o doświadczeniach kapłanów państwa, powiadających, iż są praktycznie bezradni. Okazuje się, iż takie zjawiska, jak oświata, szkolnictwo, kultura, gospodarka, policja, wojsko, sprawnie działający system bankowy czy komunikacyjny, opieka socjalna wreszcie, zagrozić mogą istnieniu państwa.

Alienacja tej kategorii prowadzi w konsekwencji do wyalienowania pozostałych, w jakiś sposób z nią związanych. Otóż nieważne jest, jak sprawuje władzę prezydent, ważne jest, że władzę sprawuje Prezydent wybrany w demokratycznych wyborach. Nieważne jest, jak rządzi rząd, ważne jest, że rząd uskarżać się może, że rządzić nie jest w stanie. Wojewoda przecież nie jest po to, by podejmować jakiekolwiek decyzje w skali województwa, lecz po to, by był wojewodą. Wreszcie istnienie wójta jest niezbędne dla przypomnienia wspaniałej tradycji ruchu ludowego przez skojarzenie z osobą „wójta z Wierzchosławic" — Witosa.

Cechą charakterystyczną polskiej cywilizacji postkomunistycznej jest głośno wyrażana przez obecnych mężów stanu, polityków, działaczy społecznych i katolickich, publicystów, biskupów i posłów radość z posiadania suwerennego państwa i postępującej demokratyzacji życia. Znamienne, że postępująca demokratyzacja życia wiąże się z coraz powszechniejszymi marzeniami o tym, by wreszcie ktoś z tym wszystkim zrobił porządek, nawet „biorąc z mordę". Jednocześnie owa radość coraz częściej spotyka się ze społecznym niezrozumieniem, zakłócają ją chociażby protesty różnych grup społecznych, takie czy inne żądania. Jak chociażby żądanie zapewnienia względnego bezpieczeństwa na ulicach mniej-

szych i większych miast polskich. Po prostu, społeczeństwo mamy jeszcze niedojrzałe, brak mu elementarnej kultury politycznej: nie wszyscy chcą się radować. Nie wszystkich satysfakcjonuje fakt, że władzę sprawuje w Rzeczypospolitej Polskiej Prezydent wybrany w demokratycznych wyborach. Po prostu nie wszystkich raduje posiadanie suwerennego państwa i postępująca demokratyzacja życia. Niektórzy, zapewne kierując się prywatą, chcieliby uzyskać odpowiedź na pytanie, jaki jest sens istnienia tego państwa dla jego obywateli. Jak gdyby nie dostrzegali, iż słowo „obywatel", tak samo jak „towarzysz", zniknęło z języka oficjalnego. W Polsce nie ma już „obywateli", są panie i panowie — to oni właśnie tworzą państwo. Przynajmniej zgodnie z regułami gramatyki języka polskiego. Przeto zgodnie z logiką powszechnym obowiązkiem wszystkich pań i panów mieszkających w Polsce (a jak mówi poeta: „Polska to wielka rzecz") jest podzielanie owej radości. To oni właśnie są państwem. Gdyby nie groziło to powtórzeniem, powiedziałbym: przynajmniej zgodnie z regułami gramatyki języka polskiego.

Na razie każdemu dzisiaj w Polsce jest ciężko. Może tylko z wyjątkiem tych, którym jest nieco lżej albo zupełnie lekko. Wiem, że nie od razu Kraków zbudowano (jeszcze kilka lat i Kraków rozsypie się do końca, od dawna już w tym mieście ludzie mieszkać nie powinni, zważywszy na zatrute powietrze). Zastanawiam się jednak, jak długo jeszcze będzie obowiązywał powszechny dogmat, iż państwo trzeba kochać ze wszystkich sił, z całego serca i z całej duszy — wszak ono po to jest. Tylko i wyłącznie po to. Przynajmniej na razie. Państwu już nie wystarcza zrozumienie z naszej strony, ono żąda naszej bezgranicznej miłości, a co za tym idzie — bezgranicznych wyrzeczeń. Tylko po to jesteśmy mu potrzebni, przynajmniej tak twierdzą jego kapłani. A przecież oni wiedzą najlepiej. Dopiero gdy zapewniony zostanie bezpieczny byt państwa, przyjdzie kolej na ludzi — jego mieszkańców. Czy kapłani państwa będą wówczas mieli ku komu skierować swe dostojne zainteresowanie — coraz bardziej skłonny jestem wątpić.

Skłonny jestem natomiast coraz bardziej przypuszczać, iż obecne rytuały i obrzędy państwowotwórcze wiele mają wspólnego z działalnością w sferze czystej idei. Ale to przecież komunizm usiłował nam wmówić przez lata, że „człowiek — to brzmi dumnie", to komuniści usiłowali stworzyć system, określany metaforycznie mianem „socjalizmu z ludzką twarzą". Jeżeli zaś stwierdzimy, iż „suwerenne państwo polskie — to brzmi dumnie" zrozumiałe, iż dla jakichkolwiek frazesów i banałów o człowieku, czy o ludziach, po prostu miejsca tu nie ma.

Marek ADAMIEC

SPRAWOZDANIE FUNDUSZU POMOCY NIEZALEŻNEJ LITERATURZE I NAUCE POLSKIEJ ZA LATA 1990 — 1991

1. Fundusz Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej powstał w marcu 1982 roku. Fundusz zarejestrowany jest we Francji jako stowarzyszenie o celach niedochodowych. Prezydentem Funduszu jest Czesław Miłosz. W skład Komitetu Wykonawczego wchodzą: Mirosław Chojecki, Jerzy Giedroyc, Gustaw Herling-Grudziński, Wojciech Karpiński, Krzysztof Pomian i Olga Scherer. Członkami Komitetu są ponadto: Stanisław Barańczak, Józef Czapski, Feliks Gross i Leszek Kołakowski. Sekretarzem Funduszu jest Wojciech Sikora.

2. W okresie sprawozdawczym Fundusz udzielił 81 krótkoterminowych stypendiów (łącznie na sumę 449.500,00 franków francuskich), umożliwiających polskim twórcom i naukowcom pobyty na Zachodzie. W kilku przypadkach stypendia zostały przeznaczone do zrealizowania w kraju, skorzystało z nich również kilku twórców emigracyjnych. Wśród stypendystów znaleźli się pisarze, publicyści, badacze w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Większość stypendiów została wykorzystana we Francji, także w Anglii, Austrii, Holandii, Niemczech i we Włoszech.

3. W latach 1990-1991 Fundusz udzielił następujących subwencji wydawniczych:

— wydawnictwu „Polska Encyklopedia Niezależna" (PEN) w związku z przygotowaniami wydania książki Jacques Rossi *Sprawocznik po Gułagu* — 5.000 FF;

— na organizację i wydanie katalogu wystawy polskich artystów tworzących za granicą „Jesteśmy" — 5.000 FF;

— krakowskiemu kwartalnikowi *Na Głos* — 10.000 FF;

— warszawskiemu „Archiwum Wschodniemu" — 20.000 FF.

Ponadto dotację wydawniczą (3.000 £) przyznaną w 1986 r. wydawnictwu „Aneks" i nie wykorzystaną, Fundusz przeznaczył na opublikowanie pracy pod redakcją Mirosławy Marody „Co nam zostało z tych lat. Społeczeństwo polskie u progu zmiany systemowej" („Aneks", 1991).

4. Prowadzenie działalności było możliwe dzięki dotacji norweskiej Fundacji „Fritt Ord", przekazanej Funduszowi jeszcze w końcu 1989 r., a także dzięki dotacjom indywidualnym i wpływom z operacji bankowych.

●

Zasady przyznawania stypendiów: o stypendia mogą ubiegać się pisarze, publicyści, artyści oraz naukowcy w dziedzinie nauk humanistycznych i społecznych. Stypendia przyznawane są na okres nie dłuższy niż jeden miesiąc — na pobyty za granicą, w wyjątkowo uzasadnionych przypadkach również na wykonanie konkretnej pracy w kraju. Ta sama osoba nie może otrzymać ponownie stypendium wcześniej niż przed upływem 5 lat. Wysokość jednorazowej dotacji wynosi zwykle 5.000 FF.

Podania powinny wpływać do 15 października — na pobyty planowane na I połowę roku następnego, i do 15 kwietnia — na II połowę tego samego roku. Podanie powinno zawierać życiorys, informacje o dorobku twórczym oraz program pobytu za granicą. Wskazane jest załączenie opinii osoby kompetentnej w danej dziedzinie.

Wnioski należy przesyłać na adres Funduszu: FPNLiNP c/o Wojciech Sikora, 31, rue de Garlande, 77-220 Tournan-en-Brie, Francja.

Tournan-en-Brie, 15 lutego 1991

Wojciech SIKORA
sekretarz Funduszu

Norweskie polonica

Witkacy w Teatrze Narodowym w Oslo

Długo zastanawiano się, czy wystawić Witkacego w Oslo. Teatralni spece nie do końca byli przekonani, jakie reakcje wśród publiczności może wzbudzić polski prekursor teatru absurdu. Wątpliwości okazały się niesłuszne. Witkiewicz zdobył zasłużone uznanie wśród publiczności i krytyków norweskich. Premierowa widownia zgotowała „Kurce Wodnej"* frenetyczne oklaski na stojąco. A reżyser, Piotr Chołodziński, i aktorzy wychodzili z naręczem kwiatów. Wszyscy krytycy jednogłośnie uznali „Kurkę Wodną" w doskonałym tłumaczeniu Wandy Ogrim za najbardziej interesujące wydarzenie teatralne roku. Podkreśla się też, że nie widziano do tej pory aktorów norweskich grających z taką lekkością i witalnością, w niezbyt im znanym groteskowym gatunku. Trzeba pamiętać o tym, że norweski teatr opiera się głównie na tradycji naturalizmu psychologicznego Henryka Ibsena.

Andrzej Majewski skomponował jak zawsze wspaniałą scenografię, a sztukę wyreżyserował znany już norweskiej publiczności młody, bardzo utalentowany Piotr Chołodziński, mieszkający w Norwegii.

W rozmowie ze mną Andrzej Majewski stwierdził, że nigdy mu się tak dobrze nie współpracowało z aktorami, jak z zespołem norweskim. Złapałam go dosłownie na pół godziny przed odlotem do New Yorku, gdzie szykuje następną swoją produkcję — „Króla Rogera" Szymanowskiego.

* Nationaltheatret, Oslo, „Kurka Wodna" — *Vannhona*, St.I. Witkiewicza. Przekład: Wanda Ogrim, adaptacja: Haldis Hoaas, dyrektor artystyczny Stein Winge, reżyseria i opracowanie Piotr Chołodziński, scenografia i kostiumy: Andrzej Majewski, muzyka: Asmund Feidje.

Wernisaż Ryszarda Warsińskiego w Oslo

W nowo otwartej największej w Skandynawii galerii Oslo Kunstsenter odbył się wernisaż malarstwa Ryszarda Warsińskiego. Była to retrospektywna wystawa lat 1963-1991 obejmująca blisko 400 prac.

Polska i norweska publiczność nie po raz pierwszy miała możność oglądać prace tego popularnego malarza polsko-norweskiego. Wystawiał je w Gdyni w 1960 roku, mieście w którym się urodził w 1937 r., w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie w 1964 r., w której studiował na przestrzeni lat 1958-1964, w pracowni Artura Nachta-Samborskiego, który — jak sam mówi — był jego przyjacielem i mistrzem. Prócz wielu wystaw w Norwegii, obrazy Warsińskiego były wystawiane w Helsinkach, w Teksasie, w Paryżu, Göteborgu, Kopenhadze i innych stolicach świata.

Jak wielkie znaczenie mają obrazy artysty może świadczyć fakt, że już pierwszego dnia wystawy Centrum Sztuki w Oslo sprzedało jego prace za 1,5 miliona koron norweskich. Wydawnictwa artystyczne i muzea wykazały duże zainteresowanie jego dziełami.

Warsiński jest także poetą. W drugim tomie „Poezji" wydanym w 1984 r. w Oslo zamieszczono „Confabulari" i inne jego teksty, które zdobyły I nagrodę w konkursie esejów poetyckich.

„Polska opowiada" w Norwegii

Pod koniec minionego roku na norweskim rynku wydawniczym ukazała się literacka sensacja, mianowicie zbiór opowiadań polskiej literatury pt. „Polen Forteller" („Polska opowiada"). Opracowania i przeważającej większości tłumaczeń dokonał Jan Brodal (ur. 1939 r.), tłumacz, pisarz i dziennikarz norweski, m.in. uczestnik Festiwali Filmowych w Krakowie i Gdańsku. Obecnie docent na Uniwersytecie w Tromso.

Przekłady Brodala i innych tłumaczy oddają dobrze prozę zarówno Potockiego, Orzeszkowej, Żeromskiego (tłum. Erik Baugerod) jak i Borowskiego, Brychta, Marka Nowakowskiego. Znalazły się także opowiadania i wyjątki z dzieł Gombrowicza (tłum. Martin Nag). Witold Gombrowicz zarówno formą jak i tematyką w swoim czasie bardzo zainspirował norweskich pisarzy: „Pornografia", „Kosmos" i „Ferdydurke", a także sztuki teatralne „Operetka" i „Iwona księżniczka Burgunda", były grane na norweskich scenach. Miłosza i Mrożka z kolei tłumaczyli ambasador Ivar Lunde i wykładowca slawistyki na Uniwersytecie w Oslo Ole Michael Selberg (który przed dwudziestu laty wydał antologię nowel i opowiadań polskich pt. „Polske noveller" w wydawnictwie Willama Nygaarda, H. Aschehoug Co). W „Polen Forteller" Ole Michael Selberg tłumaczył też C. K. Norwida. Dygata, a także poematy Sło-

wackiego, Mickiewicza, Hłaskę, Stachurę i większość naszych pisarzy i poetów przełożył Brodal. Zbiór zawiera 65 opowiadań 56 pisarzy na niemalże 700 stronach. Antologię tę wydano w ekskluzywnym Ekstrabokklubben, dzięki pani redaktor Ellen Larsen i sekretarza redakcji Kjetil Andersena. Nakład 7000 rozszedł się prawie w mgnieniu oka.

Janina JANUSZEWSKA-SKREIBERG

Józef WYRWA
„Furgalski" — „Stary"

PAMIĘTNIKI PARTYZANTA

Autor książki, major rezerwy — jeden z pierwszych organizatorów armii podziemnej z majorem Hubalem na Kielecczyźnie, później dowódca oddziału partyzanckiego i następnie dowódca 2-go Batalionu 25pp A.K. — opisuje w pierwszej części, bez upiększeń, dzieje konspiracji, życia i walki partyzantów, stosunek do nich ludności, rozbrojenie przez Sowietów, uwięzienie w Kielcach, działalność na Ziemiach Odzyskanych i opuszczenie Polski w 1947 roku.

Część druga poświęcona jest emigracji: pracy w szkolnictwie polskim w Niemczech, a po wyjeździe do USA — Polonii amerykańskiej. W związku z odmową jego syna wstąpienia do armii amerykańskiej powstała tzw. „sprawa Tadeusza Wyrwy", która — jak pisał Stefan Korboński — „stała się zagadnieniem zaprzątającym najtęższe pióra i umysły emigracyjne". Sprawa ta dała asumpt do dyskusji i polemik, zwłaszcza w USA i w Londynie, na temat najistotniejszych problemów emigracji, postawy czynników polskich odpowiedzialnych moralnie za los uchodźców rozrzuconych po świecie. Autor zgromadził obfitą dokumentację, której poświęca 260 stron i która jest niezbędna dla historii emigracji z lat pięćdziesiątych. Autor kończy książkę wspomnieniami z Hiszpanii, o polskim Poselstwie i ośrodku studenckim w Kolegium św. Jakuba Apostoła w Madrycie.

Str. 628 i liczne zdjęcia Cena 18 funtów lub równowartość

Do nabycia w księgarniach polskich lub u wydawcy:
Poets and Painters Press, 103 Colindeep Lane, London NW9 6DD, Anglia

Ci, co odeszli

Pół wieku w Portugalii

(WSPOMNIENIA O MĘŻU ŚP. ADAMIE KAZIMIERZU ZIELIŃSKIM)

Adam urodził się w Monasterzyskach k. Buczacza 16 stycznia 1902, na terenie „Trylogii", i przez kilkanaście lat zmieniał adresy pobytu i szkoły w zależności od przydziałów ojca, dr. med. Ignacego Zielińskiego, oficera armii austriackiej a następnie wojska polskiego. Przed maturą, uzyskaną w r. 1920, na kilka lat przed red. Giedroyciem w gimn. im. J. Zamoyskiego w Warszawie, Adam zdawał co roku tzw. sprawdzające egzaminy z edukacji domowej w Tarnowie, gdzie jako harcerz zetknął się po raz pierwszy z Adamem Ciołkoszem. Przez krótkie okresy uczęszczał do szkół w Morawskiej Ostrawie, Wiedniu, Krakowie, i wreszcie w Warszawie, gdzie ojciec organizował Szpital Ujazdowski a on z grupą kolegów-maturzystów wyruszył wprost ze Smolnej do oddziału ochotników, by opuścić go w 1921 w randze kaprala z Krzyżem Małopolskich Oddziałów Armii Ochotniczej.

Plusem koczowniczej edukacji były sposobności łatwego opanowania języków otoczenia — od ukraińskiego z Monasterzysk i Gródka Jagiellońskiego poprzez niemiecki w pięknej odmianie austriackiej i francuski, którym chętnie posługiwali się koledzy ojca w kasynach oficerskich.

Po przeniesieniu ojca, już gen. brygady, do D.O.K. Lwów, Adam zamieszkał na kilkanaście lat we Lwowie i w r. 1928 uzyskał doktorat prawa. Równocześnie przez dwa lata był członkiem seminarium historycznego prof. Franciszka Bujaka na Wydz. Humanistycznym UJK. Innym nieoficjalnym mistrzem lwowskim był prof. Eugeniusz Romer — stąd początek zaintere-

sowań historycznymi mapami Polski, stojących u podłoża stworzonej później w Portugalii kolekcji.

Lata po doktoracie wypełniły praca w Banku Ziemian i Banku Spółek Zarobkowych we Lwowie i — narciarstwo. W latach 1935-9 był kierownikiem referatu propagandy turystycznej w Ministerstwie Komunikacji.

Z okresu pracy w Ministerstwie Komunikacji datuje się znajomość a następnie przyjaźń z Aleksandrem Bobkowskim, mieszkającym w czasie 2 wojny w Genewie, zięciem prez. Mościckiego. W ramach ewakuacji Ministerstwa Adam znalazł się w Rumunii (Pitešti) a stamtąd udało mu się przedostać do Rzymu, gdzie z miejsca znalazł zastosowanie przy redagowaniu informacji o położeniu Kościoła pod okupacją. O dalszych losach zdecydowało przystąpienie Włoch do wojny po stronie Osi i konieczność opuszczenia Rzymu. W czerwcu 1940 r. pociąg ewakuujący skład Ambasady R.P. z Wieniawą na czele, wyruszył w kierunku Francji, ale i tam grunt się już palił pod nogami, wyruszono więc dalej przez Francję i Hiszpanię do neutralnej a mniej od Rzeszy zależnej Portugalii. Był to dla Adama swoisty kres wędrówki. Z krótkimi wypadami do Hiszpanii, Afryki półn. i Anglii miał tu pozostać do śmierci. Towarzyszką jego była już wtedy późniejsza jego żona, Pia Popiel.

W Portugalii rysował się szczególny układ stosunków: neutralność znaczyła tu więcej niż w Hiszpanii, kontakty ze światem były łatwiejsze i bardziej niezależne niż we Włoszech. Otwierało to szerokie możliwości kontaktów z Krajem i nowe pola działalności. W jesieni 1940 Adam wszedł do składu Poselstwa Polskiego w Lizbonie (posłem był wtedy Karol Dubicz-Penther, radcą Józef Potocki, sprawami wojskowymi kierował Fryderyk Mally, I. sekretarzem był Antoni Mańkowski), występując w oficjalnym spisie „Corpio Diplomatico en Lisboa" do r. 1945 jako „Aido da Imprensa" (Attaché Prasowy), pełnił przy tym obowiązki kierownika Placówki Ministerstwa Informacji i Dokumentacji.

Poselstwo R.P. z nielicznym i przepracowanym personelem stanęło nagle wobec szerokiego wachlarza nowych obowiązków. Po upadku Francji był to punkt przeładunkowy dla uchodźców różnych nacji zmierzających przez Lizbonę do Anglii lub za Ocean. Postój ich nad Tagiem wiązał się z pokonywaniem trudności wizowych i komunikacyjnych. We wszystkich kierunkach łączyło się to z niebezpieczeństwem zastrzelenia lub zatonięcia. Na pierwszy plan wysuwała się przeto sprawa opieki nad przybywającymi tłumnie *via* Hszpania uchodźcami, których większość stanowili zdążający do Polskich Sił Zbrojnych Polacy i ratujący się przed prześladowaniami Żydzi (otaczani opieką tzw. „Jointu", organizacji Żydów amerykańskich, która i Polakom wiele pomogła, co nie jest dostatecznie kwitowane). Pierwszeństwo uzyskania miejsc w samolotach mieli kierujący się do wojska lub przemysłu wojennego ochotnicy wyciągani z Francji przy pomocy specjalnie utworzonych placówek wojskowych i technicznych, dokonujących weryfikacji i selekcji. Oczekujący na odjazd, mimo dużej toleracji władz portugalskich, sprawiali wiele problemów poselstwu i konsulatowi: trzeba było szukać dla nich pomieszczeń, troszczyć się o wyżywienie a często i odzienie, zwłaszcza obuwie itp.

Drugim ważnym problemem było podtrzymywanie kontaktów z pozostałymi we Francji Polakami w obu zonach (*zone libre* i *zone occupée*), ze Szwajcarią i internowanymi w niej żołnierzami a przede wszystkim z Polską — z zadaniem niesienia pomocy i zdobywania rzetelnych wiadomości o sytuacji w Kraju. Jedną z form tej działalności było przesłuchiwanie przybywających z Polski podróżnych (nie tylko Polaków i Żydów). Wcześnie zarysowały się możliwości niesienia pomocy rodzinom w Kraju i jeńcom wojennym w formie przesyłek. Okazało się przy tym, że podając portugalskie adresy można korespondować z Krajem swobodniej i szybciej niż za pośrednictwem *messages* Czerwonego Krzyża. Co więcej: w kioskach ulicznych Lizbony z prasą lokalną sąsiadowały zgodnie aktualne numery pism angielskich, amerykańskich, szwajcarskich, niemieckich, włoskich — prasa całego świata, z rozproszonymi wiadomościami z obu okupacji. Ten aspekt frapował specjalnie Adama. O ile jednak zakup głównych dzienników z krajów Osi nie nastręczał trudności, o tyle praktycznie nieosiągalne były tytuły wydawane w języku niemieckim, polskim, ukraińskim itd. pod okupacjami. To samo, w wyższym nawet stopniu, odnosiło się do książek, broszur oraz wydawnictw tego typu, co rozkłady jazdy, informatory itp. przynoszące nowe nazwy miejscowości, ulic itp., książki telefoniczne itp. Starały się o nie placówki Rządu R.P. na Wygnaniu w Szwecji, Turcji, Szwajcarii, Portugalii. Pomysłowości i zmysłowi organizacyjnemu Adama zawdzięczać należy, że niezmiernie szybko zorientował się w specyfice potrzeb różnych resortów rządowych i pod egidą Min. Informacji i Dokumentacji, które finansowało akcję, nawiązał kontakt ze wspomnianym wyżej swoim byłym szefem z Min. Komunikacji, Aleksandrem Bobkowskim (źle widzianym w Londynie „sanatorem") i przy jego rzeczowej i przyjaznej pomocy za pośrednictwem znanej księgarni Naville'a w Genewie abonował dzienniki wydawane w języku niemieckim w okupowanym Kraju: w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Gdańsku, na Śląsku itp. Służyły one na bieżąco do wyławiania istotnych wiadomości i przekazywania ich nie tylko swoim ale i prasie światowej za pośrednictwem powielanego *Boletim Polaco*. Pisma te docierały

do Lizbony z Genewy różnymi drogami, przeważnie w workach dyplomatycznych; w analogiczny sposób zdobywano książki zakupywane w Szwajcarii na podstawie bibliografii, ogłoszeń, katalogów księgarskich, recenzji, nasłuchów radiowych itp.

Boletim Polaco wypełniony był nieomal w całości tekstami przygotowanymi przez Adama a tłumaczonymi na portugalski przez m.in. Raula Rego, wówczas młodego dziennikarza a wybitnego — do dziś czynnego — polityka z dawnej opozycji antysalazarowskiej. Na treść składały się bieżące informacje z Kraju, komentarze polityczne wyłowione w prasie alianckiej i własne, oparte m.in. na wywiadach z przybywającymi do Portugalii ochotnikami do PSZ. *Boletim* wychodził w latach 1941-1945 (do lipca) i w kilkuset nienumerowanych a tylko datowanych numerach przyniósł m.in. wczesne wiadomości o eksterminacji Żydów, działalności ruchu oporu, prześladowaniu Kościoła, działalności Rządu R.P. w Londynie itp. W okresie Powstania Warszawskiego ukazywał się w odstępach parodniowych i był głównym źródłem informacji nie tylko dla prasy portugalskiej ale i agencji prasowych oraz korespondentów zagranicznych rezydujących w Lizbonie. Jako załączniki dodawano przekłady broszur wydawanych w Londynie przez Polish Research Centre i Min. Informacji i Dokumentacji. O znaczeniu biuletynu decydowała jego aktualność i sprawna dystrybucja. To znów oznaczało stałą walkę o tłumaczy, maszynistki, woskówki itp., przeszkody techniczne typowe dla okresu, gdzie nie sporządzano jeszcze fotokopii a do pomocy angażowano na krótkie okresy coraz inne osoby czekające na wizy i odlot lub odpłynięcie za Ocean.

Inną formą działalności Attachatu były rozliczne odczyty, wywiady, organizowanie wystaw i imprez propagandowych i osobiste kontakty z dyplomatami krajów alianckich (oficjalne) i krajów zniewolonych (zwłaszcza Rumunii i Węgier), którzy szukali kontaktów z Polakami. Na tym odcinku związał się Adam bliską współpracą z płk. Janem Kowalewskim. Wiąże się z tym pośrednio znajomość a nawet przyjaźń z hr. Dino Grandim i monarchistami włoskimi z Estorialu.

W końcu czerwca 1945 Adam zachorował na tyfus i przez krytyczne dla Poselstwa dwa miesiące leczył się w Szpitalu Angielskim w Lizbonie. Wyszedł, w złym stanie zdrowia, w okresie chaotycznej likwidacji Poselstwa i rozpraszania po świecie Polaków, którzy nie decydowali się (jak i on) na powrót do rządzonej przez komunistów Polski. Gdy starania o wyjazd do Anglii lub USA zawiodły a w Lizbonie — dzięki znajomości kilku języków obcych — rysowały się możliwości pracy piórem, zdecydował się na przedłużenie (jak wtedy sądził) pobytu w przyjaznej Portugalii. Kontakty prasowe z okresu wojny ułatwiły mu podejmowanie się oceny przekładów i rękopisów proponowanych do zakupu, reprezentowania wydawnictw zagranicznych itp. Przez kilka lat pracy w agencji ANI zajmował stanowisko „subchefe", a po przejściu do wydawnictwa Europa-America był samodzielnym kierownikiem dużego działu. Ostatnią jego posadą było stanowisko administracyjne w Alliance Française w Almadzie.

Od r. 1950 mieszkał wraz z żoną, Pią (która zmarła w 1967 roku), w zbudowanym przez siebie domu nazwanym na skutek kapryśnego skojarzenia z „The House of Pomegranates" Oskara Wilde'a Quinta das Romazeiras od rosnącego samotnie na działce granatowca. W.A. Zbyszewski dopatrzył się w architekturze budowli cech polskiego dworku, choć raczej porównanie to może się odnosić do wnętrza domu, niemal wytapetowanego starymi mapami Polski, portretami i weduktami miast. Część kolekcji powstałej ze znalezisk w antykwariatach portugalskich przechodzi w darze do zbiorów Zamku Królewskiego w Warszawie.

Na marginesie poszukiwań poloniców „muzealnych" rozwinęły się badania nad historią stosunków polsko-portugalskich. Doprowadziły one do nawiązania kontaktów naukowych z historykami portugalskimi a w szczególności prof. Luis Ferrand de Almeida z Uniwersytetu w Coimbrze. Rezultatem bliskiej z nim współpracy jest, poza artykułami w londyńskich *Wiadomościach*, szereg szkiców historycznych w językach francuskim i portugalskim, poruszających różne akspekty stosunku Portugalii do Polski od rozbiorów poprzez polistopadowy projekt legionu polskiego gen. Bema — po rok 1863, którego echem jest wiązanka wierszy, odpowiedników niemieckich *Polenlieder* z lat 1830-ych. Innym parokrotnie opracowywanym tematem były stosunki Władysława Mickiewicza z pisarzami portugalskimi omówione m.in. w „Blok-notesie Muzeum im. A. Mickiewicza w Warszawie" (nr 9 z 1988).

Po r. 1973, gdy w poszukiwaniach antykwarycznych i pracach bibliograficznych towarzyszyć zaczęłam Adamowi jako Maria Danilewicz Zielińska (tak jak on nagle owdowiała), Quinta das Romazeiras stała się adresem znanym odwiedzającym Portugalię naukowcom polskim. Kierowały ich do Adama wspólne zainteresowania (prof. Jan Kieniewicz, prof. Florian Śmieja, prof. Henryk Siewierski), kolekcjonerskie (dr Tomasz Niewodniczański, dr Adam Heymowski) wspomnienia z różnych etapów życia wreszcie jak np. prof. Jerzego Langroda specyficzny urok pogawędek przy kominku w pokoju bibliotecznym. Cykl 35 moich felietonów radiowych w RWE na tematy portugalskie poszerzył grono odwiedzających o młodych polskich iberystów docierających do Quinty wbrew zakazom PRLowskiej Ambasady, która „nie znała" naszego adresu i odradzała kontak-

towanie się z „siłami antysocjalistycznymi" związanymi współpracą z RWE i *Kulturą*. Nie bez znaczenia był w tych kontaktach nasz księgozbiór i możność zaopatrywania się przybyszów z Kraju w demoralizujące ich lektury.

Tu, pod okiem Adama, powstały „Szkice o literaturze emigracyjnej". Pisaniu ich sprzyjała atmosfera absolutnej niezależności od wpływów opuszczonego po 31 latach — nie bez żalu — „Londyniszcza" i haraczu wieczorów wypełnionych jałowymi dyskusjami na niezliczonych zebraniach. Tu pracowało się jednym ciągiem na autentycznej wsi z dala od „potępieńczych swarów". Ze światem łączyła poczta, której towarzyszyły zainteresowania Adama do ostatniego dnia.

Zmarł 28 grudnia 1991 we śnie po kilkuletniej obłożnej chorobie na złośliwą anemię atakującą po kolei funkcje organizmu (z wyjątkiem pamięci). Jedną z ostatnich radości jego życia było odnowienie stosunków z Ambasadą, gdy stała się reprezentacją R.P. a nie P.R.L.u. Znalazło to wyraz w obecności całego zespołu pracowników Ambasady na pogrzebie i wzruszającym przemówieniu amb. Jerzego Marendziaka nad mogiłą w Costa da Caparica.

W jesieni urządzona będzie w Bibliotece Nacional w Lizbonie wystawa poloniców portugalskich ze zbiorów Adama. Patronuje jej Foundation Gulbenkian, której kosztem ukaże się katalog o charakterze bibliografii. Prace nad przygotowaniem są już w toku pod okiem Ambasady R.P.

Do Złotego Krzyża Zasługi z 1938 r. przybyło odznaczenie „zasłużonego dla kultury polskiej" oraz krzyż oficerski Polonia Restituta (pośmiertnie).

26. I. 1992

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Książki

Po łebkach

Od powstania czasopisma *Przegląd Tygodniowy* ukazuje się na jego łamach stały felieton Piotra Kuncewicza na temat literatury polskiej powstałej po roku 1918. Jako felieton gazetowy rzecz była strawna, przynajmniej po części. Autor jednak powziął zamiar opublikowania tego zbioru felietonów w książce*, co w zasadniczy sposób zmienia charakter jego pracy. Ukazał się więc pierwszy tom „Agonii i nadziei", z wielkim entuzjazmem reklamowany przez środki masowego przekazu. Można się spokojnie założyć, że redaktorzy omawiający książkę co najwyżej przejrzeli — imponujący zresztą — wykaz treści tego tomiszcza, lecz już na pewno nie zaglądali do środka. Zachwycają się zatem pracowitością (niewątpliwą) autora i znakomitością (wątpliwą) książki. Dowiadujemy się, że oto na rynku ukazała się rzecz niezwykła — jeden człowiek wykonał pracę, z którą nie mogły się uporać potężne i wieloosobowe zespoły badawcze Instytutu Badań Literackich PAN — co akurat jest nieprawdą: nie słyszałem jednak zachwytów nad wydanym przed laty pierwszym tomem właśnie IBL-owskiego podręcznika literatury lat 1918-32, w druku są już następne, całość obejmuje okres 1918-75 i jest naprawdę poważną pracą naukową.

Wydawcy książki Kuncewicza, by uzasadnić doniosłość swej publikacji, zacytowali obszerne fragmenty felietonu Stefana Kisielewskiego z *Tygodnika Powszechnego*, w którym dawał on wyraz swojej radości z faktu, iż Kuncewicz potrafił w jednym cyklu zgromadzić obok siebie nazwiska pisarzy przez władzę popieranych i tych, którzy obejmowani byli cenzorskimi zapisami. Tak w istocie było. Lecz nie należy zapominać, że powstałe po stanie wojennym pismo miało też przez okoliczności sformułowaną linię i miało dowodzić, że przecież „władza" nie czepia się pisarzy za dzieła literackie, bija ich jedynie za niesłuszną postawę polityczną. Dlatego też właśnie w tym okresie mogły się ukazywać dzieła panów Stępnia czy Lichniaka

* Piotr Kuncewicz, „Agonia i nadzieja", Warszawa 1991.

poświęcone „zakazanej" literaturze emigracyjnej (w jaki sposób tę literaturę ukazywały, to osobny problem, w każdym razie mogliśmy tam czytać o tym, że owszem, literacko poszczególne utwory może i dobre, ale są złe, gdyż wyrażają „zapiekłą nienawiść do Polski Ludowej"). Na tej mniej więcej zasadzie też konstruowany był felieton Kuncewicza: miał być dowodem szczególnego liberalizmu komunistów, którzy przecież — a felieton Kuncewicza zdawał się to potwierdzać — dbają o niepodzielność literackiego dorobku narodu. I to wszystko nie w jakimś „drugim obiegu" czy na wychodźstwie, lecz jak najbardziej oficjalnie, z błogosławieństwem cenzury.

Tomów w sumie przygotował Kuncewicz pięć. Już pierwszy jednak, nawet podczas powierzchownej lektury, pobudza do obaw, iż stanie się źródłem wiedzy uczniów i nauczycieli. Będzie to wiedza zatruta — i to nie ideologicznie, gdyż Kuncewicz cały czas dość pilnie strzeże się ideologicznego szufladkowania, dba o „obiektywny" tok narracji, lecz polonistycznie, czegoś tak powierzchownego i bałamutnego nie napisze dziś nawet student pierwszego roku.

Podam tylko dwa przykłady — trudno omawiać całość, gdyż musiałbym wysmażyć kilkudziesięciostronicowy memoriał. Oto więc, jak autor w sposób łatwy i przyjemny opisuje dorobek Tytusa Czyżewskiego: „Otóż Czyżewski, podobnie jak inni futuryści, łączył sprzeczności. Z jednej strony ów kult maszyny — 'maszynizm', osobliwy, skoro zamiast, powiedzmy, pięknej szwaczki wolało się maszynę do szycia; z drugiej zaś stylizacja ludowa. Tak było z Jasieńskim, tak z Młodożeńcem. Próżno by dowodzić, że folklor, i to niebrzydki, był dookoła, a jakież to elektryczne maszyny mogły być wtedy w Krakowie? Ze dwa tramwaje i gramofon, a i to zapewne na korbkę. Nie, nie o to chodziło. Poeci musieli przecież prędzej czy później zdać sobie sprawę, że cały futurystyczny program ślizga się jedynie po powierzchni rzeczy". Podobnie, chce się dodać, ślizga się po powierzchni rzeczy Kuncewicz, który, wymieniając „pastorałki" Czyżewskiego ani słowem nie zająknął się o innych jego, właśnie „elektrycznych", konstruktywistycznych kompozycjach poetycko-graficznych, które można wszak potraktować jako preludium do powojennej „poezji konkretnej". Nie to bym był specjalnym wielbicielem tej ostatniej, ale przynajmniej na takie powiązania eksperymentów Czyżewskiego można by tu wskazać. Już nie mówiąc o tym, że niedostatkom informacyjnym felietonów Kuncewicza (które są ogromne) towarzyszy niedowład informacyjny (który jest jeszcze większy): zarówno argumenty przytaczane za osobliwością maszynizmu autora „Pastorałek" jak uwagi dotyczące obecności w Krakowie sprzętu elektrycznego to przekroczenie granic polonistycznego skandalu. Ale być może rzeczywiście wolałby Kuncewicz, by poeta większą uwagę poświęcał szwaczkom niż maszynom do szycia. Ten głód zaspokojony został z nawiązką przez socrealizm. Czy o ten kierunek interpretacyjny chodzi autorowi?

Drugi przykład to komentarz do Lieberta: „Jeśli idzie o interpretację wierszy Lieberta, to mówi się przeważnie, iż poeta ten

posługiwał się symbolami, które gdzieś, jakoś, ostatecznie się godzą. Po części to prawda (...). Ale rachunek symboli to nie jest coś dokładnego. Poeta nie zawsze do końca wie, co dany symbol ma znaczyć. I jeśli ktoś nam wyjaśnia, że np. lis ze słynnego wiersza, to szatan, to może trochę racji ma, ale całość sprawy jest o wiele rozleglejsza". Całość jest bardzo rozległa: ten wesolutki i potoczysty bełkot, ta radosna twórczość ciągnie się tysiącami stronic. Pełna odkrywczych aforyzmów o tym, że „rachunek symboli to nie jest coś dokładnego" — takie zdania należałoby uwieczniać w specjalnej księdze polonistycznego bełkotu — jest to całość przerażająca. Te ilości zdań warunkowych: jeśli ktoś nam powie, to może ma rację. A może nie ma. A może jednak — przeciwnie — ma częściowo. I tak to leci.

Ta książka jest strzelistym aktem braku szacunku dla kultury, literatury zaś w szczególności. To istna sieczka, w której próżno by doszukiwać się jakiegokolwiek sensu, nie mówiąc już o prawdzie. Zachwyty Kisielewskiego, którymi swego czasu witał te felietony, nie stanowią żadnego usprawiedliwienia — nadto Kisiel, przy całym dla niego szacunku, zachwycał się od czasu do czasu różnymi bałamuctwami: czy to politycznymi, czy gospodarczymi, czy nawet literackimi. W czasach żyjemy zaiste interesujących, ale też niebezpiecznych: oto w dobie braku wydawców dla poważnych naukowych przedsięwzięć znajduje się ktoś, kto nie boi się ryzykować wydania podobnego chłamu. I obawiam się, że ma rację. Jak autorzy słynnego piosenkowego refrenu: „Ludzie to lubią, ludzie to kupią, byle na chama, byle tanio, byle głupio". Jedno się tylko nie zgadza: książka Kuncewicza do tanich nie należy. Nie wątpię jednak, że doczeka się kieszonkowego wydania, a wówczas już każdy będzie mógł znać się na literaturze: tu stroniczka o Bratnym, tam stroniczka o Staffie — wszystkim po równo. I już bez cenzury, niestety.

Leszek SZARUGA

W OBRONIE CZCI JÓZEFA MACKIEWICZA

Do oświadczenia w obronie czci Józefa Mackiewicza (patrz *Kultura* nr 1/532-2/533, 1992) dołączyli podpisy dalsi sygnatariusze. Oto oni: Aleksander JUREWICZ, Bronisław MAMOŃ, Kazimierz ZAMORSKI, Marek ZIELIŃSKI.

Nadesłane nowości wydawnicze

HANNINGTON (Wal). *„Panie Przewodniczący!", czyli jak przewodzić zebrania.* Przeł. Magdalena Nagórska. Str. 86 i 10 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1991).

PATOCKA (Jan). *Kim są Czesi?* Przeł. z niemieckiego Marek Zybura. Str. 105 i 3 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska, Wiedeń 1991).

WIŚNIEWSKI (Wojciech). *Pani na Bereżenikach. Rozmowy z Heleną z Zanów Stankiewiczową.* Str. 256. (Wyd. PFK, Londyn 1991).

Akcenty II. Str. 112. (Wyd. Grupa Literacka „Akcenty", Tel-Aviv 1991/92).

SIEMASZKO (Zbigniew S.). *W sowieckim osaczeniu. 1939–1943.* Str. 439 i 1 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1991).

MĘKARSKA-KOZŁOWSKA (Barbara). *Posłannictwo kresowe Lwowa.* Str. 119 i 5 nlb. (Wyd. Instytut Józef Piłsudskiego w Londynie, 1991).

BEUPRE-STANKIEWICZ (Irena). *My i oni. Opowiadania.* Str. 123 i 3 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1991).

WERNER (Andrzej). *Pasja i nuda.* Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. „Krytyka", Warszawa 1991).

KIJOWSKI (Andrzej). *Granice literatury. Wybór szkiców krytycznych i historycznych.* Tomy I–II. Str. 319 i 1 nlb. oraz 232. (Wyd. Więź, Warszawa 1991).

WITTLIN (Józef). *Pisma pośmiertne i inne eseje.* Str. 427 i 5 nlb. (Wyd. Więź, Warszawa 1991).

MANTEL-NIEĆKO (Joanna), przy współpracy Marii STANOWSKIEJ, Haliny SUWAŁY, Beaty CHMIEL i Ewy PANKIEWICZ. *Próba sił. Źródła do dziejów Uniwersytetu Warszawskiego po 13 grudnia 1981.* Str. 435 i 1 nlb. (Wyd. UW, Warszawa 1991).

SACHAROW (Andriej). Wspomnienia. Tomy 1–3. Str. odpowiednio 204 i 10 nlb., 347 i 5 nlb oraz 184 i 8 nlb. Tłumaczyli: D. Ulicka, A.M. Bogdański, W. Krzemień, T. Rojewska-Olejarczuk, W. Karaczewska. (Wyd. PoMost, Warszawa 1991).

BOCHEŃSKI (Jacek). *Boski Juliusz.* Str. 202 i 2 nlb. (Wyd. Nowa, Warszawa 1991).

KAFKA (Franz). *Nowele i miniatury.* Przeł. R. Karst i A. Kowalkowski. Str. 316 i 4 nlb. (Wyd. ATEXT, Gdynia 1991).

RUTKOWSKI (Krzysztof). *Męczennice z Saint-Denis.* Str. 136 i 6 nlb. (Wyd. Fundacja Büchnera, Warszawa 1991).

WĄCŁAWSKI (Stanisław). *Słońce w lodówce.* Str. 90 i fotografie. (Wyd. nakładem Autora, Polska 1991).

Prosto z Wiejskiej. Sejm i Senat II Rzeczypospolitej w karykaturze i satyrze. Wybór i wstęp A. Zakrzewskiego. Str. 184. (Wyd. Ossolineum, Wrocław-Warszawa-Kraków 1990).

ALLENDE (Isabel). *Z miłości i cienia.* Przeł. Anna Sieprawska. Str. 256. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).

SENDER (Ramon J.). *Król i królowa.* Przeł. Jadwiga Konieczna-Twardzikowa. Str. 148. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).

FERENC (Ewa). *Największa łaska.* Str. 181 i 3 nlb. (Wyd. Gorzowskie Wydawnictwo Diecezjalne, Gorzów Wlkp. 1991).

STEMLER (Franciszek). *Ludzie doliny.* Str. 235 i fotografie. (Wyd. INTERIM, Warszawa 1991).

MICHAŁOWSKI (Witold). *Tajemnica Ossendowskiego.* Str. 168 i 8 nlb. (Wyd. Alfa, Warszawa 1990).

Polemiki

O testamentach Marii Dąbrowskiej

W listopadowym numerze *Kultury* (1991) ukazał się tekst Henryka Józewskiego „Pogrzeb Marii Dąbrowskiej", ogłoszony bez noty edytorskiej, nie przez autora, zmarłego przed dziesięciu laty bliskiego przyjaciela p. Marii. Są tu liczne myślowe odniesienia do jego własnych „Opowieści o istnieniu" — co pomijam jako tworzywo eseistyczno-literackie — i bezpośrednie relacje o śmierci, pogrzebie i dwu testamentach Marii Dąbrowskiej, różniących się w doborze komisji pełniącej opiekę nad jej archiwum pisarskim, a także co się o tym mówiło. Ta zagadka wyszła na plan pierwszy opowieści.

Sądzę, że do relacji dotyczących ostatniej woli konieczny jest krótki komentarz źródłowy, by w rozważaniach o powodach obecności i nieobecności Anny Kowalskiej w dwu różnych postanowieniach określających osoby powołane do opieki nad pozostawioną spuścizną literacką nie zdawać się tylko na domysły i sugestie (które oddają żywy obraz środowiskowych pogłosek, sam w sobie godny uwagi jako koloryt życia literackiego), lecz by wysłuchać także co mówi autorka tej alternatywy... Maria Dąbrowska. Sąd Marii Dąbrowskiej w tej sprawie był autorowi nieznany, rozważanie o własnej ostatniej woli z natury rzeczy nie jest tematem do pogawędek, w rezultacie tekst przechodzi ze sfery relacji o faktach w stronę literatury. W tej opowieści zarysowany na początku idealny portret Anny Kowalskiej przekształcony zostaje w pełne przeciwieństwo, a źródeł przemiany szukać trzeba w „osobistych przeżyciach i spostrzeżeniach" autora, ale i w „pogłoskach", „wiadomościach" jakie go dochodziły (s. 111-112). Rysuje się konstrukcja literacka wokół prawdziwego obrazu wzajemnych więzi, który nie był ani tak dobry, ani tak zły wśród codziennych kłopotów, problemów, kryzysów twórczych pogłębiających się w starszym wieku, o czym świadczą diariusze obu pisarek.

Przy szkicowaniu obrazu negatywnego pióro poniosło autora,

szczególnie gdy Anna Kowalska znalazła kopertę z drugim testamentem. H. Józewski przyjął, że testament nie jest „miarodajny": „Jak to się stało, że się pojawił? Jak odtworzyć bieg rzeczy? Wyobraźnia ludzka ma pole do popisu" (s. 114). Wobec Anny Kowalskiej, osoby, której prawość powszechnie szanowano, na tym polu wyobraźni wypowiedziane zostały różne domniemania, m.in. o współdziałaniu na rzecz władzy ludowej, które tu po prostu pominę.

Przypomnijmy fakty. Pierwszy testament z datą 13-14 VI 1963 odczytany został przez Gabrielę Lipkową wobec Anny Kowalskiej i Henryka Józewskiego późnym wieczorem w dniu śmierci Marii Dąbrowskiej (19. V. 1965). Z relacji wynika, że o istnieniu testamentu wiedziała tylko Gabriela Lipkowa, stąd zaskoczenie Anny Kowalskiej, tak blisko związanej z panią Marią. Polegać tu trzeba na przekazanym świadectwie.

Ale pojawiło się i w samym tekście postanowienie niespodziewane. W gronie, któremu przekazywana jest opieka nad spuścizną literacką, zabrakło pani Anny, co było „gromem z jasnego nieba. Przyznam się, że i ja byłem zaskoczony. Współczułem pani Annie (...) Pani Anna była uważana przez wszystkich i także przeze mnie jako najbliższa przyjaźń Maryjki (...) Za cały czas mojej z Maryjką przyjaźni nie słyszałem z jej ust złego słowa o Annie. Słyszałem o jej do Anny bliskości, ocenę umysłowych walorów Anny" (s. 104-105).

To pominięcie zaskakiwało i innych, także osoby powołane do opieki nad archiwum zmarłej pisarki, którym testament odczytywano już po pogrzebie, zauważmy więc, że grono to nie mogło mieć żadnego wpływu na kwestionowane przez H. Józewskiego decyzje pogrzebowe podejmowane przez rodzinę. Nie była to w tekście testamentu „komisja sześcioosobowa" — jak czytamy w relacji. W skład jej weszli: „prof. Kazimierz Wyka, doc. Ewa Korzeniewska, Czesław Hernas (polonista z Wrocławia), Henryk Bereza, krytyk i Władysław Terlecki, pisarz zamieszkały w Komorowie, współredaktor *Współczesności*". Trzy osoby młodsze są dodatkowo identyfikowane. Na pierwszym spotkaniu komisja, ulegając odczuciom o jakich wspomniałem, postanowiła — jak czytamy w protokole — „jednogłośnie dokooptować" Annę Kowalską do swego składu, prawnicy byli jednak za tym, aby nie naruszać formuły ostatniej woli, szczególnie, że pojawiły się niejasności w rozumieniu prawnym funkcji i zakresów kompetencji samej komisji.

Układając ów spis w czerwcu 1963 roku, Maria Dąbrowska w swoim czystym i racjonalnym rozumowaniu nie przewidziała podejrzeń, jakie może wywołać to pominięcie, kierowała się bowiem prostymi i rzeczowymi kryteriami. W liście jaki otrzymałem kilka lat wcześniej (7. II. 1960) pani Maria zastanawiała się, jaki powinien być skład takiego grona. W akapicie zaczynającym się od słów „Oprócz Pana" wymienia dwie osoby, jedną z nich pominęła później w testamencie, więc ten fragment opuszczam, by znowu nie tworzyć pola dla dociekliwych wyobraźni.

„Oprócz Pana myślałam jeszcze o dwu osobach (...) i o Henryku Berezie, sympatycznym chłopcu, który zdaje mi się zdolnym i sumiennym, dobrze zapowiadającym się krytykiem, życzliwym twórczości o której pisze.

Ale to wszystko 'pieśń przyszłości'. Mam nadzieję, że jeszcze pożyję i nie będziecie się musieli prędko moją 'puścizną' zajmować. W każdym razie Anna przykazuje mi ciągle 'żyć długo' — chciałabym spełnić ten nakaz, choć tak mało tu zależy od mojej woli. O Annie myślę, oczywiście, przede wszystkim, tylko że między nami jest za mała różnica wieku, a znaczna część moich 'domowych archiwów' będzie wymagała długiego czasu, zanim będzie mogła być oddana tzw. publiczności" (...)

W tych wątpliwościach kryje się jedyny rzeczowy komentarz do pierwszego, ale t a k ż e drugiego testamentu, odnalezionego później i późniejszego (21. XII. 1963), który opiekunami puścizny czyni „Czesława Hernasa (Wrocław) i Annę Kowalską, lub tych kogo ona wyznaczy". Autentyczność tego rękopisu — data, podpis, dukt pisma — nie mogą budzić wątpliwości. Nieprzypadkowa, według wieku, jest tu kolejność nazwisk.

Dodam, że o istnieniu tych testamentów nic nie wiedziałem, nigdy też pani Maria nie wspomniała o tym, ani o powierzanym mi obowiązku w naszych rozmowach. Tylko w listach, ale z nich wynika, że już w latach pięćdziesiątych przeżywała czas myślenia o własnej ostatniej woli. W liście z 10. I. 1960 pisała: „Drugą osobą miał być Tadeusz Mikulski, o tyle młodszy ode mnie — niestety śmierć go zabrała" — zmarł 26. VIII. 1958 roku. Poprzestańmy na tym świadectwie rozterek, jakie ujawniły się w bardzo intymnej, z natury ukrytej strefie myślenia o zbliżającej się konieczności podjęcia ostatnich postanowień.

Sądzę na koniec, że obowiązkiem moim jest dopisać jeszcze słowo w obronie prof. Kazimierza Wyki, wobec którego też zasugerowany został zarzut o wymowie politycznej. 6. X. 1965 roku K. Wyka w imieniu komisji składał w Sądzie Powiatowym w Warszawie wniosek o merytoryczne określenie pełnomocnictw. Wystąpienie to — pisze H. Józewski — „zdziwiło mnie i oburzyło". Byłby powód, gdyby istotnie profesor proponował „przekazanie opieki nad spuścizną literacką Marii Dąbrowskiej powołanej ku temu instytucji państwowej". Takiej propozycji nie było. Prawdziwe jest drugie zdanie: „Profesorowi chodziło także o określenie prawnych kompetencji komisji" (s. 106-107). I jeszcze raz wraca ten zarzut: „Miałem za złe, że chce przekazać spuściznę literacką Maryjki czynnikom państwowym, a nie wskazanym w testamencie osobom" (s. 115-116). Pomińmy sprzeczność w tym rozumowaniu, przy takim wniosku nieważne by były przecież kompetencje komisji.

Pełny tekst wniosku, który odzwierciedlał kłopoty prawie półrocznej pracy, znajduje się w archiwum sądowym (Wydz. I. Sekcja II, sygn. akt I/NS II 760/65). Źródłem wniosku była konieczność rozstrzygnięcia „różnic w interpretacji testamentu", by właśnie komisja

powołana przez Marię Dąbrowską stała się instytucją o wyraźnie określonych prawem kompetencjach. Praktyka dowiodła, że muszą zostać wyjaśnione uprawnienia, by wykonywać przyjęte obowiązki, jak traktować puściznę literacką jako wartość materialną, „w szczególności chodzi podpisanym o ustalenie w sposób wiążący, czyją własnością materialną jest będące przedmiotem testamentu Archiwum pisarskie, oraz jaki jest jego zakres (książki dedykowane autorce, ikonografia, druki z adnotacjami)".

Szło o to, by nie naruszyć woli testatorki, ale też by decyzje dotyczące archiwum zapadały tylko w gronie komisji. „Zawsze bowiem — jak pisał K. Wyka w liście do mnie 6. VI. 65 — wyłonić się może niebezpieczeństwo, iż Ministerstwo Kultury i Sztuki zabezpieczy z urzędu i na mocy przysługujących mu praw ową puściznę; zabezpieczy i nie wiadomo kto będzie w niej grzebał..."

Fakty — jak widać — są mniej sensacyjne, ale warto je dla równowagi przywołać.

Czesław HERNAS

Polemizuję z Kazimierzem Karnkowskiem

1 lutego 1992 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z pewnym zaniepokojeniem przeczytałem w nrze 1-2/1992 *Kultury* wypowiedź p. Kazimierza Karnkowskiego w sprawie stosunków polsko-czechosłowackich. Niezależnie od dobrej woli Autora, dostrzegam tam kolejny przykład rozważań na temat podłości czeskiej polityki, której ofiarą padała zawsze Polska. Rzecz bowiem w tym, iż przeszłość wyglądała znacznie bardziej skomplikowanie i nie uważam, by rozumowanie kategoriami ofiary i prześladowcy miało jakikolwiek sens.

Przede wszystkim znacznie bardziej skomplikowane były stosunki etniczne, zarówno na Śląsku Cieszyńskim, jak na Spiszu i Orawie (także podzielonych na mocy decyzji mocarstw, bez pytania o wolę najbardziej zainteresowanych). Powszechnie pamięta się, że mieszkali tam Polacy i Czesi, ewentualnie Słowacy; na Śląsku dodać do nich należy jeszcze Niemców i Żydów, a przede wszystkim środowiska, które trudno definiować kategoriami narodowymi; byli to Ślązacy, czyli ludzie urodzeni na tej ziemi, mówiący miejscowym dialektem (o licznych cechach polskich, lecz także czeskich z pewnymi

wpływami niemieckimi), którzy niekoniecznie optowali za którąkolwiek narodowością. Po stronie polskiej uważano ich za wynarodowionych Polaków (czasem za zdrajców sprawy narodowej), a po stronie czeskiej — za wynarodowionych Czechów. Obydwie opinie są równej wartości; odsyłam do prac Józefa Chlebowczyka, historyka polskiego urodzonego po czeskiej stronie granicy. Znane mi archiwa polskie, czeskie i słowackie dowodzą, iż obydwa państwa zrobiły po 1918 r. niezmiernie dużo, by zaognić lokalne konflikty na Śląsku, Spiszu i Orawie, nadając im charakter wojny narodowej. W rezultacie przypadki takie, jak pobicie inż. Kieronia były — niestety — na porządku dziennym, z obu stron.

Po drugie, wydarzenia lat 1918–1920 były bardziej skomplikowane, niezależnie od tego, że inicjatywa akcji zbrojnej wyszła z Pragi. Na ten temat jest już spora literatura — polska i czeska — której tutaj nie mogę szczegółowo referować.

Po trzecie, dzieje 1938 r. wyglądały także odmiennie. Otóż już w grudniu 1933 r. polskie MSZ poleciło Konsulatowi RP w Morawskiej Ostrawie by zainicjował akcję manifestacji antyczeskich w 15-tą rocznicę podziału Śląska. Od tego czasu ze strony polskiej wykorzystywano niektóre organizacje polskie na Zaolziu jako instrument w rozgrywce politycznej przeciw Czechosłowacji, a następnie do gry tej wciągnięto Słowacką Ludową Partię Hlinki.

Podczas rozmów ministra Józefa Becka z politykami niemieckimi w styczniu i lutym 1938 r. nie doszło wprawdzie do formalnego porozumienia przeciwko Czechosłowacji, lecz obydwie strony wyjaśniły własne stanowiska, przy czym Niemcy uznali „że interesy Polski 'in Mährisch Ostrau' nie będą dotknięte". 2 kwietnia konsul Łaciński odwiedził Andreja Hlinkę i dał mu do zrozumienia, że Polska jest zainteresowana oderwaniem się Słowacji od Republiki. Już po śmierci Hlinki kontynuowano naciski w tej sprawie sugerując, że Polska nie wysunie roszczeń terytorialnych wobec Słowacji, o ile ta proklamuje niepodległość (pisał o rozmowach ich uczestnik, P. Čarnogurský). W ciągu lata 1938 r. dyplomacja polska dołożyła starań, by uniemożliwić ewentualne dostawy broni z ZSSR do Czechosłowacji przez Rumunię. Dokumenty na te tematy (wszystko, co udało się znaleźć w polskich archiwach dyplomatycznych) opublikowałem w swoim czasie razem ze Zbigniewem Landauem i na ich podstawie można łatwo stwierdzić, że w ciągu 1938 r. dyplomacja polska zrobiła wszystko, co mogła, by doprowadzić do rozbicia Czechosłowacji, ułatwiając tym samym akcję III Rzeszy. Wbrew Autorowi łatwo jest więc dowieść, że Beck „chciał ...Czechosłowacji celowo szkodzić". Zaś dokumenty, których domaga się Autor od Jaroslava Valenty zostały już ogłoszone drukiem. Znaleźć wśród nich można także protesty polskie przeciw temu, że nie zaproszono naszego przedstawiciela do Monachium, a polska akcja w końcu września 1938 r. wynikała właśnie z obawy, by nie spóźnić się z realizacją roszczeń. Sprawa Bogumina także wyglądała nieco inaczej; niemieckie koła wojskowe uważały, iż ten węzeł komunikacyjny po-

winien przypaść Niemcom, lecz w wyniku polskich interwencji dyplomatycznych w Berlinie uwzględniono tam obietnice Goeringa z lutego 1938 r. Wkrótce zaś Polska wymogła odstąpienie części Spisza i Orawy; przecież Słowacja nie oderwała się od Republiki!

Nie jestem skłonny rozpatrywać tych wydarzeń w kategoriach etycznych, choć zaważyły one fatalnie na opinii o Polsce w innych krajach (nie tylko w Czechosłowacji), lecz przede wszystkim z punktu widzenia interesu państwa polskiego. Dyplomacja polska — jak się wkrótce okazało — ułatwiła rozlokowanie wzdłuż niemal całej polskiej granicy południowej Wehrmachtu oraz sprzymierzonej z nim armii słowackiej. W społeczeństwach słowackim i czeskim ujawniły się silne nastroje antypolskie. Niezwłocznie po konferencji monachijskiej Berlin przedstawił polskim dyplomatom rachunek: postulaty dotyczące autostrady przez Pomorze oraz Gdańska.

Ten przydługi list zakończę stwierdzeniem, że mam również wielu przyjaciół w obu częściach Republiki, choć spędziłem tam w sumie mniej czasu niż p. Karnkowski. Wystarczyło mi to jednak do stwierdzenia, że ani historiografia tamtejsza (zwłaszcza ta, która przez wiele lat nie trafiała na łamy „oficjalnej" prasy) nie jest tak prymitywna, ani też, że tamtejsze opinie o Polsce są tak zuniformizowane. Rzeczywistość miniona i współczesna okazuje się bardziej złożona, niż sądzi p. Karnkowski.

Łączę wyrazy poważania

Jerzy TOMASZEWSKI

WAWEL
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

27.9.91
Zmarł w Warszawie w wieku 85 lat ppłk pilot Tadeusz H. Rolski, jedna z czołowych postaci myśliwskiego lotnictwa polskiego w czasie II wojny światowej w Anglii. Był autorem książki pt. „Uwaga, wszystkie samoloty" wydanej w Polsce w 1974 r.

13.12.91
Doroczną nagrodę miesięcznika *Odra* otrzymał Włodzimierz Odojewski za twórczość prozatorską.

20.12.91
Polskie Porozumienie ponad Podziałami w Warszawie zorganizowało szereg spotkań, a więc 20.12.91. r. odbył się odczyt dr. Jarosława Kaczyńskiego „Jaka ustawa dekomunizacyjna jest dziś możliwa"; 10.1.92 r. dr Aleksander Jędraszczyk mówił na temat „Instrumentalizacja i instytucjonalizacja polityki przemysłowej Polski obecnej"; 17.1.92 r. Jan Waszkiewicz mówił na temat „zagospodarowanie dorzecza Odry jako przykład tworzenia infrastruktury w skali regionu"; 24.1.92 r. odbył się odczyt prof. Ireneusza Durlika „Produktywność nieprodukcyjnych działów gospodarki państwa: szkolnictwa i ochrony zdrowia". Został powołany tymczasowy zarząd Klubu PPP w składzie: Czesław Bielecki, Mirosław Hamera, Katarzyna Łaniewska, Witold Radwański, Józef Szaniawski i Paweł Wohl.

3.1.92
W Pradze została otwarta wystawa grafiki Konstantego Brandla. Poprzednio wystawa miała miejsce w Londynie i w Paryżu.

19.1.92
Kancelaria prezydenta Wałęsy liczy 250 urzędników i 300 pracowników tzw. ochrony. Ponieważ Belweder jest za ciasny, więc Kancelaria przenosi się do Pałacu Namiestnikowskiego na Krakowskim Przedmieściu. Przeprowadzka planowana jest za dwa lata, a w br. będzie trzeba wydać na przystosowanie pałacu 47 mld zł. Średnio 9 mln zł. wynosi pensja pracowników Kancelarii Prezydenta. Jest to wzrost wynagrodzeń o 50% (w stosunku do 1991 r.). Belweder będzie służył do szczególnie ważnych wydarzeń, jak np. przyjmowanie głów państw itp. Kaplica urządzona w podziemiach Belwederu będzie zachowana do osobistego użytku Prezydenta. ■ Zmarł w Warszawie w wieku 86 lat Wiktor Ostrowski, inżynier, taternik, pisarz — autor wielu książek podróżniczych, oficer Drugiego Korpusu.

2.2.92
W Kirgistanie (Azja Środkowa) zostały utworzone dwa „dystrykty niemieckie", które będą zarządzane przez obywateli kirgizkich pochodzenia niemieckiego.

3.2.92
Agencja PAP donosi, że od 1990 roku 14 tys. zawodowych wojskowych zostało zwolnionych z powodu „zmian strukturalnych" w wojsku. Po przeniesie-

niu do rezerwy wiceadmirała Kołodziejczyka w czynnej służbie pozostało jeszcze 81 generałów. W br. przejdzie w stan spoczynku dalszych 20 generałów. na początku 1988 r. w wojsku było 173 generałów.

ZACHÓD — EMIGRACJA

4. 10. 91
Zmarła w Buenos Aires Alicja Straszyńska-Jordan, długoletnia kierowniczka księgarni w Domu Polskim, przedstawicielka *Kultury* w Argentynie.

14. 12. 91
Redaktor *Tygodnika Polskiego* z Melbourne (Australia), Jerzy Grot-Kwaśniewski, przeszedł na emeryturę. Jego następcą został p. Michał Filek. Redaktor Grot-Kwaśniewski na pożegnanie wydał imponujący, świąteczny numer *Tygodnika*. Ponadto wydał ilustrowany album „Czterdzieści lat Polonii Australijskiej na łamach *Tygodnika Polskiego*". Jest to niezastąpione źródło historii polskiej emigracji w Australii. Redaktor Grot-Kwaśniewski prowadził *Tygodnik Polski* od 1977 r.

18. 12. 91
Zmarł w Chicago w wieku 71 lat Kazimierz Łukomski, żołnierz Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego w czasie 2-ej wojny światowej. Od roku 1964 był wiceprezesem Kongresu Polonii Amerykańskiej. Odnosił się do działalności prezesa KPA, Edwarda Moskala, więcej niż krytycznie, uważając tę działalność wprost za szkodliwą. Spowodowało to jego rezygnację z pracy w KPA. W liście skierowanym do Prezesa Kongresu p. Edwarda Moskala, datowanym 29 czerwca br., p. Łukomski stwierdził że powodem jego rezygnacji są „poważne różnice poglądów" na całokształt działań Kongresu pod przewodnictwem prez. Moskala. „Stało się dla mnie oczywiste że, po przeszło dwudziestu latach czynnego zaangażowania w prace Kongresu, nie mam dłużej możliwości skutecznego wykonywania moich obowiązków jako członek Zarządu Głównego Kongresu", oświadczył p. Łukomski.

1. 1. 92
Gen. Romuald Wolikowski, który obchodził właśnie 100-lecie urodzin, przed wybuchem I wojny światowej ukończył szkołę oficerską armii carskiej. W czasie wojny odznaczył się wyjątkowym męstwem, za co otrzymał najwyższe odznaczenia wojskowe. Po rewolucji był w I Korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego. W latach 1918-1919 był szefem sztabu I Dywizji syberyjskiej gen. Czumy, później przeszedł do Armii Błękitnej gen. Hallera i wrócił do Polski. W czasie wojny bolszewickiej był szefem sztabu grupy poleskiej. Po zawarciu pokoju został delegowany do Moskwy jako *attaché* wojskowy i na tym stanowisku przetrwał do 1924 r. W chwili wybuchu II wojny światowej był szefem sztabu armii „Poznań", po klęsce wrześniowej został komendantem Centrum Szkół Piechoty w Coëtquidan, we Francji. Po przybyciu do W. Brytanii został zastępcą dowódcy 3 brygady kadrowej strzelców I Korpusu. W 1941 r. był wysłany przez gen. Sikorskiego do ZSSR jako szef Misji Wojskowej. Po demobilizacji osiedlił się w Kanadzie, gdzie jest czynnym działaczem organizacji kombatanckich. Był żonaty z Izabelą Lutosławską, córką filozofa — Wincentego, a stryjeczną siostrą kompozytora — Witolda. ■ Fundacja im. Władysława i Nelly Turzańskich w Toronto przyznała dwie

doroczne nagrody w dziedzinie kultury. Otrzymali je Tadeusz Nowakowski oraz Józef Garliński (wysokość nagrody wynosi Dol. c. 2.000,00). Ponadto Fundacja przyznała dotacje: Katolickiemu Uniwersytetowi Lubelskiemu — Dol. c. 2.000,00, Uniwersytetowi w Toronto na potrzeby związane z utworzeniem katedry historii i kultury polskiej — Dol. c. 2.000,00, Polsko-Kanadyjskiemu Instytutowi Badawczemu w Toronto Dol. c. 1.000,00, Towarzystwu Miłośników Języka Polskiego w Krakowie wydającemu periodyk *Język Polski* Dol. c. 500.00. ■ Ukazujący się od ponad 30 lat w Tel-Avivie dziennik w języku polskim *Nowiny Kurier* przestaje wychodzić. Na jego miejsce ukazywać się będzie tygodnik z nowym, jeszcze nieustalonym, składem redakcji.

6. 1. 92
Duński PEN-Club wysunął kandydaturę Zbigniewa Herberta do nagrody Nobla.

8. 1. 92
W Galerie Hartbye's w Paryżu została otwarta wystawa rysunków i rzeźb Ludwiki Ogorzelec.

10. 1. 92
W Théâtre de l'Europe — Odeon w Paryżu wystawiono „Ślub" Witolda Gombrowicza w reżyserii Jerzego Jarockiego oraz „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Andrzeja Wajdy (zespół Starego Teatru w Krakowie). ■ Zmarł w Kopenhadze w wieku 66 lat Krzysztof Gruszczyński, poeta, eseista, scenarzysta.

19. 1. 92
W Gallery 18801 w Santa Ana (Kalifornia, USA) odbył się wieczór poetycki grupy KRAK zatytułowany „Jesteśmy": Andrew Kolodziey, Joanna Kubicka-Fenn, Elżbieta Libel, Adam Lizakowski i Dorota Siuda.

21. 1. 92
W ośrodku naukowym Polskiej Akademii Nauk w Paryżu odbył się *table ronde* na temat „Le catholicisme engagé — le passé et le présent". Tegoż dnia odbył się odczyt prof. Louis Le Guillou z udziałem prof. Jerzego Parvi z Uniwersytetu Warszawskiego pt. „Lamennais — politique et religion".

22. 1. 92
W ośrodku P.A.N. w Paryżu rozpoczął się cykl odczytów Remy Foryckiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego pt. „L'évolution de l'Europe de l'Est et de l'ex-URSS". Cykl zawiera 5 odczytów: 22 i 29 stycznia br., 12 lutego br. oraz 11 i 18 marca br. ■ Zmarła we Vlissingen (Holandia) w wieku 87 lat Józefa Minkiewicz-Targońska, wdowa po Józefie Minkiewiczu, wieloletnia przedstawicielka *Kultury* w Holandii.

24. 1. 92
W Instytucie Polskim w Paryżu odbyła się dyskusja o okupacji niemieckiej we Francji, widzianej oczami Andrzeja Bobkowskiego — w związku z ukazaniem się w języku francuskim jego książki „Szkice piórkiem pt. „En guerre et en paix — Journal 1940-1944". Wydawcą jest Editions Noir sur Blanc w Szwajcarii.

1. 2. 92
Staraniem Institut d'Etudes Slaves i wydawnictwa YMCA-Press odbyło się

odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci poety Osipa Mandelsztama. Tablica została wmurowana na domu pod nr 12 rue de la Sorbonne w Paryżu. Jednocześnie w amfiteatrze Champollion na Sorbonie miał miejsce „okrągły stół" na temat „Mandelsztam i Francja". ■ Zmarł w Brukseli w wieku lat 68 Alexis (Aleksiej Nikołajewicz) Guédroitz czyli Giedroyć, bo tak pisali się po polsku jego litewscy przodkowie (w roku 1828 jego pra-pradziad Albin-Józef-Nicefor G. był współzałożycielem dorpackiej „Polonii"). Pochodził z Giedroyciów, pod koniec XIX w. zrusyfikowanych w służbie przy dworze petersburskim. W Belgii wykładał język rosyjski oraz tłumaczył rosyjskich klasyków na język francuski. Był członkiem belgijskiego PEN Klubu, a na forum międzynarodowym cenionym znawcą literatury rosyjskiej. Z jego rosyjsko-francuskiej dwujęzyczności korzystał król Baudoin jak również belgijskie MSZ. We wczesnych latach 1960-tych brał udział jako oficjalny tłumacz w rozmowach Spaak-Chruszczow.

4. 2. 92

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się odczyt ks. Zenona Modzelewskiego na temat „Bilans dwudziestopięcioletniej pracy wydawnictwa księży Pallotynów w Paryżu i ich pomocy dla Polski".

7. 2. 92

Merostwo Vence, miasteczka w którym zmarł Witold Gombrowicz, przy pomocy Centre Georges Pompidou zorganizowało wystawę „Witold Gombrowicz — Varsovie — Buenos Aires — Berlin — Vence".

8. 2. 92

W Theatre de Genevilliers (Francja) wystawiono „Dziady" Adama Mickiewicza w reżyserii Andrzeja Seweryna. Tekst francuski opracował Michel Maslowski wraz z Jacques Donguy.

11. 2. 92

Na uniwerytecie Paris-Sorbonne, w Centre de la Civilisation Polonaise, odbył się wieczór poetycki poświęcony pamięci Charles Sterlinga (19011991).

14. 2. 92

W Centre du Dialogue w Paryżu Aleksander Smolar wygłosił odczyt na temat „Polskie dylematy". 21. 2. br. Michał Heller mówił o „Imperium rosyjskim i Ukrainie".

15. 2. 92

Przemówienie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z okazji otrzymania doktoratu *honoris causa* na UAM w Poznaniu ukazało się, w przekładzie włoskim jego córki Marty, w marcowym numerze kwartalnika *Nuova Antologia*, którego redaktorem jest profesor Giovani Spadolini, Prezydent Senatu. Warto nadmienić, że Herling-Grudziński był przez cztery lata współpracownikiem Spadoliniego, gdy obecny Prezydent Senatu redagował *Corriere della Sera*.

●

Centre du Civilisation Polonaise — Université Paris-Sorbonne urządza w dniu 17 marca 1992 o godz. 20-ej wieczór poświęcony artyście-malarzowi Mieczysławowi T. Janikowskiemu (1912–1968), na który zaprasza do Amphithéâtre Guizot, 17 rue de la Sorbonne, 75005 Paris.

Listy do Redakcji

3. 2. 1992

Do Redaktora miesięcznika *Kultura*
Pana Doktora Jerzego Giedroycia

Nawiązując do tekstu ogłoszonego w *Kulturze* nr 1-2/532-533, pt. „W obronie śp. Bronisława Przyłuskiego" napisano m.in., że „autor, Czesław Bednarczyk (dopisek mój), rzeczywiście prawie wszystkich nie lubi". To nieprawda. Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze obojętnie: od czerwonych, czarnych, czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów, przyjaciół towarzyszki Wandy Wasilewskiej, a przede wszystkim nie lubi: p. Lidii Ciołkoszowej, p. Stefanii Kossowskiej, p. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i p. Jerzego Giedroycia.

Jeśli chodzi o Przyłuskiego — to był i jest ceniony jako poeta przez „Oficynę". Wydała mu ona w pięknej szacie graficznej tom wierszy pt. „Akord" i nawet zapłaciła mu honorarium w bardzo wówczas trudnych dla nas czasach.

Co innego poeta a co innego człowiek. Potrafił się płaszczyć, gdy tego wymagały jego interesy, co było wówczas brane za chrześcijańską pokorę. Jako człowiek odsłonił się mi całkowicie właśnie w Mabledonie.

Mimo dużych zastrzeżeń z obu stron prenumerował nasz kwartalnik i zamieszczał w nim swoje utwory.

Na atak podpisany przez Czwórkę odpowiem obszernie i szczegółowo w drugim wydaniu mej książki pt. „W podmostowej arkadzie". Zamieszczę również w książce fragment listu p. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego do redakcji kwartalnika „Oficyna Poetów". Zapoznają się więc Czytelnicy ze słowami honorowego doktora, którymi obrzucił poważnych pisarzy współemigrantów.

Czesław BEDNARCZYK

●

Nowy Jork, 5. I. 1992

Szanowny Panie Redaktorze

Przeczytałem w nowojorskim *Nowym Dzienniku* z dn. 21 listopada 1991 roku relacje z uroczystości nadania Panu doktoratu h.c. Przemówienie wygłoszone przy tej okazji przez Pana nasunęło mi kilka refleksji, z którymi proszę, by się Pan zapoznał. Zacznę od pańskiego określenia rządzących obecnie Polską ludzi, których nazwał Pan „małymi i miałkimi". Określenie

to wydaje mi się bardzo nietrafne. Nie demonizuję ich. Nie są to oczywiście żadni zdrajcy ani zbrodniarze, ale w wielu wypadkach dość przebiegli złodzieje i mało zdolni karierowicze, jeszcze nie bardzo doświadczeni w rzemiośle okradania Polaków. Dlatego nie wszystko im tak wychodzi, jak by chcieli. Wiedzą że można to robić rozmaitymi sposobami, ale najbardziej im dogadza żeby złodziejstwo przyozdobić patriotyzmem i interesem wspólnoty narodowej. Pospolite okradanie poszczególnych osób to rzecz ryzykowna, ale technicznie nieskomplikowana. Grabież narodu to całkiem inna sprawa, ponieważ wymaga zdobywania wysokich urzędów politycznych. Czynią to z powodzeniem nie tylko osławieni premierzy i prezydenci krajów III świata, o czym cała prasa światowa dudni, ale również amerykańscy i japońscy dygnitarze wybierani w autentycznych wyborach, o czym się również pisze, ale nieco mniej. Tak więc prominenci postkomunistycznej Polski nie są tak bardzo osamotnieni. Niestety nie jest to to samo i wypada tu stosować inne kryteria. Nie chodzi tylko o to, że tamte kraje to państwa zasobne i milionowe kradzieże są mniejszym finansowym obciążeniem niż dokonywane w Polsce. Chodzi jeszcze o coś zupełnie innego. O to, że złodziejstwa i inne przestępstwa dokonywane przez elitę władzy odbywają się pod kamuflażem szukania „nowej drogi, wyrwania kraju z upadku i nędzy, do jakiej doprowadził go komunistyczny reżym". Nie jest tu cytowany żaden postkomunistyczny dygnitarz — poseł czy senator. Jest to cytata, syntetyzująca uzasadnienie niepospolitych przestępstw, motywowanych dobrem ogółu. W tym właśnie kryje się szczególny cynizm sprawców. Wydaje się że rzeczy należy nazywać po imieniu. Kurwa jest kurwą nawet i wówczas, gdy wyjdzie za miliardera, a złodziej złodziejem bez względu na to, czy okradnie kogoś w ciemnym zaułku, czy uczyni to w charakterze wysokiego dygnitarza wybranego lub postawionego na urzędzie. W pierwszym wypadku przestępstwo ma jasny profil. Ten profil zamazuje się, gdy grabież dokonana jest w imię jakiegoś celu legitymizującego się piękną nazwą. Dlatego oburzyło mnie pańskie określenie „małych i miałkich", użyte w stosunku do rządzących obecnie Polską. Wiąże się to przynajmniej częściowo ze sprawą wyborów do Sejmu i Senatu. Główne oszustwo polegało na zwyczajnym eliminowaniu kandydatów, którzy mogli zagrażać Unii Demokratycznej, zaprojektowanej do tego, żeby wyjść z wyborów zwycięsko. Ponieważ robiono to dosyć niedołężnie, a wyznaczeni do tego funkcjonariusze nie byli dość sprawni, nie bardzo się to udało. Okazało się że ordynacja wyborcza jest do tego stopnia skomplikowana, że nie rozumiała jej należycie nawet Komisja Wyborcza. Była nią do tego stopnia skołowana, że dopiero później dodała Unii Demokratycznej 11 miejsc w parlamencie. Przepraszam, ale kto może uwierzyć w podobne brednie, że Komisja Wyborcza nie zrozumiała należycie ordynacji i dopiero później skorygowała swoje niedopatrzenia? Jeśli ona jej nie rozumiała, to kto ją miał rozumieć? Jak w tych warunkach może Pan używać słowa „Sejm" i „Senat" bez cudzysłowów? Przecież to nie są w ogóle żadne izby ustawodawcze, ale niespotykane w dziejach Polski oszustwo. Na pewno większe, a w każdm razie bezczelniejsze od tych w PRL, bo wówczas 90 % ludzi zdawało sobie sprawę z idiotycznego kamuflażu i traktowało owe zgromadzenia na Wiejskiej tak, jak na to zasługiwały. To nie ludzie, o których Pan mówi, są „mali i miałcy". To pańska krytyka jest miałka, ponieważ uwiarygodnia i legalizuje osoby zasiadające w pseudo-ustawodawczych organach. Nazywa ich Pan złymi przedstawicielami narodu, niedorosłymi do przełomowych chwil jakie przeżywa Polska, ale niemniej uznaje Pan że są nimi. Myli się Pan. Nie są nimi wcale. To co Pan powiedział pogłębi tylko rozdźwięk między Panem jako redaktorem *Kultury* a większościąPolaków.

Być może, że spodoba się to tym sprostytuowanym pisarzom i artystom, którzy gotowi są oferować swe talenty każdej władzy. Zna ich Pan dobrze.

Nie jest Pan populistą i nie zależy Panu na poklasku publiczności, ale pańska mowa o świetności Rzeczypospolitej przed wiekami, z którą mieli się zapoznać nie tylko notable zgromadzeni na uroczystości wręczania Panu dyplomu, ale również i zwykli Polacy w Kraju, była jak najbardziej nie w porę. Pańska inwokacja do „Krakowskich Panów", którzy uczynili Polskę 600 lat temu mocarstwem w sytuacji w jakiej znajdują się obecnie niedożywieni Polacy, była po prostu skandalem. Chciał Pan pokazać, jak wielką szansę traci obecnie Polska? Nonsens. Co mieli z Polski — Rzeczypospolitej Trzech Narodów chłopi pańszczyźniani? Nie redukuję problemów polskich do realiów czysto materialnych. Mówię tylko o niestosowności nawiązywania do chwały Rzeczypospolitej w chwili obecnej. Byłoby głupotą porównywać obecny los Polaków do losu chłopów pańszczyźnianych, bo świat przeszedł już w inną epokę i historii nie da się odwrócić. Choć dla Polaków nie jest obojętnym ich miejsce w historii, będzie ich to coraz mniej obchodzić, w miarę jak coraz bardziej będą obdzierani przez władze RP. Nie ma żadnych substytutów, mogących zastąpić elementarne potrzeby bytowe, o czym Pan dobrze wie, ale o czym Pan zapomniał, gdy przeniósł się Pan myślami w epokę świetności Polski w czasach Jagiellonów. Tak samo jak nie można Polakom ofiarować zamiast chleba kultu najświętszej Marii Panny z pielgrzymkami do Częstochowy, tak samo nie można ich „nakarmić" chwalebną przeszłością Polski, widzianej z perspektywy wieków. Nie dostrzegł Pan tego, przeżywając coś w rodzaju transu, bytując na krótką chwilę w epoce, która izolowała Pana od rzeczywistości, której instynktownie Pan nie cierpi i której Pan po prostu nie rozumie. Mówiąc obrazowo wsiadł Pan w wehikuł czasu, który uniósł Pana w wymarzony okres świetności Rzeczypospolitej, w której budowie ród Giedroyciów odegrał niebłahą rolę. Szkoda, że z tych marzeń nie wyrwała Pana chwila refleksji i nie przypomniała Panu kalendarza. Tego ze świeżo wywalczoną niepodległością Litwy, którą „Panowie Warszawscy" uznali, ale której przeszkadzali tak długo jak tylko mogli.

Podnosząc pańskie zasługi w przeszłości, ukazano Pana jako przedstawiciela dziewiętnastowiecznego ethosu, który obecnie należy do przeszłości. Błąd. Z nastaniem nowych epok zmieniają się ludzie i społeczeństwa. Zasady moralne pozostają niezmienione. To Marks je zrelatywizował, gdy twierdził że niewolnictwo było moralne gdy było potrzebne, a przestało nim być, gdy bardziej opłacalna stała się praca najemna. Możemy te zjawiska obserwować, jako zmiany, którym podlegają społeczeństwa, ale nie godzić się z nimi, lecz odwrotnie — potępiać. Bez względu na to, kto je głosi. Niewolnictwo jest i było *zawsze* niemoralne. Kłamstwo było, jest i będzie *zawsze* kłamstwem. W X-tym wieku i w XXI-ym.

W Polsce nie ma ludzi zsowietyzowanych. Ci, którzy nie przeciwstawiają się obecnemu systemowi eksploatacji i oszustwa, to ludzie śmiertelnie zmęczeni, nie wierzący w to że mogą cośkolwiek zmienić — lub zdemoralizowani. Liczba ludzi zdeterminowanych, gotowych ponieść ryzyko walki ze skorumpowaną władzą, będzie przypuszczalnie rosła, ale wraz z nimi mnożyć się będzie „świnia". „Świnia" nie jest żadną narośla komunizmu, który „świni" nie stworzył, tylko „świnię" ożywił. Komunizm nie ma w tym zakresie monopolu. Wygląda na to że „świnia" jest niezniszczalna. Unicestwienie jej jest utopią, ale o niektóre utopie, jeśli zawierają w sobie zasady moralne, należy walczyć bez względu na to czy są ziszczalne, czy nie. Chyba jest to bliskie temu, o czym niegdyś pisał w *Kulturze* Juliusz Mieroszewski.

Z poważaniem

Zbigniew BYRSKI

Kraków, dnia 30.12.1991

Szanowny Panie Redaktorze,

Robiąc roczne remanenty przypomniałem sobie, że jeszcze w numerze 9/1991 *Kultury* Gustaw Herling-Grudziński w swym „Dzienniku pisanym nocą", a zawierającym notatki z podróży do Polski monitował mnie, bym „rozszyfrował wszystkie pseudonimy, pod jakimi przez wiele lat" publikowałem w *Kulturze*. W rzeczywistości to ja, już czas jakiś temu rozszyfrowałem je podając dla dwu różnych dokumentacji literackich te dane (jedno dla słownika literatów przygotowywanego przez IBL). Ale tu muszę uczynić pewne wyznanie i obawiam się, że zabrzmi ono nieco minoderyjnie: otóż wszystko co napisałem w momencie zakończenia i opublikowania (a także nieopublikowania) odchodzi ode mnie, odpływa, przestaje mnie interesować, ponieważ rozpoczyna jakieś tam życie lub żywiątko niezależnie ode mnie. A może to po prostu staropolsko-sarmackie niedbalstwo? I tego nie mógłbym wykluczyć. Pozostaje faktem, że ja już dokładnie nie pamiętam czy publikowałem w *Kulturze* pod jeszcze jakimś innym pseudonimem, w każdym razie to do czego przykładam umiarkowane znaczenie ogłosiłem pod pseudonimami Tymoteusz Klempski i Józef Szrett. Ogłosiłem też coś kiedyś w *Zeszytach Historycznych*: było o pojmowaniu i recepcji własnej historii przez współczesnych Polaków, ale nie mam spisów treści tego bezcennego wydawnictwa pod ręką i nie umiem sobie przypomnieć jaki był ten pseudonim, a w piętrzących się u mnie hałdach książek nie mam już od dawna siły grzebać. Bo z tymi książkami, to trochę jak z owym przypadkiem ucznia czarnoksiężnika. Ale z drugiej strony: jakże bez nich żyć?

Nic więcej nie mam do wyznania i nie znajduję żadnego usprawiedliwienia. Oczekuję łagodnego wyroku

i kłaniam się Noworocznie

Tadeusz CHRZANOWSKI

●

10 stycznia 1992

Szanowny Panie Redaktorze!

Kultura nr 5/1991 przedrukowała z moskiewskiego *Kontinentu* artykuł Władimira Maksimowa „Prawo karmy". Autor m.in. pociesza się, że imperialistyczne dążenia właściwe są nie tylko jego narodowi. Ilustracją tej tezy ma być następujące zdanie:

„W Białym Domu w gabinecie pana Kuropasa — doradcy byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych Forda do spraw mniejszości narodowych (zwracam uwagę, że nie był to szary człowiek z ulicy, lecz polityk, intelektualista z cenzusem uniwersyteckim) — wisiała mapa, na której Ukraina rozpościerała się aż po Ural; zdaniem dość wpływowych ukraińskich kręgów na emigracji powinna ona objąć także Syberię, ponieważ odkrył ją Ukrainiec". (s. 118)

Uprzejmie informuję, że użycie nazwiska dr. Myrona Kuropasa w kontekście ukraińskiego rewizjonizmu terytorialnego jest grubym nieporozumieniem. W szczególności zaś nieprawdziwa jest informacja nt. wystroju gabinetu dr. Kuropasa, kiedy pracował on w Białym Domu.

Dr Kuropas w rozmowie ze mną stwierdził, że w jego biurze nie było i nie mogło być żadnej mapy Ukrainy. W jego kompetencji znajdowała się większość amerykańskich grup etnicznych, w tym grupa polska. Mapa Ukrainy obejmująca np. Lwów mogłaby antagonizować wizytujących Polaków. Gdyby Maksimow kiedykolwiek był w biurze dr. Kuropasa, to raczej wpadłoby mu w oko to, że na ścianie wisiał polski orzeł — podarunek od Polaków z Waszyngtonu. Dr Kuropas nie przypomina sobie jednak, aby podczas swej pracy w Białym Domu kiedykolwiek gościł Władimira Maksimowa.

Nie miałem możności dokonać tego sprostowania wcześniej, ponieważ przeoczyłem artykuł Maksimowa, kiedy ukazał się on w majowym numerze *Kultury*. Znając jednak wrażliwość Pana Redaktora na kwestię stosunków Polski z narodami jej dawnych Kresów, mam nadzieję, że Pan Redaktor zechce zamieścić niniejsze sprostowanie.

Z poważaniem

Jerzy CIECHAŃSKI

●

Warszawa, 11.12.1991

Szanowna Redakcjo!

Z ogromnym oburzeniem przeczytałam w numerze 11/1991 *Kultury* tekst pt. „Pogrzeb Marii Dąbrowskiej" Henryka Józewskiego. Jako córka Anny Kowalskiej, tak bardzo oczernionej w tym tekście, nie mogę milczeć. Kto mógł wpłynąć na takie widzenie rzeczywistości przez p. Józewskiego, nie jest dla mnie tajemnicą. Niemniej oskarżenia wydają mi się zbyt daleko posunięte i uwłaczające pamięci mojej Matki, która przecież nie może się bronić. Ich fałszywość łatwo byłoby udowodnić, nie chcę jednak się w to wdawać. Wyrażam tylko mój protest przeciw drukowaniu takich paszkwili. Co do zarzutów p. Józewskiego o nieudaną rodzinę, to choć uważam, że widzi to on zbyt jednostronnie i niesprawiedliwie, to uwagi te nie pozbawione są pewnej racji. To była nieudana rodzina. Do tej pory przemawiała tylko Maria Dąbrowska w „Dziennikach", Tadeusz Drewnowski w „Rzeczy russowskiej", ja do tej pory milczałam, bo czym byłoby moje zdanie wobec zdania wielkiej pisarki. Mam nadzieję, że Dzienniki Anny Kowalskiej, które ukażą się w Ossolineum, pozwolą zobaczyć związek i od tej drugiej strony, bardziej obiektywnie. Istnieje też ogromna korespondencja między obu pisarkami w Muzeum Literatury — ponad 2 tys. listów — i one są ciekawym materiałem poznawczym. Natomiast wypowiedź p. Józewskiego wydaje mi się z gruntu fałszywa, wręcz paranoiczna.

Z poważaniem

Maria GAWRYŚ (Tula KOWALSKA)

●

10. I. 1992

Szanowny Panie Redaktorze

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem w numerze 12/531 *Kultury* artykuł Andrzeja Kobosa i Jerzego Krzystka pt. „Prezydent pochylił głowę".

Jest on interesujący i zawiera dużo nowych myśli i faktów. Ale „prawdziwa cnota krytyk się nie boi". Tak jak niestety w wielu publikacjach na ten temat, autorzy nie uwzględniają dramatycznego kontekstu historycznego ówczesnej epoki, który leży u podstaw dramatu polsko-żydowskiego. Pozwolę sobie ująć to w kilku punktach.

1. Skazana na zagładę ludność żydowska wynosiła około 3,5 miliona. Tylko mała część znała język polski, a większość kultywowała stare tradycyjne ubiory i język, odróżniając się w ten sposób od innych grup ludności.

2. Polacy jako grupa etniczna („rasa") traktowani byli jako podludzie, tzw. *Untermenschen*, i byli niszczeni na każdym kroku.

— Na terenach wcielonych do Rzeszy objęci byli szeregiem ustaw, m.in. tzw. *Verordnung über die Strafrechtspflege gegen Polen und Juden in den eingegliederten Ostgebieten*. (tzw. *Polenstrafrechtsverordnung* z 4. XII. 41, zob. *Reichsgesetzblatt* I-759). Było to nic innego jak pseudoprawne instrumenty do wyniszczania ludności polskiej i żydowskiej przez władze hitlerowskie.

— W tzw. Generalnej Guberni zlikwidowano wszystkie niezależne instytucje polskie. Rozpoczęto masowe i systematyczne mordowanie inteligencji, księży, pacyfikacje wsi. W Warszawie wieszano i organizowano publiczne egzekucje, rozstrzeliwano na Pawiaku, czy też w innych miejscach masowych straceń. Powiew śmierci zagrażał wszystkim, a ci co nie wpadli jeszcze w ręce okupanta musieli patrzeć bezsilnie. Żydzi byli najbardziej zagrożeni zagładą. Jakie możliwości miało społeczeństwo polskie, by powstrzymać zbrodniczą akcję okupanta? Faktycznie — i tu jest dramat — ocalić można było tylko jednostki. Ewakuacja poza teren władzy hitlerowskiej była niewykonalna. Jedną z najdokładniejszych analiz jest książka Kazimierza Iranka-Osmeckiego pt. *He Who Saves on Live (The Complete Documented Story of the Poles Who Struggled to Save Jews During World War Two)*. Szymon Wiesenthal powiedział w swoim ostatnio opublikowanym wywiadzie w tygodniku *Der Spiegel* z dn. 30. XII. 91: „Żydzi żyli tysiąc lat w Polsce — po wygnaniu ich z Niemiec — Polacy ich przyjęli. Wiem, że niektórzy Polacy zawinili wobec Żydów w czasach narodowo-socjalistycznych. Ale te 40.000 lub 50.000 Żydów, którzy przeżyli, mogli tylko przeżyć przy pomocy Polaków...". Oczywiście powinniśmy być p. Wiesenthalowi bardzo wdzięczni za te słowa. Tym bardziej nie powinniśmy zapominać o odwrotnej stronie medalu. Szkoda tylko, że pp. Kobos i Krzystek ograniczają się do cytowania artykułu p. Błońskiego z *Tygodnika Powszechnego* nr 2/87. Wystąpienie Błońskiego to odważny i szlachetny odruch moralny, ale nic więcej. Nie ma ani analizy źródeł, ani faktów, a zajmuje się w dużej części analizą kilku wierszy Miłosza, których przy całym szacunku dla autora nie możemy uważać za dowód czy też źródło historyczne. Literatura obowiązkowa w tej problematyce to „Kronika getta warszawskiego" Emanuela Ringelbluma. Jest to kopalnia konkretnych faktów i danych na temat często haniebnej postawy wielu Polaków. Studiując to, możemy się pochylić razem z naszym prezydentem Lechem Wałęsą i prosić o przebaczenie. Zwłaszcza, że wielkość i wiarygodność „Kroniki" jest w tym, że Ringelblum nie wahał się pisać też o niepięknej roli różnych Judenratów, policji żydowskiej, czy też ludzi w służbie Gestapo.

Łączę wyrazy szacunku

Bohdan GÓRSKI

●

Passaic, USA, 26 stycznia 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Słowa uznania i szacunku dla panów A. Kobosa i J. Krzystka za artykuł pt. „Prezydent pochylił głowę" (*Kultura*, 12/531, 1991), z refleksjami na temat antysemityzmu i antypolonizmu.

Na przyszłość pozostaje jedynie życzenie, by nasza świadomość historycznych wydarzeń i faktów okresowo podlegała pełnej weryfikacji, w miarę jak historyczne dokumenty są ujawniane, publikacje biograficzne badane, itd. Zjawiskiem szczególnie interesującym mnie jest rozmiar udziału Żydów w rządzie Polski Ludowej w ogólności, a w Urzędzie Bezpieczeństwa w szczególności.

Poruszając ten temat w gazecie *Polityka*, 6 lipca 1991, profesor Krystyna Kersten pisała, że w pędzie by przypisać Żydom „zasługę" za rządy Polską komunistyczną, nie tylko Berman i Minc, ale także Bierut i Radkiewicz (minister milicji) byli uważani za Żydów w wielu środowiskach. Dalej, na podstawie dokumentów prezydenta Bieruta z 25 listopada 1945 r., z wyciągami ministra milicji Radkiewicza, p. Kersten cytuje, że Urząd Bezpieczeństwa zatrudniał 25.000 osób, w tym Żydów 438; na kierowniczych stanowiskach — 500 osób, w tym 67 Żydów.

Dla mnie osobiście ta ewidencja nie była konieczna, potwierdzała jednak moje obserwacje własne: do naszego rodzinnego miasta Płońska wróciło po wojnie około 150 Żydów — ani jeden nie należał do partii, nie mówiąc już o przynależności do U.B. Podobna historia w okolicznych miastach: Pułtusk, Ciechanów, Lipno, Przasnysz, Nowy Dwór Mazowiecki, Płock.

A mimo to chorobliwa legenda utarła się: w kraju, i na emigracji listy do redakcji, będąc pewnym przekrojem opinii społeczności ujawniają tendencje do skwapliwego przypisywania win za komunistyczne ekscesy głównie (lub wyłącznie) Żydom. We wspomnieniach Polaków często uderza ta nienaturalna pewność, że dany funkcjonariusz U.B. to Żyd.

Ta „pewność", w innych okolicznościach, miała czasem śmiercionośne skutki — czasem dla Polaków. Za okupacji, we wsi Drochowo, pow. Pińsk, nieznajomy chłopiec pomówiony został o to, że jest Żydem i został wkrótce zastrzelony przez Niemca. Kilka dni później jego matka z Czerwińska nad Wisłą przyszła go szukać. Żydem nie był. (Jeśli to ma znaczenie.)

Osobiście kilkakrotnie zaproponowano mi po wojnie pozycję burmistrza w mieście Płońsku (przez nie-Żydów). Nie przyjąłem. A co do współpracy z rządem, to swego czasu podstępem zostałem zaprowadzony do bezpieki, gdzie mi oświadczono krótko, że jestem „pracownikiem wywiadu amerykańskiego" i że najmniejszy wyrok dla mnie będzie 15 lat, a mój znajomy, Lerner, dostanie karę śmierci. Ale oni mieli dla mnie „ratunek": zostać ich współpracownikiem — inaczej rodziny nie zobaczę. I pomimo tej groźby — czy też ponętnej oferty pracy — propozycji nie przyjąłem, pomimo że Żydzi ponoć tak lgnęli do pracy w U.B.

Szymon JENTES

●

Warszawa, 29. I. 1992

Szanowni Państwo,

w 1989 roku zbieraliśmy w Paryżu podpisy pod listem do Episkopatu w sprawie uszanowania żydowskich uczuć związanych z obozem w Oświęcimiu,

zebraliśmy też trochę pieniędzy na budowę Karmelu, które zawiozłam do Warszawy. O wiele później dostałam obrażony liścik, że ks. Prymas Karmelu nie buduje, a pieniądze zostaną zwrócone ofiarodawcom.

Przed miesiącem budowa Karmelu ruszyła. Poprosiłam biuro Episkopatu, aby nasze pieniądze przekazało na konto budowy.

Oto potwierdzenie, że tak się stało. Bardzo prosiłabym o zamieszczenie jednego zdania, informującego ofiarodawców, że ich ofiara została użyta zgodnie z intencją.

Z wyrazami szacunku

Halina Flis KUCZYŃSKA

P. Halina Kuczyńska dołączyła do powyższego listy Sekretariatu Prymasa adresowane do niej i do ks. kard. Franciszka Macharskiego, potwierdzające przekazanie kwoty $ 500 na budowę Karmelu.

●

15 lutego 1992

Szanowny Panie Redaktorze,

Zbyt wielu dziennikarzy polskich i nie polskich, donoszących z terenu RFN, nie jest w stanie pozbyć się uprzedzeń do narodu niemieckiego. Również pan Andrzej Stach widzi sytuację w Niemczech przez okulary, które wypaczają rzeczywistość (*Kultura*, 1-2/1992).

Czytelnik *Kultury*, nie obeznany z rozwojem społecznym w RFN, po przeczytaniu korespondencji „Jesień w Niemczech" musi odnieść wrażenie, że w Niemieckiej Republice Związkowej tuż tuż, lada chwila, nowy Hitler obejmie władzę.

A tymczasem wcale tak nie jest. Cytowane przez pana Stacha wypadki gwałtu w stosunku do obcokrajowców to przykra sprawa. Wyciąganie z tego wniosku o nawrocie hitleryzmu to już teza wyssana z palca.

Nieprawdą jest bowiem, jak to pisze p. Stach, że neofaszystowskie ugrupowania mają swych reprezentantów w rządach krajowych (*Landesregierungen*). W rzeczywistości w żadnym z 16 rządów krajowych nie ma przedstawicieli skrajnej prawicy (neofaszystów). Jedynie w parlamenie (*Landtag*) krajowym w Bremen jest jeden poseł z ramienia DVU (*Deutsche Volksunion* — najskrajniejsza prawica).

Nie wiadomo jeszcze, jakie będą wyniki wyborów do parlamentów krajowych w Baden-Württemberg i Schleswig-Holstein (5 kwietnia 92). Ostatni sondaż opinii publicznej wykazuje, że Republikanie (REP — skrajna prawica) mogą ewentualnie osiągnąć 5% głosów w Baden-Württemberg, czemu odpowiada 5 lub 6 posłów w parlamencie, zależnie od konstelacji pozostałych partii.

Osiągnięcie tego rezultatu nie jest jednak tak zupełnie pewne, sądząc po słabych wynikach Republikanów (inne neofaszystowskie związki nie są brane w ogóle pod uwagę) w ostatnich wyborach komunalnych.

Cytowana przez p. Stacha wypowiedź renomowanego przedstawiciela inteligencji lewicowej, Waltera Jensa, że sytuacja w Niemczech Wschodnich „jest podobna do sytuacji w Niemczech z roku 1929" jest oczywistą przesadą i jako taka została też przyjęta.

Pozostają więc tylko ekscesy przeciw obcokrajowcom. Gwałt stosowany przeciwko mniejszościom narodowym i osobom, które opuściły swoją ojczyznę, aby znaleźć przytułek gdzie indziej, stosowany jest również w innych krajach Europy. Ludzie o odmiennym kolorze skóry i wyglądzie drżą o

swoje zdrowie i życie w Londynie, Liverpoolu czy Marsylii. Czy ktoś posądza Francuzów lub Anglików o faszyzm?

Pozostaję z szacunkiem

Jan MICHALCZYK

●

Paryż, 22 grudnia 1991

Szanowny Panie Redaktorze!

Dziękuję bardzo za przesłanie mi grudniowego nr. *Kultury*. Prawdopodobnie z powodu złej jakości kopii (za co serdecznie przepraszam) w moim opowiadaniu „Budowanie ruin" znajduje się kilka literówek, na które pragnąłbym zwrócić uwagę:

str. 36, 9 wers od dołu: Porucznik schował plik papierów do torby i poprawiając nas...: powinno być: poprawiając pas;

str. 38, 23 wers od dołu: Inni szufladami...: powinno być: Inni szuflami;

str. 40, 15 wers od góry: Krew trysnęła na brew: powinno być: Krew trysnęła na krew;

str. 41, ostatnie zdanie: Bezlitosne korzenie: powinno być: bezlistne...

Proszę jeszcze raz wybaczyć moją drobiazgowość.

Łączę wyrazy szacunku

Piotr PIĘTAK

●

Nowy Jork, 31 grudnia 1991

Wielce Szanowny Panie Redaktorze

Ze zdziwieniem przeczytałem w *Kulturze*, a potem w wywiadzie udzielonym przez Pana prasie krajowej, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zamierza jakoby sprzedać obecny budynek Konsulatu Generalnego RP w Nowym Jorku, aby znaleźć w ten sposób środki na utworzenie Ośrodka Kultury Polskiej w tym mieście. Pragnę stanowczo oświadczyć, że — w licznych dyskusjach i opracowaniach na ten temat — sfinansowanie powstania Ośrodka poprzez pozbycie się reprezentacyjnego budynku konsulatu nigdy nie było poważnie brane pod uwagę. Nie wiem, skąd zaczerpnął Pan informację o rzekomym podjęciu takiej właśnie decyzji, ale źródło to nie zasługuje na zaufanie. Jestem zdania — podobnie zapewne jak Pan — że Ośrodek Kultury Polskiej jako instytucja państwowa RP powinien powstać właśnie w Nowym Jorku. Jego zadaniem będzie promocja kultury polskiej wobec publiczności i instytucji amerykańskich, nie zaś obsługa kulturalna tutejszej Polonii, co czasem też bywa postulowane. Wobec trudnej sytuacji budżetowej Państwa nie sposób jednak obecnie podać terminu i miejsca jego utworzenia.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i uznania tak dla Pana, jak i dla pisma, którego jeszcze nie tak dawno bywałem autorem.

Jerzy SURDYKOWSKI
Konsul Generalny

SPROSTOWANIE

W związku z występującymi w prasie niemieckiej powtórzeniami danych o tych samych ofiarach śmiertelnych w wyniku napadów ze strony neofaszystów, omyłkowo powołałem się w artykule „Jesień w Niemczech" (*Kultura*, nr 1-2/1992) na dane z roku 1990 i 1991. W obliczu niemożności zdobycia dokładniejszych danych pragnę zamienić sformułowanie „kilkanaście ofiar śmiertelnych" na „kilka ofiar śmiertelnych". Za nieumyślne wprowadzenie w błąd przepraszam Czytelników i Redakcję.

Andrzej STACH

ODPOWIEDZI REDAKCJI

A. Michelson-Kamiński, Katowice. — „Narzeka Pan na cenzurę w Polsce — pisze Pan do Redaktora, — myślę więc że opublikuje Pan ten list jako szczery demokrata". Myli się Pan. Nie opublikujemy Pana listu nie dlatego, że jest „niecenzuralny", ale dlatego po prostu że jest głupi. A obowiązku drukowania głupstw nie ma nawet „szczery demokrata". Bo o co Panu chodzi? Najpierw o irytującą „pewność siebie" Redaktora. Pana ona irytuje, innych (dość licznych) czytelników nie. Potem o nadanie *Kulturze* szczególnego charakteru, który określa Pan mianem „organu byłych stalinowców pochodzenia żydowskiego". Wymienia Pan ich z nazwiska, przeciwstawiając im „uczciwych Żydów-Polaków". No, sporo dałoby się powiedzieć (niezbyt pochlebnego) na temat tych dwóch wymienionych przez Pana „uczciwych Żydów-Polaków"... Nie w tym jednak rzecz, nie mamy najmniejszej ochoty wdawać się z Panem w dyskusję na takim poziomie. Jeżeli Pan nie rozumie, że w *Kulturze* kierujemy się innymi kryteriami, że drukujemy także „prawdziwych Polaków" o nie zanadto chwalebnej przeszłości, że ustaliliśmy pewną cezurę czasową która pozwala nam oceniać teksty a nie osoby, to czytał Pan *Kulturę* bez pożytku i niech ją Pan czytać przestanie. A w sprawie „spotkań Michnika z Urbanem w imię nienawiści do Kościoła katolickiego" niech Pan napisze do *Gazety Wyborczej* i do tygodnika *Nie*.

H. Kitaszewski, Australia. — Pana list, napisany w złej wierze („Pospieszalski i redakcja *Kultury* stoją na podobnym stanowisku co Stalin i jego agenci w PRL"), sprowadza się do licytacji: kto komu więcej krzywd wyrządził, Ukraińcy Polakom, czy Polacy Ukraińcom. Naprawdę nie jest Pan w stanie pojąć, że w pół wieku po wojnie ta licytacja jest ślepym zaułkiem? Że musimy ułożyć wreszcie i znormalizować stosunki z naszymi sąsiadami? Ostatecznie to biskupi polscy wystosowali list do biskupów niemieckich.

Aleksander Łuczak, Szwajcaria. — przysłał nam Pan kopię swego listu otwartego do władz UJ w związku z wręczeniem doktoratu honorowego Jerzemu Giedroyciowi. List usiany jest dość tanimi złośliwościami, w imię ścisłości warto tylko rozwiać Pana wątpliwości, czy można „zaliczyć profesora Stanisława Kota w poczet wielkich uczonych". Można na pewno, niech Pan o to zapyta jakiegokolwiek historyka reformacji. Był wielkim uczonym, choć — jak Pan powiada — „pisał prostym językiem" (ciężki grzech!).

Maria Magdalena Rudiuk, London, ON (Kanada) — dol. can. 30,00	F.	133,00
Irena Sandig, Etobicoke, ON (Kanada) — dol. can. 50,00	F.	220,00
Zofia Szeftel, Toronto, ON (Kanada) — w 10-tą rocznicę przedwczesnej śmierci ukochanego Brata, Józefa Steinberga — dla uczczenia Jego pamięci	F.	200,00
S. Szynalski, St. Agathe, MB (Kanada), po raz 13-ty — dol. can. 63,00	F.	280,00
Lucie Wieczorek, Rueil Malmaison (Francja), po raz 9-ty	F.	200,00
W pierwszą rocznicę śmierci red. Zdzisława Baua, nieodżałowanego męża, przyjaciela i ojca Izabelli — z Nowego Jorku, żona Zarema — dol. 50,00	F.	270,00
Zamiast kwiatów na grób Krzysztofa Gruszczyńskiego, poety i damaturga, zmarłego 10 stycznia 1992 w Kopenhadze — Maria i Bogdan Paczowscy	F.	200,00
Janusz Zembrzuski, Anglet (Francja), po raz 55-ty	F.	500,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 15-ty i 16-ty — F. 400,30 i 601,86	F.	1.002,16
Bezimiennie z Lozanny	F.	100,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada), po raz 25-ty — dol. 36,00	F.	194,00

●

Tadeusz Wyrwa, Saint-Rémy lès Chevreuse (Francja), otrzymaną nagrodę *Kultury* za rok 1991 przeznaczył, a mianowicie na:		
— Fundusz *Kultury*	F.	1.500,00
— Inwalidów z oddziałów AK we Francji	F.	1.000,00
— Fundację Pomocy Bibliotekom Polskim w Warszawie	F.	1.000,00
— Fundację Armii Krajowej im. gen. Okulickiego w Warszawie	F.	500,00
— Fundację Archiwum Polski Podziemnej 1939–1956 w Warszawie	F.	500,00
— Światowy Związek Żołnierzy Armii Krajowej w Warszawie. Fundusz Roku Historii A.K.	F.	500,00

●

Dr Adam Krakiewicz, Kleve (Niemcy) na:		
— Fundusz *Kultury* — DM 100,00	F.	330,00
— Na pomoc dla Polaków w b. ZSSR — DM 100,00	F.	330,00

●

Henryk Wroński, Paryż — na odbudowę katedry w Mohylowie	F.	400,00

DZIĘKUJEMY!

POLEMIKI

Czesław Hernas: *O testamentach Marii Dąbrowskiej* ... 155
Jerzy Tomaszewski: *Polemizuję z Kazimierzem Karnkowskim* 158

•

— *Wydarzenia miesiąca* 161

•

C. Bednarczyk, Z. Byrski, T. Chrzanowski, J. Ciechański, M. Gawryś, B. Górski, S. Jentes, H. Flis Kuczyńska, J. Michalczyk, P. Piętak, J. Surdykowski: *Listy do Redakcji* 165
Andrzej Stach: *Sprostowanie* 174
— *Odpowiedzi Redakcji* 174

RFI PO POLSKU W PARYŻU

Audycji RADIO FRANCE INTERNATIONALE w języku polskim, nadawanych na falach krótkich dla słuchaczy w Polsce, można od 10-go lutego br. słuchać także w Paryżu na fali średniej (OM) 406 m, częstotliwość 738 kHz codziennie od godz. 23 do 23.56.

Na tej samej fali o różnych porach dnia i nocy nadawane są też audycje RFI w 13-tu innych językach.

Adres sekcji polskiej:
RFI, Section polonaise, BP 9516, 75016 PARIS

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 1' trimestre 1992.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 163-1992

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte — Telefon: (1) 39-62-19-04
FAX: 33-1-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
		Ceny na rok 1992	
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$A. 12,00	$A. 70,00	$A. 130,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Regueliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 100,00	Fl h 190,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D.M. Malinowski,** 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., V0R 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; **Z. Micherdziński,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches,** 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	$can. 12,00	$can. 65,00	$can. 122,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; **Księgarnia Wawel,** Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1. Tel.: 0221/24-61-60	DM 15,00	DM 90,00	DM 170,00
NORWEGIA: Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermillod, 1227 Carouge/GE, tel.: 43 05 84	F.S. 13,50	F.S. 75,00	F.S. 140,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 56,00	K.S. 310,00	K.S. 600,00
U.S.A.: Alma Shipping Co., Inc., Christina Szala 9 East 48th Str., Bayonne, N.J. 07002; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **St. Kwiatkowski,** 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kościuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wójcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Księgarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Księgarnia «Nowego Dziennika»,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$US 10,00	$US 55,00	$US 106,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 50,00	F. 280,00	F. 550,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 550; półroczna — F. 280.
***Przesyłka* pojedynczego numeru — F. 6,00.**

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (*z Francji*)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (*z zagranicy*).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 466 — JAKUB KARPIŃSKI (MAREK TARNIEWSKI)

DZIWNA WOJNA

(Grudzień 1981)

Szósta książka autora w Bibliotece „Kultury" należy do serii prac o przełomowych okresach w powojennej historii Polski, w której poprzednio ukazały się „Pochodzenie systemu", „Porcja wolności", „Krótkie spięcie", „Płonie komitet".
Książka mówi o *dziwnej wojnie* z grudnia 1981 roku. Pokazano ją na tle wydarzeń z początku lat osiemdziesiątych. Rozdziały: *„Solidarność" przed stanem wojennym — główne punkty historii, 1981–1982: Pierwszy rok stanu wojennego. 1983–1984: Policja i opozycja.*

Str. 160. **Cena F. 80,00.**

●

TOM 471 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DZIEWIĘĆDZIESIĄTY DZIEWIĄTY

zawiera opracowania: Agata Tuszyńska: *Israel is a real thing*; Leon Antoni Sułek: *Wojenne losy Polaków żołnierzy Armii Czerwonej (1940–1945)*; Andrzej Albrecht: *Noc generała*; Tadeusz Stanisław Piotrowski: *Studenci gdańscy w grudniu 1970;* Grzegorz Mazur: *Raport Jerzego Rutkowskiego; Komunikat prezydenta R.P. A. Zaleskiego z okazji zaprzysiężenia rządu gen. Bór-Komorowskiego 2 lipca 1947 r.; Uchwała LNP z 1 lipca 1947;* Zygmunt Wenda: *Z marszałkiem Śmigłym. Wspomnienia, cz. II;* Piotr Wandycz: *Henri Rollet;* Gustaw Kerszman: *Książka o Marcu;* Katsuyoshi Watanabe: *Historia Polski w badaniach japońskich w latach 80-tych;* Krzysztof Adam Tochman: *Uzupełnienia do „Cichociemnych" J. Tucholskiego;* Tadeusz Wyrwa: *„Przegląd kawalerii i broni pancernej";* Tadeusz Wyrwa: *Początki internowania 2-ej Dywizji w Szwajcarii*; Józef Garliński: *Książka ciągle aktualna*; B. Dytrych: *Legia Oficerska na Środkowym Wschodzie (uzupełnienia); Statut „NIE"; Instrukcja „NIE"; Komunikat Centrum Badania Represji na Litwie* oraz bogaty dział LISTÓW.

Str. 240. **Cena F. 90,00.**

Cena 50 F

I.N. 93400 St-Ouen - 163-1992